ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/535 1992

• « La Culture » • Revue mensuelle •

R. KACZMAREK: **PIENIĄDZ ŚWIATOWY**
L. UNGER: **CENA STRACHU**
B. OSADCZUK: **OBRAZKI Z UKRAINY**
Wł. ODOJEWSKI: **CO ROBI PEWIEN URZĄD?**
o. Albert OSTATEK: **DLACZEGO PRZESTAŁEM PRENUMEROWAĆ „KULTURĘ"?**

SPIS RZECZY

A. Buzykin:	*Rosyjski Nostradamus*	3
Antoni Pospieszalski:	*Jedna ludzkość wystarczy*	5
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	12
Robert Kaczmarek:	*Pieniądz światowy*	21
	WIERSZE	
Natasza Fiedin:	* * *	33
Adam Bąkowski:	*Izaak; – Malchos*	34
Adam Lizakowski:	*Czternasty list do Pieszyc*	34
Maria Magdalena Rudiuk:	*Przekraczając*	35
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	37
Paweł Strumiłło:	*Powrót na Bałkany?*	51
—	*Amerykańska Agencja d/s Rozwoju Międzynarodowego (USDA)*	56
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	*Każdy wie swoje*	63
Smecz:	*Z ukosa*	68
Włodzimierz Odojewski:	*Co robi pewien urząd?*	79
	SPRAWY I TROSKI	
Alina Grabowska:	*Handel grobami*	84
—	*Kongres Polaków w Niemczech*	88
—	*Apel Polskiego PEN Clubu*	90
	SĄSIEDZI	
Benedykt Heydenkorn:	*Kanadyjscy Ukraińcy a niepodległa Ukraina*	91
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	94
Andrzej Stach:	*Kronika niemiecka*	99
Józef Darski:	*Kronika litewska i białoruska*	102
	KRONIKA KULTURALNA	
Konrad W. Tatarowski:	*Powroty Jacka Bierezina*	107
Jerzy Lohman:	*Odszedł symbol*	115
	CI, CO ODESZLI	
Zdzisław Broncell:	*Inka*	117
	POLEMIKI	
o. Albert Ostatek:	*Dlaczego przestałem prenumerować „Kulturę"?*	119
Antoni Pospieszalski:	*Odpowiedź o. Ostatkowi*	120
	Z OSTATNIEJ CHWILI	
Bohdan Osadczuk:	*Obrazki z Ukrainy*	123
	KSIĄŻKI	
Anatol Estryn:	*Jacek i Jankiel*	133
Arkadiusz Bagłajewski:	*Wygnaniec z dwóch miast*	138
Leszek Szaruga:	*Głupota całkowicie niezależna*	143
M. Broński:	*„Dziecko wojny" na Łyczakowie*	146
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	152
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kanadyjska*	155
	•	
A. Pospieszalski, J. St. Witkiewicz:	*Listy do Redakcji*	159

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1992

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci prawdziwych patriotów Karola Wagnera-Pieńkowskiego, Romana Palestra i Feliksa Konarskiego (Ref-Rena) — Weronika i Jacek Machniewiczowie	F.	600,00
J.Z., Warszawa — Frs 100,00	F.	370,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, ON, po raz 16-ty	F.	134,93
Stefania Misińska, Caracas — dol. 12,00	F.	68,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 27-my — dol. 20,00	F.	112,00
Joyce Szwagiel, New York NY — pamięci Matki Marii Edyty Shepherd Hughes, która mieszkała kiedyś pod n-rem 87-mym przy Avenue de Poissy w Maisons-Laffitte	F.	111,97
Zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Handelsmana — Przyjaciele	F.	500,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Handelsmana, zmarłego 28.2.1992 r. byłego zasłużonego dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu	F.	200,00

DZIĘKUJEMY!

●

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc dla Rodaków w Rosji — po raz 7-my — £ stg. 10,00	F.	100,00

Rosyjski Nostradamus

Zachwycamy się przepowiedniami Nostradamusa, doktora Afhana i innych „zamorskich proroków" i nawet nam przez myśl nie przejdzie, że oto nasz człowiek, Rosjanin, już w ubiegłym stuleciu dokładnie przepowiedział, jakie będą dzieje Rosji.

W doskonałych „Listach do przyszłości" Herzen pisał: „Główną jej (przyszłości) nutę możemy zrozumieć już dziś. Będą nią idee społeczne. Socjalizm rozwinie się i pociągnie za sobą na wszystkich etapach skrajne, niedorzeczne skutki. Wtedy znów z tytanicznej piersi rewolucyjnej mniejszości wyrwie się krzyk buntu i znów zacznie się walka na śmierć i życie, w której socjalizm zajmie miejsce obecnego konserwatyzmu i padnie pod ciosami nacierającej, nieznanej nam rewolucji..."

Należy sądzić, że to właśnie stało się w sierpniu 1991 roku, kiedy reakcyjno-koszarowy socjalizm, jaki u nas istniał, został ostatecznie i chyba na zawsze zmieciony.

Cóż więc przeszkadzało buntowniczemu Herzenowi w socjalistach i ideach socjalistycznych?

„Głuche wrzenie, które przebiega przez narody, wynika z głodu — pisał Herzen. — Gdyby proletariusz był bogatszy, ani by nie myślał o komunizmie".

Wróćmy jednak do rozważań Herzena o socjalizmie. „Weźcie tabun dzikich koni — pisał. — Całkowita wolność, równe prawa, prawdziwy komunizm, za to niemożliwy jest jakikolwiek rozwój... Człowiek poważnie zajmuje się czymkolwiek tylko wtedy, kiedy to robi dla siebie". Oto wielki socjalista Herzen!

Czasami wydaje się, że jego przenikliwość nie ma granic. Przewiduje zwycięstwo socjalistów w Rosji i ich nieuchronny upadek pod naporem „rodzącej się demokracji". Nie poprzestaje jednak na tym i dalej rozwija obraz przyszłości:

„Demokracja — pisze — to przede wszystkim czas teraźniejszy, to walka, opór wobec anarchii, społecznych kłamstw,

które tak rozkwitły w przeszłości, to oczyszczający ogień, który spali przestarzałe formy i, rzecz jasna, zgaśnie, kiedy spopieli się to, co należy spalić. Demokracja nie może niczego zbudować, to nie jej zadanie, po śmierci ostatniego wroga staje się niedorzecznością, demokraci wiedzą tylko (by użyć słów Cromwella) czego nie chcą, nie wiedzą natomiast czego chcą".

Cóż więc nas czeka?

Na to pytanie Herzen również udziela wyczerpującej i trafnej odpowiedzi: „Demokracja... ma straszną niszczycielską moc, kiedy jednak przystępuje do budowania, gubi się w szkolnych próbach, w etiudach politycznych. Oczywiście burzenie też jest budowaniem, tworzy się w ten sposób miejsce i już to jest budowaniem; usuwa ono wiele kłamstw, i już to jest prawdą. Ale do prawdziwej twórczości demokracja nie jest zdolna — i dlatego nie ona jest przyszłością. Przyszłość leży poza granicami polityki, przyszłość unosi się nad chaosem wszelkich politycznych i społecznych ruchów, chociaż z nich czerpie nici, z których utka nową tkaninę, śmiertelny całun dla przeszłości i pieluszki dla noworodka".

A. BUZYKIN

Argumenty i Fakty nr 1/1992.

Jedna ludzkość wystarczy

1.

Amerykańska agencja badania przestrzeni kosmicznej NSA ma podjąć niebawem gigantyczny wysiłek celem stwierdzenia, czy istnieją we wszechświecie inne inteligentne istoty poza mieszkańcami planety Ziemi. Wiadomo na pewno, że nie ma ich na żadnej innej planecie naszego systemu słonecznego. Ale ilość słońc, podobnych do naszego Słońca, w samej tylko naszej galaktyce czyli na przestrzeni około 100.000 lat świetlnych, idzie w wiele miliardów i przynajmniej niektóre z nich muszą mieć systemy planetarne podobne do naszego, a wśród tej istnej kurzawy planet przynajmniej niektóre muszą być zdolne do utrzymania życia, w tym również istot inteligentnych jak człowiek. Od kilku dziesięcioleci trwają próby stwierdzenia, czy tak jest istotnie, i ewentualnego nawiązania kontaktu z tymi pozaziemskimi inteligentnymi istotami. Dotychczas próby dały wynik negatywny, ale uczeni wzbraniają się przed wyciągnięciem z tego wniosku, że jesteśmy we wszechświecie sami. Stąd ten nowy program badawczy, zakrojony podobno na tak ogromną skalę i tak technicznie sprawny, że w ciągu kilku minut przekroczy wszystko, co dotychczas w tej dziedzinie zrobiono. Program nazywa się w skrócie SETI (*Search for Extra-Terrestrial Intelligence*).

Godna zastanowienia jest motywacja tego przedsięwzięcia. Nie chodzi o to, że jego wartość praktyczna jest równa zeru — nawet gdyby poszukiwania dały jakiś pozytywny efekt. Sama intelektualna ciekawość jest dostatecznym jego usprawiedliwieniem. Rzecz w tym, że także zaspokojenie ciekawości jest bardzo problematyczne. Bo jaki wynik można uznać za pozytywny, za dowód, że istnieje gdzieś w głębi naszej galaktyki myśląca

quasi-ludzka istota?* Oczywiście znalezienie sygnału radiowego, który byłby na tyle artykułowany, że na pewno nie mógłby być wynikiem samorzutnego naturalnego procesu, lecz świadomą konstrukcją myślącego podmiotu. Sygnał mógłby na przykład mieć cechy matematycznego zapisu i w takim przypadku ziemscy uczeni mogliby go nawet odczytać. Mogłoby to znaczyć, że owa pozaziemska istota wysłała ten zapis w przestrzeń w nadziei właśnie, że inna inteligentna istota zdoła go odczytać i może zechce nań w podobny sposób odpowiedzieć. (W r. 1974 ziemscy uczeni wysyłali tego rodzaju zapisy w przestrzeń na pokładzie sondy kosmicznej). Do tej pory żadnej odpowiedzi na tę aktywną próbę nawiązania kosmicznego kontaktu nie ma; obecny program SETI ma charakter tylko biernego nasłuchiwania). Ale te dość znikome nadzieje dodatkowo obciąża fakt, że wszelka kosmiczna „korespondencja" (zakładając, że w ogóle o korespondencji można mówić) byłaby tak powolna, że ziemski korespondent nie miałby żadnej szansy (w wyjątkowym przypadku minimalną szansę) dożycia momentu, w którym jego sygnał dotrze do adresata (zakładając, że adresat istnieje i że sygnał w ogóle gdzieś dotrze). I na odwrót. Bo odległości intergalaktyczne — nie mówiąc już o poza-galaktycznych — są tak olbrzymie, że nawet poczta biegnąca z szybkością światła potrzebowałaby na każdy przebieg w jedną czy w drugą stronę setek i tysięcy lat.

Intelektualna motywacja poszukiwaczy poza-ziemskich inteligencji jest zatem zgoła heroiczna. Co jest jej sprężyną? Oczywiście przekonanie, że poza-ziemskie inteligencje muszą istnieć. Jest to statystyczna konieczność. Skoro ilość słońc w naszej galaktyce wyposażonych w systemy planetarne jest tak zawrotnie wysoka, a planet zdolnych do utrzymania życia, w tym też inteligentnego życia, zapewne niewiele mniejsza, jest wysoce nieprawdopodobne, by sprawny i długotrwały program SETI nie znalazł, prędzej czy później, żadnych śladów poza-ziemskich inteligencji. Astronomiczne odległości i astronomiczne czasookresy istnienia systemów są dodatkowym argumentem na rzecz możliwości odnalezienia takich śladów, bo poszukiwanie ich nie ogranicza się do tego, co tam istnieje teraz (o ile „teraz" ma sens w kontekście, w którym znaczącą rolę gra szybkość światła), ale sonduje również głęboką astronomiczną przeszłość. Nasi potencjalni kosmiczni korespondenci mogą być dziedzicami cywilizacji znacznie starszych i bardziej zaawansowanych niż nasza. Dokładnym korelatem wysokiego prawdopodobieństwa

* Program SETI ogranicza się do naszej galaktyki (czyli systemu Drogi Mlecznej). Wychodzenie dalej na odległości milionów lat świetlnych nie miałoby żadnego sensu.

istnienia poza-ziemskich inteligencji jest takie samo *nie*-prawdopodobieństwo, by jedynymi inteligentnymi istotami w nie mającym granic wszechświecie byli mieszkańcy podrzędnej planety krążącej wokół bardzo przeciętnego słońca na skraju jednej z wielu miliardów galaktyk — czyli my, ludzie. To się w głowie nie mieści. Trudności trudnościami, ale myślące poza-ziemskie istoty muszą istnieć.

Czy naprawdę muszą?

2.

U podstaw całego tego rozumowania zdają się leżeć dwa założenia, które niekoniecznie i nie zawsze są prawdziwe. Są one przyjmowane milcząco, często nawet nieświadomie i dlatego może lepiej je określić jako predyspozycje uczonych. Jedna, ubrana w słowa, powiada, że co jest statystycznie prawdopodobne, można przyjąć jako (statystycznie) prawdziwe. A jednak są przecież konkretne sytuacje, np. w ruletce, w których faktem staje się układ wysoce nieprawdopodobny. Do roli tego założenia w odniesieniu do konkretnych sytuacji przyjdzie mi jeszcze powrócić. Drugie założenie ma swe źródło w przekonaniu, że wzorem ścisłości i poprawności naukowej są zmatematyzowane nauki o przyrodzie martwej, głównie fizyka, i stąd tendencja do podciągania wszelkiego rodzaju zjawisk pod regularności praw przyrody. Przy tym założeniu nie widać żadnego powodu, dla którego zjawiska życia i inteligencji nie miałyby występować w kosmosie równie regularnie — choć, ze względu na złożoność tych zjawisk, z mniejszą częstotliwością — jak zjawiska, dajmy na to, grawitacji czy elektromagnetyzmu. Ale regularność i przewidywalność funkcjonowania praw przyrody staje się zawodna na gruncie nauk o przyrodzie żywej, w tym także w teorii ewolucji, a już zwłaszcza na gruncie nauk humanistycznych, *nota bene* w historii. Tu do głosu dochodzą zjawiska jednostkowe (indywidualne wydarzenia), wobec których fizyk czuje się bezsilny.

A jednak w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat także fizyka była zmuszona porać się ze zjawiskami jednostkowymi na swym własnym gruncie, ściślej mówiąc, w kosmologii (która jest przecież nauką *par excellence* fizykalną). Kłopotliwy z punktu widzenia fizyki status tych zjawisk znajduje wyraz w określeniu ich mianem *osobliwości* (ang. *singularity*). Klasycznym przypadkiem jest tu oczywiście tzw. *Big Bang, moment zero*, od którego miał się rozpocząć, przyjmowany dziś za fakt, proces kosmicznej ekspansji wszechświata. Za osobliwości uchodzą także tzw. „czarne dziury" (*black holes*), pozostałości po masywnych gwiazdach,

które zapadły się pod własnym ciężarem, jako że są to punkty w przestrzeni kosmicznej, w których normalne prawa przyrody przestają obowiązywać. W tym kontekście można by się zapytać, czy pojawienie się życia na ziemi nie jest także osobliwością, która wydarzyła się w historii Ziemi jeden jedyny raz — i to przypadkiem. Tak twierdził w swej słynnej książce *Le Hasard et la nécessité* laureat Nobla Jacques Monod. Był to według Monoda przypadek skrajnie nieprawdopodobny, z tym jednak że dalsza ewolucja życia była już wynikającą z generalnych praw przyrody koniecznością. Aż do obdarzonego inteligencją człowieka. *Homo sapiens* zatem też jest kombinacją przypadku i konieczności. Ale jeśli ten niesamowicie płodny przypadek, który zdarzył się na naszej Ziemi, był też tak bardzo nieprawdopodobny, to nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że taki sam nieprawdopodobny przypadek musiał się również zdarzyć gdzie indziej w kosmosie. To nieprawdopodobieństwo idzie w zawody z takim samym z grubsza prawdopodobieństwem, na którym poszukiwacze poza-ziemskiej inteligencji opierają swoje nadzieje (jak o tym była mowa w pierwszej części niniejszego artykułu). Jest zatem równie prawdopodobne, że zjawisko życia, w tym nade wszystko świadomego, inteligentnego życia, jest ograniczone do tego pyłka na skraju jednej z miliardów galaktyk, jakim jest nasza Ziemia, i że poza tym nigdzie w kosmosie żadnego życia, nie mówiąc już o inteligentnym życiu, nie ma. Życie na Ziemi, a zatem i wszelkie inteligentne życie, jest kosmiczną osobliwością. W takim razie program SETI byłby skazany na wieczne niepowodzenie.

Ale tu muszę przypomnieć pierwsze założenie, o którym powiedziałem, że w sposób nie całkiem uświadomiony kształtuje myślenie uczonych rzeczników programu SETI: że wysokie statystyczne prawdopodobieństwo pewnego stanu rzeczy pozwala ten stan rzeczy przyjąć jako udowodniony fakt. Jeżeli krytyka tego założenia podważa zasadność programu SETI, to podważa również zasadność mojego twierdzenia, że program SETI jest skazany na wieczne niepowodzenie. Bo i tu i tam koronnym argumentem jest statystyczne prawdopodobieństwo. Doprowadza nas to do stanu równowagi między argumentacją za i przeciw: żadne stanowisko nie jest w pełni przekonujące. Ale o to mi tylko w mojej argumentacji chodziło. Program SETI ma tylko tę praktyczną przewagę nad stanowiskiem jego krytyków, że nawet wieczne niepowodzenie nie przekreśla jego zasadności w sposób definitywny: rzecznicy SETI zawsze mogą twierdzić, że *jeszcze* kontaktu z poza-ziemską inteligencją nie nawiązano (ale jutro to może nastąpić). Natomiast krytycy SETI całkiem wyraźnie nastawiają karku: z chwilą, gdy otrzymany zostanie z przestrzeni kosmicznej zapis, który niewątpliwie jest dziełem myślącego podmiotu, ich sprawa będzie przegrana. Będą musieli się zgodzić, że istnieją w kosmosie istoty inteligentne inne niż człowiek.

3.

Przyznaję, że nie chciałbym, aby do tego doszło. Jakkolwiek otworzyłoby to zupełnie zawrotne perspektywy intelektualne, odczułbym to jako dewaluację naszej dostojnej rodziny ludzkiej, sprowadzonej w ten sposób do roli masowego produktu w skali kosmicznej. Tym trudniej byłoby uwierzyć, że pojedynczy ludzie i ludzkość (ta ziemska) mają do spełnienia jakąś rolę moralną (w najszerszym tego słowa znaczeniu), innymi słowy, że chodzi o coś więcej niż indywidualne i zbiorowe przeżycie, o służenie wartościom przerastającym nas, wartościom transcendentnym. Nauki przyrodnicze ostatnich kilku stuleci świadomie wyrzekały się wszelkiego moralnego wartościowania w obawie (poniekąd uzasadnionej), by preferencje moralne, zwłaszcza zbyt łatwe powoływanie się na Boga, nie wykrzywiły obiektywnego obrazu rzeczywistości. Poszukiwanie innych ludzkości poza ziemską też idzie po tej linii. Bo dlaczego nasza ludzkość miałaby być uprzywilejowana? Wartościami niech się zajmą nauki humanistyczne; obiektywnej nauce od tego wara.

Ale absolutnej separacji od świata wartości nie da się utrzymać i nadmierny purytanizm w tym względzie prowadzi do swoistych zwyrodnień naukowego obiektywizmu. Szczególnego pola do popisu dostarczają tu wspomniane wyżej „osobliwości". Żenujące zgoła są wysiłki niektórych kosmologów (np. Hawkinga), by pojęcie *creation* (stworzenie), które w debatach na temat *Big Bang* jest nie do uniknięcia, wyprać z wszelkich metafizycznych asocjacji, by przypadkiem od „stworzenia" nie ześliznąć się do zakazanego pojęcia Stwórcy. (Co z drugiej strony nie znaczy oczywiście, by należało kosmiczny *moment zero* lekkomyślnie identyfikować w czasie z Bożym aktem stworzenia). Te metafizyczno-religijne asocjacje są tylko szczegółowym przypadkiem podziwu i czci wobec cudów fizycznego świata, które żadnemu twórczemu uczonemu nie są obce. Nie są obce takiemu Jacques Monod, gdy w *Le Hasard et la nécessité* zgłębia niezrozumiałą ostatecznie tajemnicę życia, jakkolwiek wielki uczony usiłuje je maskować. W ostatnim rozdziale swej książki Monod przyznaje, że nie ma logicznego wyjścia ze starej zasady witalistów *Omne vivum ex ovo*, ale nie wyciąga z tego żadnego nieprawomyślnego wniosku, dając się zamiast tego ponieść medytacji na temat potrzeby socjalizmu (książka ukazała się z górą 20 lat temu). Monod byłby dzisiaj prawdopodobnie zwo-

lennikiem tzw. AI (*Artificial Intelligence*), tezy że wyprodukowanie w laboratorium inteligentnego robota, który będzie w stanie nie tylko grać w szachy, ale też pobierać własne decyzje i pisać poezje, jest tylko kwestią czasu. (Wizja jeszcze jednej alternatywnej „ludzkości"?). Zwolenników AI jakoś nie przeraża fakt, że projekt zredukowania inteligencji do roli przemyślanego lecz ostatecznie mechanicznego fabrykatu nie tylko niszczy wszystko, co człowiekowi jest drogie, ale zagraża również ich własnej racji istnienia. Jeżeli nie ma żadnych specyficznie ludzkich wartości, otwartych na transcendencję, to i poezja robota może być tylko poezją absurdu, ale absurdu pozbawionego „dreszczu metafizycznego" Witkacego czy Samuela Becketta. Grozę tych ambicji trafnie wyczuł już wiele lat temu C.S. Lewis w swym klasycznym eseju *The Abolition of Man*. Ale C.S. Lewis był wrażliwym humanistą. Natomiast Roger Penrose jest fizykiem, kosmologiem i matematykiem, jednym z wybitniejszych obecnego pokolenia. Penrose ma odwagę powiedzieć inżynierom sztucznej inteligencji, że ich wymarzony cesarz jest nagi. Stąd subtelnie aluzyjny tytuł jego najnowszej książki (jedynej chyba czytelnej również dla nie-fachowców) *The Emperor's New Mind* (Oxford University Press, 1991). Choć jest to nowość chyba tylko dla fanatycznych rzeczników radykalnego sformalizowania matematyki (zmechanizowania, *pièce de résistance* tych wysiłków, stanowią „maszyny" Turinga); od czasów klasycznego już twierdzenia Kurta Gödela (1931) wiadomo, że nawet twórczość matematyczna nie jest możliwa bez specyficznie ludzkiego skoku wyobraźni, do którego właśnie tylko człowiek jest zdolny.

Swoistą osobliwością kosmologiczną jest tak zwana zasada antropizmu (*the anthropic principle*). Pisałem o tym niespełna dziesięć lat temu pod wrażeniem pierwszego zetknięcia się z tą rewelacyjną „zasadą" w literaturze popularno-naukowej**). Od tego czasu śledzę nieustającą debatę na ten temat i próby wyegzorcyzmowania czy unieszkodliwienia tej mocno nie-neutralnej i w tym sensie „nie-naukowej" zasady. Bo mówi ona ni mniej ni więcej, że nasz wszechświat od samego początku tak się ukształtował (czy został ukształtowany?), by po miliardach lat w jednym przynajmniej jego punkcie (tylko jednym? tylko na Ziemi?) mogło w nim powstać życie i mógł powstać człowiek. Stąd nazwa „antropizm", niby „człowieczość" naszego Universum. Nie tu miejsce, by wyłuszczać, jakimi sposobami uczeni kosmologowie usiłują zapobiec, by „antropizm" nie przerodził się w „teizm". Mam zresztą nadzieję, że nie grozi nam naukowy teizm, bo taki teizm z jednej strony sprowadziłby Boga do roli

** „Człowiek w centrum wszechświata?" *Kultura* Nr 12/423, grudzień 1982.

elementu naturalnego świata, a z drugiej położyłby kres ludzkiej wolności, w tym i zdolności kochania, pozbawiając także nasz stosunek do Boga wszelkiej spontaniczności. Ale w ramach takiej spontaniczności doskonale się mieści podziw i cześć dla cudownego nieprawdopodobieństwa fizycznej konstrukcji wszechświata, o której mówi zasada antropizmu, jak i cudu ludzkiej świadomości, która potrafi wszechświat obserwować. Prawda, że skoro ta relacja *wszechświat-ludzkość-wszechświat* jest tak piękna, to może należałoby sobie życzyć, by ludzkości we wszechświecie było więcej niż jedna. Ale o to właśnie chodzi, że mnogość nieprawdopodobieństwa czyni je bardziej prawdopodobnym — i o tyle mniej cennym. To takie kosmiczne prawo podaży i popytu. Mnie w każdym razie jedna ludzkość wystarczy.

Antoni POSPIESZALSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □ PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 2 lutego 1992

Na początku 1943 roku zawisło w ZSSR na włosku życie siedemdziesięciu tysięcy włoskich jeńców wojennych z korpusu ekspedycyjnego Armir. Mróz zabijał ich jak muchy. Marli z głodu. Włoski delegat do Międzynarodówki komunistycznej Vincenzo Bianco poprosił Togliattiego o interwencję u Stalina. Odgrzebano ostatnio w archiwach moskiewskich odpowiedź Togliattiego: „Nasze pryncypialne stanowisko wobec wojsk, które wtargnęły do Związku Sowieckiego, zostało sformułowane przez towarzysza Stalina. W praktyce jednak, jeśli duża ilość jeńców umrze w ciężkich warunkach, nie będę miał nic przeciwko temu, więcej nawet — fakt że dla tysięcy rodzin włoskich wojna Mussoliniego i przede wszystkim ekspedycja przeciw Rosji zakończą się tragedią i żałobą, ten fakt stanowić będzie najlepsze antidotum (na faszyzm). W nieuchronnej śmierci wielu jeńców włoskich widzę konkretną misję tej sprawiedliwości, którą boski (w późniejszej dokładniejszej wersji: stary) Hegel uważał za immanentną część Historii".

Divino o vecchio Hegel, boski lub stary Hegel! Nieboszczyka Togliattiego wolno uznać za „super-ukąszonego" przez niemieckiego filozofa, którego żywe jeszcze ofiary wiją się dziś z bólu i wstydu.

Kilka lat temu powiedziałem mojemu znajomemu, wybitnemu włoskiemu historykowi i przywódcy ruchu oporu podczas wojny (nie komuniście), że dla mnie Togliatti zasługuje w pełni na określenie *mascalzone*, drań. Spojrzał na mnie z wyrzutem w oczach i odburknął krótko: „Wielki mąż stanu". Rzeczywiście, każdy „politolog" potraktuje moją „impulsywną reakcję" z politowaniem: nie ma pan pojęcia o polityce. Nie mam, to prawda, o takiej polityce, podszytej w dodatku filozofią, nie mam i nie

chcę mieć pojęcia. Harold Macmillan kazał odsyłać siłą do ZSSR żołnierzy z kozackich formacji antykomunistycznych, wiedząc doskonale co ich tam czeka. Jak go nazwać? Wielki mąż stanu? *Scoundrel*? Który z „boskich czy starych" filozofów „ukąsił" Macmillana?

8 lutego

Istnieje gatunek dużych mrówek afrykańskich, żywiących się wydzielinami własnymi lub towarzyszek; stworzyły one autarchiczny obieg wewnętrzny, który w swoistej obręczy *perpetuum mobile* uniezależnia się od świata zewnętrznego. Przypuszczam, że na podobnych zasadach działać będą przez jakieś 15-20 lat nowi adepci „sowietologii" po upadku ZSSR i krachu komunizmu. Aż do dnia zupełnego zatarcia „kraju zwycięskiej rewolucji" w świadomości i pamięci czytelników. Przeglądając produkty nowej fali „sowietologicznej", mam uczucie *déjà vu*: ktoś już kiedyś to wszystko napisał, przeżuł i wydzielił, a teraz pokolenie mrówek w autarchicznym obiegu wewnętrznym zabiera się do konsumpcji wydzielin. Dowcip polega na tym, że dopóki prosperował „mit sowiecki i komunistyczny", jego analiści i krytycy byli ignorowani, traktowani z nieukrywaną niechęcią, jeśli nie wrogością. Drobny tylko przykład: kiedy Maria i Bohdan Paczowscy mieszkali w Mediolanie, a ja pisywałem do dzienników mediolańskich, włoscy znajomi moich przyjaciół witali ukazanie się każdego mojego artykułu słowami *il solito Herling*, co trudno przełożyć na polski, ale w każdym razie oznacza: znowu porcja bujd na resorach. Teraz, na „cmentarzysku idej" (Broniewski), mrówki „sowietologiczne" mają od czego zacząć swoje przeżuwanie i wydzielanie. Drobną cząstką „pokarmu" będą pewnie także setki moich wycinków z *Corriere* i *Giornale*.

Tę refleksję wywołała świeżo wydana książka *L'immagine dell'URSS*, podtytuł: *L'Occidente e la Russia di Stalin 1927-1956*. Jej autor, Marcello Flores, „politolog" z uniwersytetu triesteńskiego, zebrał pracowicie wszystko chyba, co odtwarza „wizerunek ZSSR" w oczach Zachodu na przestrzeni trzydziestu wskazanych w podtytule lat. Nie chciałbym, żeby ironiczny ton mojej refleksji rzucał cień na benedyktyński wysiłek Floresa. Ale nic na to nie poradzę, że wszystko co „odkrył" nad grobem „mitu sowieckiego i komunistycznego" ludzie zajmujący się w przeszłości poważnie tymi sprawami omawiali już dziesiątki razy, przy absolutnej prawie obojętności tzw. myślącej publiczności. Dzisiaj, gdy „mit" leży w gruzach, tzw. myśląca publiczność będzie przypuszczalnie czytać pożyteczną na swój sposób książ-

kę Floresa z okrzykami „niebywałe!", „nigdy o tym nie słyszałem!", „wierzyć się nie chce!".

Głęboki smutek, pomieszany z irytacją, ogarnia podczas kartkowania *Wizerunku ZSSR w oczach Zachodu*. Tzw. intelektualiści, luminarze kultury europejskiej, padają plackiem (z nielicznymi wyjątkami) przed bożkiem-„mitem". Ryk zachwytu zagłusza głosy nielicznych wyjątków. Jest w tym coś z bigoterii nowych religiantów. To prawda, że Bertrand Russell trzeźwo ocenił perspektywy bolszewizmu już w roku 1920. Ale jego sceptycyzm (co najmniej) niewiele ważył wobec zachwytów i zachłystów państwa Webb, Wellsa, Shawa. Ten ostatni przyłapał „mit" na gorącym uczynku kłamstwa podczas swojej podróży do Rosji sowieckiej, co wszakże nie osłabiło pozytywnej „oceny globalnej". Gide odszczekał swoje początkowe wiwaty w *Powrocie z ZSSR*, nie wpłynęło to jednak później na euforyczne idiotyzmy Sartre'a i jego „intelektualnych" podopiecznych (u nas Kottów, Brandysów, etc.). Walter Benjamin nie ukrywał zgorszenia i może oburzenia wobec mądrej nieufności Josepha Rotha. Można tak cytować bez końca, robi to zresztą Flores z podziwu godną skrupulatnością i cierpliwością. Ale po co? Jedyny ciekawy aspekt zachodniego „kultu" sprowadza się do pytania: jaka była główna przyczyna ślepoty? Według mnie dwojaka: „intelektualiści" puczyli się, nadymali jak ropuchy, na myśl że w „nowym ustroju" mogliby odegrać rolę kasty kapłańskiej (elity z wysokiego nadania), niewyobrażalną pod rządami demokracji; i na dobrą sprawę nie interesowało ich życie przeciętnych ludzi, choć zdawałoby się, że ono właśnie powinno przyciągać uwagę „zafascynowanych rewolucją". Autobiografia Koestlera *The Invisible Writing* jest pod tym względem książką zadziwiającą: jako komunista objeżdżał cały Związek Sowiecki, republikę po republice, zbierając materiały do wielkiego reportażu *Białe noce i czerwone dnie*, i prawie zupełnie nie dostrzegał, nie chciał czy nie umiał dostrzegać, powszedniej rzeczywistości. Tylko taki daltonista mógł napisać, po zerwaniu z komunizmem, błyskotliwe „intelektualnie" bałamuctwo *Ciemność w południe*.

11 lutego

Sen, koszmarny sen. Sprowokowały go prawdopodobnie freudowskie „resztki świadomości". Wczoraj przeczytałem w *Tygodniku Powszechnym* wywiad z Prezydentem Wałęsą, pod krzepiącym tytułem *Nie widzę czarnego scenariusza*. Wczoraj też przeglądałem mój dziennik z lat 1989-1991, powstała bowiem możliwość wydania piątego tomu. I pod datą 23 maja 1990 znalazłem zapis o zbiegłym z kart *Nienasycenia* Erazmie Kocmołu-

chowiczu, Wielkim Kocmołuchu, szefie Syndykatu Narodowego Zbawienia. Marzył wówczas o prezydenckim tronie. W jego zdobyciu miał mu pomóc przybyły z Paryża „chytrus" Genezyp Kapen, Zypciem przez niego familiarnie zwany.

W moim śnie widziałem go już na upragnionym tronie, rozwalonego dumnie, nóżkami przebierającego w powietrzu (tron był wysoki). Nóżkami machał w powietrzu, ale nie w zupełnej próżni, bo natrafiwszy na zadek pokornie schylonego Zypcia, wykopał go z prezydenckiej gwardii przybocznej. „Niech idzie do premiera Olechowskiego!", krzyknął z gniewem. W ogóle był zły, dusił go gniew z racji „kadłubkowego" (tak go nazywał) Sejmu, tworu nędznie niskiej frekwencji wyborczej, no i z racji Olechowskiego, który go irytował twardymi zasadami i czystymi rękami. O „kadłubkowym" Sejmie powiedział: „uprawiają suchy branzel", co wywołało zgorszenie duchowieństwa. Premiera zbywał prychaniem: „Pokażę mu jeszcze co to Wielka Polityka, prawiczka nie będzie u mnie odgrywał".

Ufał dwóm tylko osobom: spowiednikowi księdzu Cybulskiemu i szambelanowi Wachowiakowi, którego podniósł do godności ministra stanu (złośliwi nazywali go oddźwiernym stanu). Przemyśliwał furt jak się wywinąć z trudnej sytuacji. Ksiądz Cybulski mówił: „Módl się synu, w Bogu jedyna nadzieja". To za mało. Lepszy był Wachowiak: opowiedział mu o Sulejówku (a Piłsudskiego nasz Wielki Kocmołuch wenerował). Na miejsce z którego Wielki Kocmołuch pokaże Sejmowi swoje prezydenckie siedzenie wybrano symbolicznie Arłamowo. „Przyjdą do ciebie — szeptał mu na ucho Wachowiak, — będą cię na kolanach prosić". O co? — zapytał Kocmołuch. „Mniejsza o to, aby tylko prosili" — odparł Szambelan i ta odpowiedź spodobała się Prezydentowi. Ksiądz Cybulski żegnał się tylko i podnosił oczy do nieba.

Jak umyślili, tak uczynili. Minął jeden miesiąc, minął drugi — i nic. Aż wreszcie, mimo protestów premiera, przyszła delegacja Sejmu i Senatu pod wodzą marszałka Chrześciakiewicza. Zaproponowali samorozwiązanie i nowe wybory z progiem 3 procent, to znaczy kto niżej, ten się nie bawi. No i dobrze, grunt że Olechowski musiał się podać do dymisji, dość tego twardziela i czyścioszka! Frekwencja wyborcza tym razem pobiła wszystkie rekordy światowe (w dół): 26 procent. Partia Piwoszów (PP) zdobyła 5 procent, Partia Wódczana (PW) 8 procent, Partia Miłośników Wina (PMW) 4 procent, Partia Prawdziwych Polaków (PPP) 7 procent, Partia Polaków Katolików (PPK) 9 procent, Partia Niepodległej Lewicy (PNL) 3 procent czyli akurat tyle żeby wejść do Sejmu, Związek Elit (ZE) 2 procent, Kujawiecki won. Chłopi w ogóle nie stanęli do wyborów. Resztę (większość) Sejmu stanowili indywidualni posłowie bezpar-

tyjni, którzy się po prostu z tych czy innych względów podobali nielicznym wyborcom. Wielki Kocmołuch zmarszczył groźnie brwi. „Tamten był kadłubkowy, ten jest przydupny, nie na wiele się zdał mój Sulejówek (tu łypnął na Wachowiaka). No ale trudno się mówi, rządzić trzeba". Premierem zrobił Chrześciakiewicza, przywódcę PPK, prosząc go by wielkodusznym gestem ministerstwo spraw zagranicznych zaofiarował Kujawieckiemu. Ten zaś, długo długo pomyślawszy, odmówił. „Programem naszym — rzekł — jest czekanie. Przyjdzie jeszcze sposobna chwila historyczna dla Związku Elit". Profesor, zastępca Kujawieckiego, skinął w milczeniu potakująco swoją profesorską głową.

Tak oto, Alkohol i Wiara podały sobie ręce, by kraj Wielkiego Kocmołucha poprowadzić ku świetlanej przyszłości. Ledwie jednak premier i ministrowie ucałowali w akcie przysięgi pierścień Prezydenta (podarowany mu przez Papieża), ze Wschodu ruszyła nawała wygłodniałych i krwiożerczych pogromców epoki Murti-Binga. Wielki Kocmołuch, marząc o swoim Roku 1920, stanął na czele mizernej armii ochotniczej (innej nie było), a ja, jego oddany ciałem i duszą Kadłubek, obudziłem się tak mokry, jakby nad moim łóżkiem zainstalował ktoś prysznic.

14 lutego

Oskarżano Nietzschego — powiada profesor Ernst Nolte, głośny historyk niemiecki — o sformułowanie filozoficznych przesłanek, które w zwulgaryzowanej formie zostały podchwycone i wykorzystane przez Hitlera i Mussoliniego. Nie był więc prekursorem narodowego socjalizmu i faszyzmu, dał tylko ich „prefigurację filozoficzną", zaszczepił im (u progu obłędu) „kierunek myśli". To co innego, upomina Nolte. Być może. Faktem jest, że (jak twierdzi Nolte) zarówno Marks jak Nietzsche byli „głównymi ideologami europejskiej wojny domowej 1917-1945". Naszemu stuleciu Nietzsche wyprorokował wielką ideologiczną wojnę domową, której podporządkowane będą wojny narodowe i społeczne. Ostatnie notatki filozofa z roku 1898 są do głębi przeniknięte tym proroctwem, przy czym ideologiczna wojna domowa miałaby się zamienić w „walkę o uwolnienie życia" (pod wodzą partii kierowanej osobiście przez Nietzschego) i zakończyć unicestwieniem „całego rozwoju ludzkości od starożytności klasycznej". Jeżeli (wtrąca Nolte) „unicestwienie" rozumieć dosłownie, to przewidywana przez filozofa masakra sprowadziłaby do mikroskopijnych rozmiarów hitlerowskie „rozwiązanie ostateczne". Osobliwa, zaiste, „prefiguracja filozoficzna". Zapytany o stosunek Nietzschego do Żydów, Nolte cytuje zdanie filozofa „Żydzi są wśród narodów geniuszem moralności", co w jego ustach oznaczało nie pochwałę bynajmniej, lecz przeciwnie ostrą naganę. W liście do siostry z roku 1886 określił się co prawda jako „nieuleczalny Europejczyk i anty-antysemita", nie należy jednak według Noltego zapominać, że obejmował wspólną anatemą socjalizm, Żydów i chrześcijaństwo; anatemą, której przeznaczone było stać się „platformą ideologiczną" narodowego socjalizmu. Jeszcze raz zachodzę w głowę, na czym Nolte opiera rozróżnienie między „prekursorstwem" i „prefiguracją filozoficzną".

W rozmowie drukowanej w *Aneksie* w roku 1988 Renata Gorczyńska przytoczyła moje zdanie o „demonie naszych czasów, którym jest Konieczność Historyczna w rękach wielkich organizacji i w służbie wielkich celów". I zapytała: „Czy obarcza pan bezpośrednią odpowiedzialnością Hegla? Jak pan w ogóle ocenia odpowiedzialność filozofów i myślicieli za kształt świata?". Odpowiedziałem, że jest duża i ciężka. Że trzeba naturalnie filozofów czytać, ale nie wolno ich brać nazbyt serio. Gorczyńska przypomniała moje opowiadanie *Ugolone z Todi*, wymierzone przeciwko filozofom. Ta postać, wyjaśniłem, nie ma swego pierwowzoru. Zapomniałem w naszej rozmowie o jednym zabawnym szczególe: przez jakiś czas czytelnicy odgadywali w moim Ugolone aż kilku współczesnych filozofów (nie tylko włoskich).

19 lutego

Rozmaite papiery i listy w moim posiadaniu trudno nazwać archiwum, jest to raczej surowiec archiwalny, upychany rok po roku w wielu pudłach, chaotyczny, nigdy nie dotknięty porządkującą ręką w wysiłku jakiej takiej segregacji, zresztą skazany na spalenie po mojej śmierci. Kiedy Stanisław Andrzej Kowalczyk zwrócił się do mnie z propozycją wydania w książce listów Stempowskiego do mnie, wpadłem w panikę na samą myśl, że musiałbym opróżnić wszystkie pudła i dokładnie przeszukać ich zawartość. Kilkudniowa tortura. Odmówiłem, za co raz jeszcze Kowalczyka przepraszam.

Ale wczoraj przewróciłem w komórce przez nieuwagę jedno pudło, wysypały się listy i „papierasy" (jak mawiał Zbyszewski), uderzyła mnie duża koperta z napisem „Nieudana podróż do Polski, list Iwaszkiewicza". Nie pamiętam, dlaczego połączyłem te dwie różne sprawy, różne treściowo i kalendarzowo, w jednej kopercie. W każdym razie zajrzałem do niej z ciekawością.

W roku 1962 Stefan Kisielewski rzucił pod adresem *Kultury* wyzwanie: ktoś z was musi na krótko choćby pojechać do Pol-

ski, bo inaczej nasze rozmowy staną się coraz bardziej bezkrwiste i jałowe. Przyjąłem to wyzwanie. Redaktor włoskiego dziennika socjaldemokratycznego *La Giustizia*, mój przyjaciel Pellicani (poseł), poprosił w konsulacie PRL w Rzymie o trzymiesięczną wizę dla swego „wysłannika specjalnego". Po dwóch miesiącach przyszła odmowa. Dziennik zareagował na to ostro, na pierwszej stronicy (którą zachowałem) ogłosił moje oświadczenie, komentarz Pellicaniego i protest Saragata, przywódcy socjaldemokratów. Ale brak niestety w kopercie komicznego epilogu, widocznie zapodział się w innym pudle. Epilog zaś był następujący. W kilka miesięcy później Saragat został ministrem spraw zagranicznych; zasugerowałem mu, żeby ambasadorowi włoskiemu w Warszawie polecił wyjaśnić przyczyny odmowy w polskim MSZ. Ambasador odbył rozmowę z wysokim urzędnikiem MSZ i przysłał ministrowi sprawozdanie, którego kopię dostałem. Jedno w tym raporcie zdanie było tak absurdalnie śmieszne, że ambasador na wszelki wypadek ujął je w cudzysłów. Mianowicie urzędnik MSZ, po dokładnym wyliczeniu wszystkich moich grzechów antysowietyzmu i antykomunizmu, dodał: „A poza tym współpracuje ściśle (tzn. ja) z miesięcznikiem *Kultura*, tym niebezpieczniejszym, że obiektywnym i na wysokim poziomie". Byłaby to prawdziwa perełka na obecnej wystawie *Kultury* w Warszawie.

List Iwaszkiewicza. W roku 1952 Iwaszkiewicz przyjechał do Neapolu z Reną Jeleńską (matką Kota), która przyjaźniła się bardzo z córkami Crocego. Iwaszkiewicz chciał koniecznie złożyć wizytę bardzo już choremu Crocemu, na krótko przed jego śmiercią. Rena wyprosiła ją u przeciwnej temu rodziny. Rozmowa (jak mi później opowiadano) trwała pięć minut i ograniczyła się do zdawkowych uprzejmości. Co naszemu klasykowi o żywej wyobraźni nie przeszkodziło opisać jej obszernie w swoim dzienniku; opisać tak obrzydliwie, z tak podłym i kłamliwym „zacięciem pisarskim", że eufemizmem staje się słowo „cham" na określenie nestora powojennej literatury polskiej. Rzecz ukazała się drukiem w *Nowej Kulturze* z okazji siedemdziesięciolecia urodzin Iwaszkiewicza (już po śmierci Crocego), potem zaś przedrukowały ją tygodnik komunistyczny we Francji i tygodnik neofaszystowski we Włoszech. W lutym 1961 dostałem list od Iwaszkiewicza z Taorminy. Zaklinał w nim „szanownego i drogiego pana Gustawa", by rodzinie filozofa „wyraził głęboki żal z powodu ukazania się fragmentu mego dziennika, dotyczącego wizyty u Benedetta Croce". Pisał dalej: „Oczywiście nie ma tu bardzo co tłumaczyć, bo tłumaczenia nie ma. Byłem wtedy w bardzo złej formie i widziałem we wszystkim samo zło (dobrze że nie dałem się namówić do opublikowania fragmentu o Rubinsteinie — z tej samej epoki!). Możliwe, że w 50 lat po mojej

śmierci, związane z kontekstem wspomnienie nie raziłoby tyle. Tak jak jest, jest bardzo nieprzyjemne. I da się wytłumaczyć tylko tak, jak to zrobiła Rena, mówiąc o mnie, że widocznie jestem utalentowany, ale nie inteligentny".

Szkoda, że kochany Kot Jeleński nie podzielał zdaje się opinii swojej matki. Gdyby ją był podzielał, nie pisałby do Iwaszkiewicza takich listów, jak te które za sprawą (raczej z winy) Piotra Kłoczowskiego (jednego z „chłopców od epistolografii Kota", szalenie niecierpliwych, niezdolnych poczekać aż upłynie 20-25 lat od jego śmierci) czytaliśmy w *Twórczości*.

23 lutego

Churchill opowiada w pamiętnikach o swoim spotkaniu ze Stalinem w sierpniu 1942. Zapytał go, czy tocząca się wojna z Niemcami jest dla niego cięższa od przymusowej kolektywizacji, czyli od wojny z chłopami. „Och, nie — odpowiedział Stalin — kolektywizacja narzuciła nam o wiele straszniejszą wojnę. Mieliśmy przeciw sobie dziesięć milionów chłopów. Była to straszna wojna, trwała cztery lata".

Dla ścisłości „tamta" wojna toczyła się przeciwko dwudziestu dwu milionom rodzin chłopskich, co pod koniec lat dwudziestych oznaczało około osiemdziesięciu procent ludności sowieckiej.

Znane są już dość dobrze okropności przymusowej, krwawej kolektywizacji, zarówno z opracowań naukowych, jak z literatury (choćby powieść Wasyla Grossmana *Wszystko płynie*). A mimo to zdumiewa i przeraża niewielka książeczka *Lettere de Kharkov*, w której włoski badacz Andrea Graziosi zebrał znalezione w archiwach włoskiego MSZ raporty pracowników konsularnych z Charkowa i Noworosyjska, oraz urzędników ambasady włoskiej w Moskwie. Raporty obejmują okres od roku 1930 do 1933, na Ukrainie i na północnym Kaukazie. Ich wartość informacyjna i analityczna jest ogromna, widać że Mussolini posłał do ZSSR najlepszy garnitur dyplomatyczny. Przed oczami czytelnika przesuwają się zwięzłe, rzeczowe opisy chłopów w niewoli państwa, epidemii, bandytyzmu, ludożerstwa, targów oferujących niewolników, porzuconych dzieci, mas chłopskich w ucieczce, rejonów rządzonych przez udzielnych władców, wsi w łapach małych despotów, napadów na piekarnie, baraków śmierci, konnych patroli z nahajkami w rękach, walk na śmierć i życie o garść zboża, bezlitośnie tłumionych buntów. Nad wszystkimi raportami unosi się głód, głód, głód, głód. Rzeczywiście, wojna groźniejsza od wojny z najazdem hitlerowskim. Jeden raport, z Charkowa z lutego 1932, przytacza apel znale-

ziony w skrzynce na listy konsulatu polskiego. „Jesteśmy w worku i nie możemy go sami rozwiązać. Jesteśmy gotowi pójść z każdym, kto zechce być naszym wyzwolicielem. Jesteśmy gotowi rzucić mu się do nóg, niech nas stratuje, niech maszeruje po naszych trupach, byle ocalił nasze dzieci... A jeśli ten apel trafi do waszych rąk, 'strażnicy kraju wolności', bądźcie przeklęci, kaci zrujnowanej Rosji, niszczyciele naszych rodzin, mordercy naszych synów i córek". Autorzy apelu określają się jako grupa nauczycieli wiejskich, robotników i rolników. O wyborze konsulatu polskiego zadecydowało pewnie, w podświadomości, wspomnienie wyprawy kijowskiej Piłsudskiego. Przypuszczam jednak, że podobne apele wrzucane były do skrzynek konsulatów niemieckich.

Graziosi twierdzi, że najpilniej śledziły głód na Ukrainie, i były najlepiej poinformowane, konsulaty włoskie, niemieckie i polskie. Francja i Anglia nie miały sieci konsularnej na Ukrainie i na północnym Kaukazie. Dlaczego? Wolały nie wiedzieć? Prawdopodobnie. Latem 1933 Edouard Herriot, ówczesny francuski minister spraw zagranicznych, odwiedził Ukrainę w szczytowym okresie głodu. Przejeżdżał ulicami miast, gdzie na wystawach piekarni wyłożone były bochny chleba, zrobione z pomalowanego gipsu. Stary lis (i zarazem osioł) parlamentarny miał widocznie rozwinięty ponad zwykłą miarę zmysł powonienia, skoro po powrocie do Paryża opowiadał dziennikarzom o „cudownym zapachu świeżo wypieczonego chleba w miastach pięknej i żyznej Ukrainy".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pieniądz światowy

Moneta kształtuje środowisko, w jakim rozwija się gospodarka. Pieniądz właściwie określony i umiejętnie modulowany, uwzględniający stan mobilizacji społeczeństwa, jego potrzeby i możliwości, wciskający się w szczeliny koniunktury i zawierający korzystne koligacje, będzie impulsem dla wszelkich poczynań gospodarczych, świadkiem dziejów, a zarazem ich siłą napędową, twórcą i symbolem zarówno wielkości narodu, jak zaradności jednostek. W losach monety wyczytać można historię powodzenia lub upadku społeczeństwa. Ale zrozumienie fenomenu pieniądza wymaga zapoznania się ze złożonymi pojęciami jego opisu i wielowartościową logiką jego krążenia.

INFLACJA

Kiedy w gospodarce rynkowej siła nabywcza konsumentów rośnie szybciej, niż wydajność pracy, albo długi przedsiębiorstwa bardziej niż wartość produkcji, albo wydatki rządu wyżej niż jego dochody — wówczas dostawy na rynek przestają wystarczać dla zaspokojenia potrzeb i na ogół rosną przy tym koszty produkcji. Prowadzi to do wzrostu cen, czyli do inflacji. Społeczeństwo konsumpcyjne jest społeczeństwem inflacyjnym, ponieważ motorem jego rozwoju jest tworzenie stale nowych potrzeb; dla ich zaspokojenia musi systematycznie rosnąć siła nabywcza konsumentów zarówno indywidualnych, jak i grupowych. Dochodzi wówczas do konfrontacji grup nacisku, które zabiegają o zwiększenie swych dochodów. Tak więc dla ochrony interesów pracowniczych związki zawodowe walczą o podwyżki płac. Wielkie firmy ze swej strony porozumiewają się dla jawnego podniesienia cen oraz zwiększają zakres ukrytych podwyżek, na przykład poprzez zmianę opakowania albo drobną innowację

techniczną. Wreszcie rząd zaciąga nowe długi albo dodrukowuje pieniędzy. Powyższym tendencjom mogą towarzyszyć działania antyinflacyjne, jak zwiększenie wydajności pracy albo odprowadzenie z rynku dopiero co wypuszczonych pieniędzy — ale na ogół nie są one w stanie sprowadzić inflacji do zera, ponieważ wszystkie powyższe grupy nacisku antycypują spadek wartości pieniądza i w projektach swoich z góry zabezpieczają sobie kompensatę. Inflacja jest składnikiem gospodarki rynkowej równie naturalnym, jak konkurencja: obie przyspieszają obrót kapitału oraz sprzyjają organizowaniu się społecznych grup interesu. Chodzi jedynie o to, by miały one ograniczony charakter. W przypadku inflacji ocenia się, że pułap 4% jest granicą stabilnej dynamiki, choć powojenny rozwój licznych krajów odbywał się w warunkach inflacji dwucyfrowej, a i dziś — na przykład Hong Kong — zadziwia osiągnięciami przy kilkunastoprocentowej inflacji. Na ogół jest ona tym większa, im wyższe są ceny surowców i szybszy wzrost płac, a także im bardziej zwiększa się zadłużenie osób, przedsiębiorstw i rządu, co znaczy że sprzyja jej tańszy kredyt i wzrost deficytu budżetowego. Zachodzi to w szczególności wówczas, gdy w wyniku potanienia kredytu powstają warunki do rozwoju tych, którzy nie dysponują gotówką. Wynika stąd wniosek, że ogólne zadłużenie prowadzi do wzrostu inflacji i spadku spożycia. Obawa przed inflacyjnymi skutkami rozwoju nakręcanego tanim kredytem i szybkim wzrostem spożycia stanowi obsesję środowisk finansowych Zachodu. Stąd właśnie czerpią one głębokie przekonanie o zbawiennym wpływie polityki rygoru w odniesieniu do wszystkich ubogich świata, w tym i Polski. Gospodarka postkomunistyczna ma charakter wybitnie inflacyjny i według finansowej logiki wprowadzenie dużych kredytów mogłoby tę inflację jeszcze przyspieszyć. Dla otwarcia nowych kredytów konieczna jest zdrowa gospodarka. Innymi słowy, Zachód da pieniądze na wschodnie reformy, kiedy tylko reformy te zostaną wprowadzone w życie.

STOPA PROCENTOWA I PARYTET MONETY

Stopa procentowa jest miarą zysku, jakiego oczekiwać można od pożyczonego kapitału: mówimy wówczas o „czynszu" pieniądza. Jeśli bank centralny podniesie stopę, wówczas może to stanowić zachętę dla obcych kapitałów. Może, ale nie musi. Stopa jest bowiem premią za poniesione ryzyko, dobrze działająca gospodarka nie musi dawać tego rodzaju gwarancji i na ogół na ruchliwym rynku czynsz pieniądza jest niski.

Polityka banków centralnych, ustalających poziom podstawowych rodzajów stopy procentowej, powinna być spójna z innymi czynnikami polityki finansowej, takimi jak parytet waluty, bilans handlowy czy podatki. Są to bowiem kategorie ściśle powiązane. Na przykład podniesienie stopy procentowej zwiększa atrakcyjność monety, która staje się towarem poszukiwanym, co znaczy, że rośnie jej wartość. Tym sposobem zwiększenie czynszu pieniądza prowadzić może do podniesienia jego parytetu w stosunku do innych walut. Sfery finansowe są na ogół zadowolone z takiego obrotu sprawy, natomiast gospodarka kraju może bardzo ucierpieć z powodu nadzwyczajnej konkurencji towarów importowanych, sztucznie potaniałych w następstwie obniżenia względnej wartości zagranicznej waluty. Spadek produkcji w Polsce wynika w dużej mierze z podobnych manewrów monetarnych. Wysoka stopa procentowa podtrzymuje atrakcyjność złotówki jako środka lokaty, stanowiąc przy tym główny, obok popiwku, czynnik antyinflacyjny. Zapewnia to podniesienie wartości złotówki w stosunku do walut zachodnich. Jest to proces całkowicie sztuczny, ponieważ rzeczywista wartość złotówki spadła w ciągu ostatnich kilku lat kilkakrotnie, natomiast parytet dolara został praktycznie utrzymany. Znaczy to, że dolar potaniał, a wraz z nim towary zagraniczne, ograniczając i bez tego nikłe szanse krajowego przemysłu wytwórczego. Logika mechanizmów finansowych zrównoważonego rynku stosowana do gospodarki o zachwianej równowadze normalnie musi przyspieszyć jej upadek.

DOLAR

Klasyczne zasady rynku finansowego, kładące się ciężkim brzemieniem na gospodarce krajów ubogich, nie obowiązują jak dotąd Stanów Zjednoczonych. Wynika to ze światowej roli dolara, która pozwala Amerykanom na skuteczne wykorzystywanie formalnych możliwości ogólnego systemu finansowego.

Z początkiem lat osiemdziesiątych gospodarka Stanów Zjednoczonych podlegała ostrej recesji, w społeczeństwie zaś panowały nastroje przygnębienia. Zwykle w takich wypadkach międzynarodowe ośrodki finansowe zalecają rygor we wszystkich dziedzinach: blokada płac, spłata długów, ograniczenie spożycia, zmniejszenie ilości pieniądza i zahamowanie jego obrotu poprzez podrożenie kredytu. Takie właśnie wskazania wypełniają kolejne rządy RP. Prezydent Reagan ze swej strony zastosował dokładnie przeciwne środki. Poprzez systematyczne zadłużanie się za granicą wprowadził na rynek strumień kredytowych towarów z importu. Siłę nabywczą obywateli i firm powiększono między innymi w drodze silnej obniżki podatków. Wysoka stopa procentowa przyciągnęła obce kapitały, które zwiększyły obrót inwesty-

cyjny na terenie USA oraz posłużyły do finansowania części niedoborów finansowych rządu. Tą drogą doprowadzono do podwojenia wartości dolara, co spowodowało raptowne potanienie towarów zagranicznych. Amerykę ogarnęła euforia spożycia. Z drugiej strony drogi dolar o wysokim czynszu pozwolił utrzymać inflację w granicach 2 do 4%, w stosunku do 10% z końca lat siedemdziesiątych. Poprzez umiejętne wykorzystywanie mechanizmów rynku finansowego i światowej roli dolara Stany wykazały, że można mieć zarazem wysokie zadłużenie, wysokie spożycie i niską inflację, a także wysoką stopę procentową i zarazem duży ruch inwestycyjny. Układ taki, sprzeczny z zasadami wolnego rynku, nie znajduje zastosowania nigdzie poza Stanami, a może także — do pewnego stopnia — w Wielkiej Brytanii z czasów Żelaznej Damy.

Polityczna siła Stanów Zjednoczonych moduluje wartość dolara według czynników pozagospodarczych. I tak moneta amerykańska uległa wzmocnieniu po wojnie w Zatoce, a także wówczas gdy wzrastało napięcie w Sowietach. W niepewnych czasach dolar staje się poszukiwanym schronieniem, co zresztą wywołuje zakłopotanie administracji prezydenta Busha, zainteresowanej raczej obniżką kursu dolara dla zwiększenia konkurencyjności amerykańskich towarów.

Kto ma złotą kurę, nie przepuści okazji; trudno mieć Amerykanom za złe, że robią z dolarem, co im się podoba. Zresztą swym własnym perypetiom winne są same regiony, skłócone, rozbite, nieświadome własnych uwarunkowań i pozbawione politycznej woli: to właśnie na tle planetarnego chaosu Stany wzrastają jako jedyna pewna wartość w świecie i niejednokrotne sukcesy ich gospodarki, podobnie jak spirala politycznego zaangażowania, są następstwem powszechnego pędu ucieczki pod amerykański parasol. Granice absurdu osiągnął tu Gorbaczow, który pod koniec grudnia ub. roku skarżył się, że Stany zbyt wcześnie porzuciły ideę ZSSR.

W polityce monetarnej Waszyngtonu jeszcze do niedawna dostrzec można było logikę redystrybucji amerykańskich kosztów globalnej odpowiedzialności, takich jak obrona sojuszników, czy rozwój technologii. Amerykanie wydają rocznie na zbrojenia tysiąc dwieście dolarów na głowę, Japończycy — dwieście. Wielu specjalistów dostrzega podobne dysproporcje w dziedzinie wydatków na badania i innowacje, zgodnie z dość powszechnym przekonaniem, że Japończycy specjalizują się w naśladowaniu obcych rozwiązań. Wobec niechęci partnerów do ponoszenia związanych z tym kosztów, Amerykanie odbili je sobie poprzez manewry monetarne. Ostatecznie jednak najmniej wrażliwi na fluktuacje dolara okazali się właśnie Japończycy. Obojętnie, czy dolar wart był 240 yenów, jak cztery lata temu, czy 120 jak

dziś — bilans handlowy USA w stosunku do Japonii wykazuje niedobory. Koszty dolarowych fluktuacji ponosili inni, mniej zaradni i mniej winni Amerykanie. Przy tym na dłuższą metę koszty własne spekulacji parytetowej są dla gospodarki Stanów Zjednoczonych bardzo wysokie, ponieważ drogi dolar wykończył wiele przedsiębiorstw, niezdolnych do konkurowania z tanim importem. Broń dolarowa, podobnie jak nuklearna, straciła już na znaczeniu jako instrument masowego rażenia, liczy się precyzja i niskie straty własne. Znakiem nowych czasów jest zmniejszenie budżetu wojskowego oraz rachunek, jaki Amerykanie wystawili sojusznikom za wojnę z Irakiem.

Dolar jest walutą o światowym znaczeniu, lecz o najgłębiej amerykańskim charakterze. Jest narzędziem imperializmu USA, a przy tym czynnikiem równowagi światowej, ciężkim niekiedy brzemieniem dla ubogich społeczeństw i zarazem ich szansą. W latach 1944-1971 sztywny dolar zapewnił planowe zyski amerykańskiego handlu, a jednocześnie był czynnikiem odbudowy i rozwoju całej zachodniej półkuli. W latach osiemdziesiątych zaś spekulacyjny dolar zapewnił wzrost spożycia w Stanach Zjednoczonych, nakręcając przy tym produkcję w licznych krajach eksportujących do USA. Moneta amerykańska wiernie służyła społeczeństwu amerykańskiemu, stanowiąc nie tylko środek nabywczy, lecz symbol cywilizacji, obraz gospodarczych i politycznych realiów giganta. Dolar, podobnie jak broń amerykańska — służąc interesom USA — sprzyjał także interesom całego Zachodu.

W momencie jednak, w którym Polska przybywa do Zachodu, cała powyższa logika zdaje się przeżywać głęboki kryzys. Poza wszystkimi rozważaniami o strukturalnych zakłóceniach cywilizacji amerykańskiej, najbardziej chyba wymowna jest zasadniczo odmienna rola światowego dolara w obu cytowanych powyżej przykładach. Po II wojnie sztywny dolar stanowił czynnik napędzający światową koniunkturę poprzez obsługę amerykańskiego eksportu. Świat jawił się wówczas jako wielki rynek dla przemysłu Stanów Zjednoczonych i gigantyczny strumień amerykańskich towarów był zarówno świadectwem zdrowia amerykańskiej gospodarki, jak i gwarantem rozwoju zrujnowanych wojną Europy i Japonii. W latach osiemdziesiątych zaś spekulacyjny dolar nakręcał produkcję nie firmom amerykańskim, lecz konkurencji, a strumień towarów zmienił kierunek.

W polityce monetarnej Stanów Zjednoczonych ostatniego dziesięciolecia dostrzec można dwojaką dysproporcję: w stosunku do międzynarodowego ładu finansowego oraz w odniesieniu do własnej gospodarki. W pewnych granicach mogą one pozwolić sobie na łamanie zasad kontrolowanego przez siebie światowego rynku finansowego, gdzie poważną rolę odgrywają wskaźniki stanu gospodarki amerykańskiej oraz powszechny od-

ruch ucieczki pod parasol Stanów Zjednoczonych. Natomiast zerwanie więzi dolara z własną gospodarką oznacza niestabilność wyższego stopnia. Ani astronomiczna waluta prezydenta Reagana, ani zwyżkujący wobec planetarnych kryzysów dolar prezydenta Busha nie odpowiadają spadającej konkurencyjności przemysłu amerykańskiego. Mocna waluta, niezbędna dla utrzymania światowej roli USA oraz wysokiego spożycia wewnętrznego, wymaga zaplecza w postaci dynamicznej gospodarki, co trudno wyobrazić sobie bez głębokich zmian w obyczajach wytwórczych i spożywczych w Stanach. Najkrócej mówiąc, chodzi o zwiększenie skuteczności pracy i zmniejszenie rozrzutności. Czy jest to w Ameryce możliwe? A przede wszystkim — czy odpowiada to życzeniom Amerykanów? Chwila istotnie jest krytyczna. Dług federalny osiągnie w tym roku równowartość trzech czwartych ogólnego produktu rocznego USA. Dolar drogi czy tani, sytuacja taka oznacza stan przed zawałem. Jednocześnie liczni obserwatorzy podkreślają zły stan infrastruktury: dróg, budynków i sprzętu, a także szkół, szpitali i opieki społecznej. Jakąkolwiek Amerykanie wybiorą strategię, jednym z głównych jej elementów będzie — jak zawsze — dolar, być może przemodelowany na nowo, wraz z wymagającym pilnego remontu światowym systemem finansowym.

MARKA

Od końca II wojny światowej Niemcy Zachodnie prowadzą zdecydowaną politykę antyinflacyjną, głęboko inspirowaną złowieszczą lekcją republiki weimarskiej. Zdrowa marka to najlepszy środek zapobiegający powtórzeniu się tamtych wydarzeń — a wzrost nastrojów wykluczenia i gwałtu w Niemczech Wschodnich w pierwszym okresie zjednoczenia wydaje się to potwierdzać. Ograniczenie politycznej dewiacji w NRD zawdzięczać można jedynie temu, że Bonn wykupiło karykaturalną wschodnią markę, płacąc za nią jeden do jednego. Mocna moneta, podstawa potęgi niemieckiej, urosła do rangi symbolu odrodzonego narodu — skutecznie przy tym wciągając na trakt monetarnego rygoru kolejne kraje zachodniej Europy.

Dla zrozumienia, na czym polega czołowa rola marki w światowym systemie monetarnym, warto prześledzić zmiany jej przeliczników w ostatnich dziesięcioleciach. Między rokiem 1950 i 1990 wartość funta angielskiego spadła z 11,76 marki do 2,95 DM, franka francuskiego z 1,20 DM do 0,28 DM, dolara z 4,20 DM do 1,58 DM. Dynamika ta daje wyraz trwałym wartościom niemieckiego systemu gospodarczego, takim jak wydajność pracy, jakość produktów, niska inflacja, dyscyplina inwestycyjna i

oszczędnościowa. Jest ona także następstwem niespotykanej kultury stosunków społecznych, objawiającej się między innymi brakiem marnotrawstwa, umiarkowanym spożyciem i rzeczowością w rozwiązywaniu konfliktów kapitału i pracy, dzięki czemu strajki są tam właściwie nieznane. Siła marki wynika z trwałego zdrowia gospodarki niemieckiej, zatem niemiecka waluta nabrała charakteru wartości trwałej.

Zwykle silny pieniądz jest czynnikiem mało korzystnym dla eksportu, ponieważ wywołuje podrożenie własnych towarów. Następstwa będą szczególnie poważne, gdy polityka monetarna traci spójność z sytuacją gospodarczą, służąc spekulacji bankowej i doraźnym celom elity władzy. Inaczej rozwijała się sytuacja w Niemczech. Mimo stale rosnącej wartości marki towary niemieckie zawsze utrzymywały wysoką konkurencyjność i jeszcze dwa lata temu eksport niemiecki silnie górował nad importem. Odwrócenie tej sytuacji uchodzi za zjawisko chwilowe, związane z drenażem towarów przez wschodnie Landy. Innymi słowy Niemcy — podobnie jak i Japonia — rozwiązały klasyczną sprzeczność pomiędzy silnym pieniądzem i dodatnim bilansem handlowym. Przypuszczam, że są one na dobrej drodze do obalenia innego z dylematów międzynarodowego rynku finansowego. Polega on na tym, że nie można — jak dotąd — mieć jednocześnie stałego kursu wymiany, pełnej swobody przepływu waluty i suwerennej polityki monetarnej. Uważa się, że przynajmniej jedna z tych kategorii musi zostać porzucona, by pozostałe dwie mogły owocnie funkcjonować. Rządy europejskie zgodne są co do tego, że przyszła pora na rezygnację z suwerenności narodowej w ustalaniu polityki monetarnej. Zasada ta leży u podstaw porozumienia w sprawie ujednolicenia monety. Wprowadzenie *ecu* zniesie kosztowne i niestałe przeliczniki oraz z natury rzeczy zapewni bezkonfliktowy przepływ waluty w całym obszarze Wspólnoty. Wygląda jednak na to, że cenę polityczną o której mowa — to jest rezygnację z własnej suwerenności — płacić będą wszyscy, z wyjątkiem Niemiec właśnie. Przyszła moneta Wspólnoty może nosić najbardziej francuską z nazw, tłumaczyć najbardziej z angielskich skrótów wspólnotowych, w gruncie rzeczy będzie ona miała kolor marki.

W ramach Wspólnoty Europejskiej państwa pozbędą się suwerenności monetarnej, ale nie gospodarczej. Emisja, stopa procentowa, interwencje monetarne na giełdach, rewaluacja czy dewaluacja talara należeć będą do kompetencji europejskiego banku centralnego i podlegać tendencjom właściwym dla monety najsilniejszej w koszyku, to jest marki. Dziś stanowi ona blisko jedną trzecią jego ciężaru i do momentu pełnej likwidacji walut narodowych jej udział może się jedynie zwiększyć. Kiedy wreszcie zajmie talar pozycję wyłącznej monety wspólnotowej, wówczas

jego wartość odpowiadać powinna dynamice gospodarczej Wspólnoty. Jeśli na przykład talar znajdzie się pod zjednoczoną presją dolara i yena wskutek uzgodnionego wzrostu stopy procentowej tych ostatnich, to jego obrona przez korektę europejskiej stopy uzależniona będzie od wskaźników ekonomicznych — to jest od poziomu inflacji, zadłużenia i bilansu handlowego. Można z dużym prawdopodobieństwem twierdzić, że kryteriów dostarczy tu gospodarka niemiecka.

Wspomniany na początku czterdziestoletni proces rewaluacji marki w stosunku do innych walut wynikał ze stałej wyższości wyników gospodarczych Niemiec. Wartość waluty określa się w stosunku do rezerw posiadanych przez banki centralne. Kiedy eksport trwale przewyższa import, wówczas nadwyżki te rosną i rośnie wartość jednostki monetarnej, obliczanej w stosunku do rezerw w walutach i złocie. Bank centralny może wówczas zrewaluować własną monetę. Przeciwnie, kiedy rezerwy maleją — na przykład wskutek rozrzutnej polityki budżetowej, beztroskiego importu albo spadku eksportu — wówczas wartość monety maleje i pojawia się konieczność jej dewaluacji. Dewaluacja może także zostać wymuszona przez dużą inflację, która podnosi cenę własnych towarów na rynkach zagranicznych. Wówczas środkiem przeciwdziałającym temu może być ustawowe zmniejszenie wartości pieniądza.

Jak będzie to wyglądało w zjednoczonej Europie? Ujednoliconej monecie bynajmniej nie musi odpowiadać jednorodna gospodarka. Kiedy rosnące jak grzyby po deszczu supernowoczesne fabryki wschodnich Niemiec ruszą z pełną produkcją, nastąpi z dużym prawdopodobieństwem powrót do germańskiej ekspansji gospodarczej na światową skalę. Dokonajmy hipotetycznego porównania sytuacji Niemiec i, dajmy na to, Grecji. U jednych inflacja będzie niska, bilans handlowy stale dodatni, budżet zrównoważony, rosnące rezerwy, jakość towarów stale zwyżkująca, dyscyplina społeczna bez zarzutu. Nadmiar pieniędzy Niemcy będą lokować najchętniej w obszarach o stabilnej gospodarce — w krajach Beneluxu, we Francji, w Austrii. Będzie to bodziec dla konkurencji i inwestycji, stąd na przeważającym obszarze Wspólnoty możemy mieć do czynienia ze stałym wzrostem gospodarczym. Zwiększyłoby to atrakcyjność talara i na dłuższą metę prowadziło do nacisków rewaluacyjnych.

Jeżeli założyć, że w Grecji nie nastąpią głębokie zmiany obyczajów gospodarczych i społecznych, oznaczać to będzie wysoką inflację, stale ujemny bilans, niezrównoważony budżet i braki skarbowe ateńskiego rządu. Kapitał nie lubi takich sytuacji i szuka innych terenów, w następstwie czego czekałoby kraj postępujące zubożenie. Pozbawiony suwerenności monetarnej rząd grecki nie byłby w stanie sięgnąć po zwykły w takich warunkach środek stymulacyjny, polegający na dewaluacji monety dla podniesienia konkurencyjności własnych towarów. Silna i pod niemieckim impulsem rosnąca na wartości moneta jedynie może pogłębić ten proces, ponieważ wysokie braki finansowe staną się jeszcze większe.

Dla terenów o zdrowej gospodarce *ecu* pełnić będzie rolę stymulatora, gdzie indziej zaś nie pozostanie rządom nic innego jak zaciskanie pasa lub zwrócenie się o dotacje centralne. Trudno jednak założyć, że Niemcy zechcą pełnić wieczną rolę finansowego opiekuna słabo gospodarujących terenów, i tu wyłania się główna prawda europejskiego procesu zjednoczeniowego. Społeczeństwa, które — tak jak polskie — chcą wziąć w nim udział nie mają wyboru: albo zdobędą się na skuteczność gospodarczą, albo czeka je los ubogich krewnych, omijanych przez finanse i technologie, wiecznych dostarczycieli taniej i niewykwalifikowanej siły roboczej.

W gruncie rzeczy marka modeluje politykę finansową w Europie już od szeregu lat. Kiedy Bundesbank podnosi stopę, Banque de France w obawie przed ucieczką kapitałów musi robić to samo, choć podrożenie kredytu prowadzi do zahamowania i tak dość kiepskiej ostatnio dynamiki francuskiej gospodarki. Austria i Belgia już związały ściśle swoją monetę z marką. Podobnie zapewne postąpiłyby i inne państwa, gdyby zbliżające się zjednoczenie nie załatwiało sprawy automatycznie. Poprzez europejską unię wprzęgną Niemcy cały kontynent w swój ekonomiczny trakt, unikając przy tym ujemnych konotacji politycznej hegemonii. Warto przy tym pamiętać, że rezygnacja z marki oznacza dla Niemców symboliczną ofiarę o dużym znaczeniu oraz poważne obciążenie i nową odpowiedzialność. Wywołuje to zresztą rosnące opory w społeczeństwie niemieckim.

YEN

Obserwując japońską inwazję gospodarczą można odnieść wrażenie, że ich jedynym językiem jest mowa pieniądza. Amerykanie, dominując świat, wnieśli weń całą kulturę: zdaniem zaś wielu obserwatorów pojawienie się Japończyków gdziekolwiek na planecie oznacza wyłącznie wykup lokalnego przemysłu i nieruchomości oraz przyduszenie miejscowej produkcji tanim importem. W dużej mierze jest to możliwe dzięki sile nabywczej yena niszczącej wszelki opór. Czy więc rzeczywiście nie mają oni nic poza tym do zakomunikowania?

Od czterdziestu lat wszystko w Japonii zmierza do wzmocnienia siły własnej monety. Porównywalny dynamizm znaleźć można jedynie w powojennych dziejach Niemiec, ale tam ros-

nące zyski w zrównoważony sposób służyły inwestycjom i spożyciu. Yen uległ wyższej rewaluacji, niż marka, absorbując lwią część wzrostu wydajności pracy. Fantastycznie wzmocniło to siłę nabywczą kapitału japońskiego za granicą, kosztem stosunkowo niskiego poziomu życia pracowników — bez szczególnego oporu z ich strony. Cała Japonia bowiem zgodna była co do wspólnego celu: nadania krajowi siły i rangi na skalę planety — i w planie tym narodowa moneta odegrała jedną z naczelnych ról.

Wspomnieć można przy tej okazji etos samuraja, za garstkę ryżu gotowego do nadludzkiego wysiłku w imię zbiorowego celu. Pewnego wyjaśnienia dostarczają tu religie shinto i buddyzmu, nakłaniające do umiarkowania i harmonii z naturą, co stanowi hamulec dla konsumeryzmu. Wreszcie sięgająca pięciuset lat walka z Zachodem, przegrana mimo jej ograniczonego celu, którym było na ogół usunięcie białych z danego regionu i zajęcie ich miejsca. Upokorzenie płynące z bezwarunkowego charakteru tej porażki jest silnym bodźcem mobilizującym do pracy dla kraju.

Wszystko to jednak nie tłumaczy w pełni fenomenu japońskiego. Takie kategorie, jak asceza, nadrzędne znaczenie losu zbiorowego, identyfikacja z narodem symbolizowanym przez starożytną monarchię są dla nas interesujące głównie w swoim aspekcie ewolucyjnym, ujawniającym sposoby, dzięki którym dostosowali się Japończycy do zachodnich kryteriów produkcyjnych i ostatecznie podporządkowali je sobie. Innymi słowy, kluczem do zrozumienia zjawiska jest uchwycenie procesu przeniesienia narodowego mitu — z portretu cesarza na wizerunek yena.

Masowe inwestycje w świecie umożliwione zostały przez zgromadzenie ogromnych nadwyżek handlowych, które pozwoliły na liczne rewaluacje yena. Za silnego yena można więcej kupić, ale — jak zawsze — podnosi to cenę własnych towarów. Ich konkurencyjność zapewniona została nową kulturą pracy, przyjętą powszechnie w kraju kwitnącej wiśni.

System pracy, który w swoim czasie zapewnił Stanom Zjednoczonym przywództwo światowej gospodarki, tak zwany tayloryzm, wprowadzony został w pierwszych latach tego stulecia. Chodzi tu o dobrze dziś znaną pracę taśmową: pełne wykorzystanie narzędzi, maksymalna specjalizacja, eliminacja zbędnych czynności. Przez dziesięciolecia sprzyjało to zwiększeniu wydajności lecz — jak zauważył francuski socjolog G. Friedmann — stopniowo usunęło z zadań produkcyjnych fachowość, kwalifikacje i inicjatywę. Japońska alternatywa, studiowana dziś najpilniej przez menadżerów przemysłu amerykańskiego, na miejsce automatyzacji czynności robotnika wprowadza odpowiedzialność jako motor wydajności. Taśma jako pojęcie organizacyjne ustępuje gniazdom produkcyjnym, choć niekoniecznie znika fizycznie. Podjęcie zadania poprzedzone jest świadomym rozdziałem kompetencji, po czym następuje przyjęcie zobowiązania wobec grupy, stanowiące już akt osobistej mobilizacji. Jednocześnie szereg funkcji przedsiębiorstwa i obyczajów załogi ściśle wiąże pracownika z firmą, dając mu wrażenie współuczestnictwa i bezpieczeństwa zarazem. Wszystko to stanowi niespotykany zespół motywacji, wynikiem czego wydajność pracy Japończyka bije od lat wszelkie rekordy, pozwalając na utrzymanie przewagi japońskich towarów mimo ostrej zwyżki yena.

Drugim czynnikiem japońskich sukcesów jest planowy charakter ich strategii. Firmy łączą się w grupy jak chcą, z jedynym celem zdominowania własnego sektora. W Stanach nie pozwala na to ustawa antytrustowa. Wymownego przykładu dostarczają ograniczenia dla swobodnego rozwoju banków, dzięki którym na liście dziesięciu najpotężniejszych banków na świecie obok dziewięciu japońskich znajdujemy tylko jeden amerykański, a i to na siódmym miejscu.

Obok kultury pracy i skutecznego systemu sojuszów wielką rolę odgrywa przewaga infrastruktury. Niskie spożycie i wysoki kurs yena pozwoliły Japończykom na reinwestycję wielkiej części zysków, dzięki czemu przeciętny ekwipunek japoński jest dwa razy młodszy od amerykańskiego: 7 lat w stosunku do 15.

Wszyscy zadają sobie oczywiście pytanie, jak długo to może potrwać, a niektórzy posuwają się nawet do hipotezy o przemieszczeniu się centrum cywilizacji ze Stanów na wschód. Sami Japończycy skromnie zauważają jedynie, że dolar już zależy od yena, a na zwarcie z marką są całkowicie przygotowani.

O ile motyw wędrującego centrum nie wydaje się wiernym odzwierciedleniem cywilizacyjnych zmian w tych ciekawych czasach, to na najgłębszą uwagę zasługują wszelkie wskazówki mogące rzucić światło na dalszy potencjał rozwojowy Japończyków. W kraju, gdzie ścisły związek polityki monetarnej z obyczajami wytwórczymi i spożywczymi stanowi od pół wieku podstawę dynamiki społeczeństwa, wielu wyjaśnień dostarczyć mogą długofalowe manewry finansowe. Otóż Japończycy, od lat mistrzowie drożejącej monety, nawołują ostatnio do ustabilizowania stosunków monetarnych. Odnotowując z zainteresowaniem ich zapewnienia o zbawiennym dla wszystkich stałym kursie walut, uczynimy najrozsądniej poszukując w tym wszystkim wyłącznie ich interesu. Skąd więc bierze się nagła zmiana priorytetów?

Jeśli Japończycy nie chcą zwiększać siły yena, znaczy to, że nie mogą sobie na to więcej pozwolić. Ludzie osiągnęli granicę możliwości w systemie, który prowokuje największą ilość samobójstw wśród dzieci na tle niepowodzeń szkolnych, w którym rocznie liczy się 10 tysięcy ofiar *karoshi*, nagłej śmierci wynikającej z przemęczenia zawodowego, w którym młodzież odwraca się

od archetypu robotnika-żołnierza, a starzy z rosnącą trudnością wyrażają zgodę na brutalne usunięcie ich poza margines życia.

Japończykom zamrożenie yena jest na rękę także dlatego, że broń monetarna zaczyna im się wymykać z rąk. Głęboki deficyt, jaki większość państw uprzemysłowionych niezmiennie notuje w handlu z Japonią, wywołuje rosnące naciski polityczne na Tokyo, zwłaszcza ze strony Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Japończyków Amerykanie chcą ich obciążyć ciężarem własnych opóźnień technologicznych i organizacyjnych, by w drodze narzuconej podwyżki yena obniżyć konkurencyjność towarów japońskich. Wreszcie poprzez ustalenie niezmiennych parytetów walutowych Japończycy chcą powtórzyć mistrzowską grę Niemiec. W istocie wprowadzenie europejskiego talara oznacza nieodwołalnie zamrożenie stosunków monetarnych w Europie. Mimo dominującej roli marki jest to uzasadnione zrównoważonym handlem uprawianym przez Niemcy, które są zarówno dostarczycielem jak i odbiorcą towarów i kapitału. W tych warunkach wspólna moneta może stanowić korzystny impuls dla wszystkich zainteresowanych. W innej sytuacji jest Azja południowo-wschodnia, gdzie Japończycy intensywnie lokują kapitały i technologię w całym regionie, nie otwierając przy tym własnego rynku. Zamrożenie kursów walutowych służyłoby głównie interesom wielkiego patrona, który przestanie być narażony na monetarne manewry suwerennych państw, mogących tą drogą przeciwdziałać lokalnej ekspansji towarów japońskich.

Z dalekowschodniej perspektywy znika prawdopodobnie kulturowy charakter europejskiej integracji, w ramach której można znacznie ufniej patrzeć w przyszłość, niż wynikałoby to z logiki narodowej monety o imperialnych ambicjach. Oceny dostarczają tu reakcje społeczeństw, objętych cyrkulacją światowych monet. Podstawą stabilności międzynarodowego rynku jest zaufanie konsumentów, inwestorów i banków. Choćby z tego punktu widzenia trudno jest bez zastrzeżeń stawiać na yena jako pierwszą wartość o światowym zasięgu. Japończycy popełniliby największy z błędów, gdyby — w przypływie arogancji — zagrali na trwały schyłek dolara. Z drugiej strony marka, której wartość rośnie od lat, penetruje Europę równie głęboko, jak yen Azję południowo-wschodnią — ale jakież różnice pomiędzy nimi! Dla sąsiadów Niemiec zjednoczenie z nimi i całą Europą jest nieuniknione i potencjalnie korzystne. Sąsiedzi Japonii zaś, otwierając drzwi dla japońskich kapitałów, gotowi są wiele poświęcić celem utrzymania się w ich rejonie amerykańskiej obecności wojskowej i handlowej, chroniącej ich od stanięcia twarzą w twarz z olśniewającym słońcem japońskim.

Paryż, 11.2.92

Robert KACZMAREK

Wiersze

Natasza FIEDIN

* * *

polskie wierzby
wykrzywione w grymasie
konary kłują ziemię
myślę o polskim słowie
miłość
tym słowem się dotyka
jak dłonią
skóra na dłoniach
bywa sucha
pusta jak dźwięk
innego języka
earth
angielskie słowo
brzmi jak
ruchliwa przestrzeń
wiatr użyźniający glebę
polskie słowo
Ziemia
jest cierpkim śladem
na wargach
Ziemia
wierzba
miłość
ze znaków
przechodzą cicho
w ruchliwą przestrzeń

Natasza FIEDIN

Wiersz napisany przez Rosjankę po polsku.

Adam BĄKOWSKI

IZAAK

Nigdy już nie będę ufał memu ojcu jak przedtem. Boję się jego rąk, kiedy siodłają osła lub rąbią drwa, kiedy doglądają ognia i ostrzą nóż. Są to czynności codzienne, zwyczajne, lecz nie opuszcza mnie myśl, że być może nie rozumiem ich znaczenia.

Targował się długo o życie mieszkańców Sodomy, lecz nie o moje.

Potomstwo mego ojca ma być liczne jak gwiazdy i ziarna piasku. Lecz jeśli trzeba było aż Boga, by przeszkodzić synobójstwu, zły to znak na przyszłość. Myślę o niej ze strachem i nie spuszczam wzroku z ojca, gdyż nie ufam już mu jak niegdyś.

MALCHOS

Nie jestem kimś anonimowym. Dzięki jednemu z Ewangelistów me imię przeszło do historii. Warto było dać się okaleczyć. Zgoiło się zresztą szybko. Nie byłem byle kim: należałem do straży świątynnej. Odpowiedzialne i zaszczytne stanowisko.

O ile wiem, moje ucho nie stało się relikwią, choć spełniało wszelkie ku temu warunki. O ile wiem, rodzice nie zwykli mego imienia dawać synom. A Świątyni, której byłem sługą, już nie ma.

Nie zapomnę nigdy tamtego wieczora. I nigdy nie zrozumiem, czemu ucho Van Gogha jest bardziej słynne niż moje.

Adam BĄKOWSKI

Adam LIZAKOWSKI

CZTERNASTY LIST DO PIESZYC

Czym jest dla ciebie poezja?
Łatwiej powiedzieć czym nie jest.
Na pewno nie jest źródłem dochodów,
na pewno dla niej nie żyję. Na pewno
jest ją trudno oszukać. Łatwiej jest
oszukać żonę, sąd, państwo. Najłatwiej
siebie, poezji nigdy. Ona domaga się,
aby oddać jej wszystko, łącznie z życiem.
Wielu poetów oddało życie dla niej.
Zdolność pisania wierszy, to nie umiejętność
wysławiania się, prorokowanie słowem,
spoglądanie milczeniem pauzy, obnażanie
metafor, to jeszcze nie poezja. Łapanie
chwil pazurami przecinków, kneblowanie
ust wielokropkiem, to jeszcze nie poezja.
Trzeba mieć serce, duże serce, tak duże
że nie trzeba go szukać w głębi siebie.
Takie serce od jednej iskry zapłonie.
Ta garstka popiołu co zostanie to jest
poezja.

Adam LIZAKOWSKI

Maria Magdalena RUDIUK

PRZEKRACZAJĄC

Zegary w tym domu czujne
podejrzliwe
spoglądam w *drugą stronę*
śmieją mi się w twarz
książki porzucone
dzikie drzewa
żadną nie zasadzone ręką
niczyje
wichrom oddane
i wierszom
i pachną sosnowym lasem
słowa
siejby przestrzeni nieznanej
siejby nowego czasu
i nie metrorytmem jest ich tętno
więc jak je rozpoznać
ująć
cofam się
ostrożnie
miękko

wzrokiem kota patrzę
znowu w *pierwszą stronę*
linia barwa i dźwięk
i radość znanego przekroczona
i co jest we mnie?
a co ponad?

co przekroczyłam właśnie?
a czego nigdy nie przekroczę?

tik - tak tik - tak
czasowo - przestrzenne
to w czwartym wymiarze
to w żyłach moich pulsuje
bezdumny ton
obojętny

i...jestem
i...mijam
powoli
w tym rytmie
i...dokąd *TO* mnie unosi
w jaką stronę
aż poza linię barwę i dźwięk?

aż zapulsuje w moich żyłach
poza-przestrzeń?
aż unieważnione będzie
wszystko?
moje?

aż będę nieodrębna od świata?
aż z czasem i przestrzenią jednym?
drzewem rzeką i lasem?
dobrem i złem?
ciepłem i zimnem?
nierozpoznawalna?

Maria Magdalena RUDIUK

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

CENA STRACHU

Motto: „Strach ma logikę swoją, rodzaj przytomności umysłu, świadomość, która tylko w razie konieczności daje potężny rozpęd nogom...".

Adolf Dygasiński, „Właściciele"

To było kino. Doskonały film, prawdziwy dreszczowiec. Nazywał się „Cena strachu". Opisywał historię transportu nitrogliceryny potrzebnej dla szybów naftowych, gdzieś w bliżej nieokreślonym kraju Ameryki Łacińskiej. Ogromne i zdezelowane cysterny z nitrogliceryną trzeba było, jakby z jajkami w ręku, przeprowadzić, bez wstrząsu, przez najrozmaitsze, niemożliwe faktycznie do przebrnięcia przeszkody, rowy, progi, przepaście, rzeki, błota, itd. Ogromne emocje trwały półtorej godziny, cysterny co jakiś czas wybuchały wraz z szoferami. Trup się ścielił gęsto. Straty były ogromne. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero prawie przy końcu (i to nie na długo) kiedy okazało się, że Yves Montand, najbardziej sympatyczny szofer od nitrogliceryny, i niedawno zmarły — nie od wybuchu a na atak serca — przyjaciel polskiego prezydenta, jednak przeżył transport, dostarczył nitrogliceryny cynicznie amoralnemu przedsiębiorcy kapitalistycznemu (była wtedy moda na filmy z tezą koniecznie lewicową), i zainkasował marną „cenę strachu". Całość powinna była się skończyć, jak mawiano przed wojną, wesołym oberkiem, ale reżyser chciał inaczej i uśmiercił zupełnie niepotrzebnie nawet Montanda, nie od wybuchu nitrogliceryny, a w zwyczajnym, w drodze do ukochanej kobiety, zderzeniu ciężarówką chyba z przydrożnym drzewem.

Życie, to nie powieść, pisze lepsze scenariusze niż najwięksi marzyciele z Hollywood. I tak właśnie napisało. Skryptu jeszcze nie ma, ale już wiadomo, że i strach i cena są nieporównanie większe. Nie chodzi bowiem o nitroglicerynę, a o jądro atomu, i nie o zagubionych w buszu szoferów, a o uczonych posowieckich, mających do sprzedania nie tylko swoje, ale i nasze życie. Jeżeli bowiem wybuchnie — mówiąc w przenośni — ich cysterna — to w powietrze wyleci nie jedna ciężarówka i dwóch awanturników, a dobry kawałek świata i spora część ludzkości, niewykluczone, że łącznie z nami.

To nie Hollywood

Jeżeli, według znanej formuły Churchilla, Związek Sowiecki był tajemnicą owiniętą w sekret, to jego przemysł nuklearny był także czymś takim, ale do dziesiątej potęgi. Powiadano, że za samą myśl o tajemnicach szło się na długo do GUŁAG-u. Związku Sowieckiego już nie ma, ale o jego tajemnicach atomowych ciągle niewiele wiadomo. Ponieważ jednak dziś wszystko co sowieckie się wali, to zasłona zaczyna opadać także z największej tajemnicy komunizmu.

Powiadają więc nam, że było rzekomo 10 wielkich miast zbudowanych wokół wojskowego przemysłu atomowego. Nie miały one normalnych nazw, nie figurowały naturalnie na żadnej mapie (map w ogóle nie było, a jak były to fałszywe; na planie Moskwy nie było np. mostów), wstęp do nich był absolutnie wzbroniony, a wyjazd z nich totalnie kontrolowany. W kodach wojskowych nazywały się one: Czelabinsk-70, albo Krasnojarsk-45, albo Tomsk-7, albo Arzamas-16, przy czym dla zmylenia przeciwnika Czelabinsk-70 mógł być w okolicy Krasnojarska, a Arzamas-16 zbudowany został — jak się dopiero teraz okazało — w okolicy Niżnego Nowgorodu.

Powiadają także, że na kilkanaście milionów osób zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym czy wojskowym w byłym ZSSR, półtora miliona pracowało dla sektora nuklearnego, z czego 100.000 zatrudnionych było bezpośrednio przy fabrykacji bomby atomowej. Spośród nich 3.000 osób jest dziś na bieżąco ciągle zdolnych (wracając do filmu) do doprowadzenia cysterny do miejsca przeznaczenia, czyli, inaczej mówiąc, do zmontowania normalnej bomby atomowej.

Ponieważ rzecz się dzieje nie w Hollywood, a w byłym Związku Sowieckim, scenariuszem zajmuje się nie „Metro, Goldwyn, Mayer", a rząd amerykański i rządy wszystkich, mam nadzieję, innych państw troszczących się o przyszłość ich obywateli.

Ten fachowy scenariusz powinien — jak przypuszczam — wziąć po uwagę kilka podstawowych elementów akcji, dialogu, dekoracji i pleneru. Po pierwsze fakt, że w byłym Związku Sowieckim wszystko jest dziś do sprzedania łącznie np. z archiwum kompartii. W marcu otwarto dla tych, których na to stać (kilka uniwersytetów amerykańskich naturalnie już złożyło oferty) archiwum KPZS z lat 1952-1991, razem coś około 30 milionów dokumentów. Nawet jeżeli uwzględnić fakt, iż ścisłe archiwum Kremla — znaczy się akta wodza narodów itp. — jest poza zasięgiem ciekawskich, nawet bogatych, to i tak można tam napotkać rozmaite ciekawe rzeczy, np. prośby Pasternaka czy Wysockiego do KC (pierwszy domagał się dostępu do swoich własnych pieniędzy, drugi do swojej publiczności — obaj zostali przegnani), a także listy Lenina do jego kochanki.

Drugi element scenariusza do nowej, współczesnej wersji „ceny strachu", to fakt, iż wśród tajemnic na sprzedaż są także tajemnice atomowe i ludzie, którzy je dobrze znają.

Trzeci element to spostrzeżenie, że jeżeli na miłosne listy Lenina było bardzo niewielu klientów, to do tajemnic atomowych ustawiła się długa kolejka. W kolejce nie było Amerykanów. Dla nich bowiem atomowe tajemnice sowieckie — które do pojawienia się małżeństwa Rosenbergów stanowiły tajemnice amerykańskie — nie stanowią już dawno żadnej tajemnicy. Stało natomiast w tej kolejce sporo ludzi w turbanach, z brodami, z gałązką oliwną w ręku, dolarami w kieszeni, nieczystymi intencjami w sercu i niebezpiecznymi pomysłami w głowie. Reprezentowali uznane państwa, członków ONZ, ale nie brakło wśród nich, ukrytych za parawanem dyplomatycznego paszportu, przedstawicieli „inicjatyw prywatnych", popularnie zwanych terrorystami. Szukali, jak w filmie, szoferów, ale w białych kitlach, no i wraz z ciężarówkami i jej zawartością bardziej wybuchową niż nitrogliceryna.

Oferta była bardzo kusząca. Skończyła się była bowiem właśnie *dolce vita* sowieckich fizyków i inżynierów. Jeszcze niedawno atomowcy sowieccy żyli nie tylko w tajemnicy, ale także w dobrobycie. Ich zarobki wynosiły ponad 1.000 (wczorajszych) rubli miesięcznie, do czego dochodziły najrozmaitsze przywileje ważnej nomenklatury, co sytuowało ich i ich rodziny w zupełnie innym świecie niż ten, w jakim żyć musiał normalny człowiek sowiecki.

Zmierzch hasła „patriotyzm"

Ale dziś naukowcy nie żyją już ani w tajemnicy, ani w dobrobycie. W zasadzie nomenklatura się skończyła, a w każ-

dym razie naukowcy, także atomowi, nie są już do niej zaliczani. W styczniu tego roku miesięczna pensja atomowego specjalisty wynosiła ok. 1.500 rubli, co równało się kilku czarnorynkowym dolarom. Tak naturalnie liczyć nie można, ale pensja była śmieszna, jeżeli wziąć pod uwagę nie kurs dolara, a cenę np. mięsa, którego kilo kosztuje ponad 150 rubli.

Przykład miasta Kurczatow dobrze ilustruje ten problem. Miasto o tej nazwie, wziętej od nazwiska jednego z twórców nuklearnej potęgi sowieckiej, także nie figurowało na żadnej mapie. Teraz już wiemy, że leży nad Irtyszem i że ulubionym, jedynym właściwie, zajęciem mieszkańców miasta Kurczatow były próbne wybuchy nuklearne. Zmierzch imperialnej epoki sowieckiej wstrząsnął fundamentami miasta Kurczatow bardziej niż próbne wybuchy atomowe. W okręgu Semipalatyńska, do którego należało miasto Kurczatow, dokonano takich prób ponad 500 (tutaj przeprowadził pierwszą próbę nuklearną Andriej Sacharow), ale moratorium położyło im kres, a implozja Związku Sowieckiego dokonała reszty. *Dolce vita* się skończyło. 17.000 mieszkańców Kurczatowa straciło pracę, zarobki i rację bytu. Pozostały jedynie transparenty, slogany i portrety Lenina.

To niedużo jak na wysoko wykwalifikowanych specjalistów od wybuchów nuklearnych. I jak na innych specjalistów od atomu, snujących się po smutnych ulicach dziesiątków wysp w posowieckim archipelagu atomowym. „Zamknięte miasta", czyli luksusowe obozy pracy, przekształcają się w getta bezrobotnych fizyków i inżynierów. Wszędzie widać dno: nie ma pieniędzy ani na godziwe płace, ani — tym bardziej — na badania naukowe, nie mówiąc już o doświadczeniach.

Ale — zajęty gdzie indziej — Gorbaczow przez pięć lat nie miał czasu na zainteresowanie się sytuacją w sowieckim przemyśle atomowym i położeniem naukowców, w końcu prawdziwej, ale pauperyzującej się elity tego zniszczonego społeczeństwa. Jak powiada Wiktor Michajłow, rosyjski wiceminister energii atomowej i szef przemysłu atomowego, Gorbaczow miał czas na rozmowy z amerykańskimi długowłosymi gitarzystami rocku, ale nie na spotkanie z atomowcami. Jelcyn podwoił pensje uczonych, ale inflacja jest szybsza. Nasi naukowcy, powiada Michajłow, to tacy sami ludzie jak my wszyscy, nic co ludzkie nie jest im obce. Ale jak się ludziom źle powodzi, a mają szanse, że im się powodzić będzie lepiej gdzie indziej, to wtedy myślą o emigracji. Nie można bez końca powoływać się na patriotyzm.

Matka wszystkich snów

Ano. To właśnie biorą pod uwagę klienci z dolarami w kolejkach. Kalkulacja libijska, syryjska, pakistańska, czy w ogóle nazwijmy ją w skrócie islamską, nie wychodzi z ceny mięsa. Z oczywistych względów politycznych, m.in. w kontekście izraelskim, cena bomby arabskiej czy islamskiej po prostu nie ma ceny. Statut mocarstwa atomowego, szantaż a nawet wojna nuklearna przeciw Izraelowi to, jakby powiedział Saddam Hussejn, *matka wszystkich snów islamskich*".

Nie chodzi naturalnie o marzenia senne. Chodzi o materialną rzeczywistość. Bomba np. iracka nikomu się nie przyśniła. Prawie istniała. Dziś już co nie co wiadomo o stanie technologii w ogóle, a broni atomowej w szczególności, jaką na chwilę przed wybuchem „Pustynnej burzy" dysponował Irak dzięki sprzętowi i naukowcom sowieckim, chińskim, niemieckim, austriackim, szwajcarskim, włoskim, nawet... jugosłowiańskim oraz dostawom uranu z Brazylii, Portugalii czy Nigeru. Wiadomo, że Saddam Hussejn wpakował w swoje szaleńcze ambicje atomowe większość miliardów zarobionych na nafcie, 10 miliardów w ciągu ostatnich lat. Drogo, ale według Saddama opłacało się. W chwili pojawienia się nad Irakiem samolotów gen. Schwarzkopfa, Saddam, zdaniem fachowców, był o 12 do 18 miesięcy od chwili posiadania pierwszej swojej bomby atomowej. Miała ważyć ok. jednej tony, mogła więc zostać zrzucona z samolotu, miała mieć siłę 20 kiloton, to znaczy nieco większą zdolność rażenia niż bomba zrzucona na Hiroszimę.

Odkrycie to stanowiło całkowite zaskoczenie dla inspektorów ONZ, którym — mimo sabotażu władz Bagdadu — udało się w toku 30 misji kontrolnych, dzięki, mówiąc dyskretnie, także informacjom dostarczonym przez niektóre wywiady, nazwijmy je, zachodnie oraz przez „ochotniczych" informatorów na miejscu, dotrzeć do przeważnie podziemnych (dosłownie i w przenośni) 29 ośrodków (zapewne nie wszystkich) atomowej technologii Iraku. Nie mówiąc o sprzęcie i infrastrukturze, inspektorzy zarejestrowali obecność w Iraku 460 ton naturalnego uranu, plus 13 kilogramów uranu wzbogaconego, sprzedanego Irakowi przez Francję i ZSSR. Mniejsza o fachowe kalkulacje, i tak się na tym nie znamy. Powiedzmy tylko, że starczyłoby tego na wyprodukowanie kilkudziesięciu bomb model Hiroszima.

Zaskoczenie inspektorów było ogromne, według nich samych, większe niż największy pesymista, to znaczy izraelski Mossad, przewidywał. Inaczej mówiąc, Saddam udowodnił i jest to wniosek generalny — że gdyby nie idiotyczna awantura w Kuwejcie, Irak potrafiłby doprowadzić do końca projekt bomby atomowej w niewielkim kraju i w całkowitej tajemnicy.

Ale to nie wszystko. Do remanentu atomowego trzeba przecież jeszcze dopisać arsenał broni chemicznej (46.000 pocis-

ków i rakiet o głowicach z gazem, m.in. iperytem) i biologicznej. Surowce do produkcji gazów i broni chemicznej w ogóle pochodziły m.in. ze Stanów Zjednoczonych, instalacje, w tym specjalne pomieszczenia laboratoryjne, zostały dostarczone z... Niemiec, co u osób pamiętających cyklon B musi budzić przykre skojarzenia, takie jak np. „Oświęcim w górach Iraku" itp.

Oficjalnie, według Bagdadu, chodziło o niewinne zakłady produkujące środki do tępienia chwastów i szkodników w rolnictwie. Ale dziwne to były środki antychwastowe, które miały być przenoszone na wielką odległość przy pomocy... rakiet. Chodzi na przykład o osławione Skudy, na temat których mają swoje zdanie Izraelczycy. Dowiedzieć się od nich można np. że w „opracowaniu" była unowocześniona (przez kogo?) wersja sowieckiego Skuda o nazwie „Kondor" i zasięgu 900 km, no i dwa modele „super-działa" kaliber 350 do... 1.000 milimetrów. Kiedy kilka lat temu zginął w Brukseli od kuli „nieznanego pochodzenia" Kanadyjczyk, inż. Bull, wynalazca i konstruktor tego „super-działa", prasa potraktowała to z lekceważeniem, uznała, że chodzi o jakieś porachunki osobiste i że samo działo to zwykły *humbug*.

Każdy dzień przynosi nowe rewelacje. Inspektorzy ONZ już dysponują ponad 60.000 stron dokumentacji znalezionej w Iraku i setkami megabitów danych magnetycznych. Mówiąc w skrócie, gdyby nie precyzja izraelskiej operacji, w toku której Fantomy z gwiazdą Dawida zniszczyły w 1981 roku wojskowy reaktor budowany przez Francuzów, i gdyby nie średnio, ale jednak skuteczne bombardowania w wojnie o kuwejcką naftę, to Irak byłby dziś prawdopodobnie w posiadaniu bomby atomowej.

Skóra cierpnie. Ale to nie koniec.

Sądny dzień w turbanie

Iran będzie niedługo regionalną superpotęgą na Środkowym Wschodzie. Dzięki masowym zakupom broni posowieckiej, z jednej strony, oraz, z drugiej, dzięki ogromnym wysiłkom w kierunku wyposażenia armii ajatollów w broń niekonwencjonalną (to jest, naturalnie, semantyczne zdrobnienie). Dostawcy prawie ci sami: przede wszystkim Związek Sowiecki, potem Chiny, Północna Korea itd. Między rokiem 1989 a 91 Iran — tak jak Irak i w podobnym celu — wydał na broń tylko sowiecką ok. 10 miliardów dolarów.

Dzięki *głasnosti* wiadomo, i to z sowieckich źródeł, że wśród „towarów" dostarczonych Iranowi przez Moskwę znajduje się ponad 100 Migów-29, 48 Migów-31 oraz 500 czołgów

T-72. Do tego ogromne ilości części zamiennych do Migów irackich, które wylądowały w Iranie chroniąc się przed Schwarzkopfem, a które następcy Chomejniego spokojnie włączyli do zasobów własnych. Okazuje się przy tym, że i USA dostarczyły w ciągu ostatniego roku Iranowi sprzętu o tzw. „podwójnym zastosowaniu", nadającego się m.in. do produkcji rakiet i głowic nuklearnych. Iran dysponuje więc dziś flotą 400 nowoczesnych samolotów wojskowych, której sprostać może tylko siła powietrzna Izraela.

No i poza tym szyicki i fanatyczny Iran uruchomił na nowo nuklearny program wojskowy „uśpiony" przez byłego szacha. W Isfahanie nad produkcją wzbogaconego uranu, niezbędnego do konstrukcji bomby nuklearnej, pracują już chińscy fachowcy. Drugi kompleks powstaje w Quaznin, niedaleko Teheranu, gdzie z kolei dzielą się swoimi tajemnicami specjaliści z także głęboko muzułmańskiego Pakistanu. Wszystko to, według obliczeń amerykańskich, musi kosztować co najmniej 500 milionów dolarów rocznie.

Nic dziwnego, że Iranowi (cena nie gra roli) udało się, według jeszcze niepotwierdzonych, ale poważnych doniesień, zakupić w... Kazachstanie — jednej z prosowieckich republik nuklearnych — części wystarczające do zmontowania trzech głowic atomowych. No i, można się było tego spodziewać, Iran „zakupił" także kilkudziesięciu sowieckich fachowców od broni atomowej, aby te trzy głowice zmontować i aby pociągnąć dalej prace w kierunku uzyskania islamskiej bomby. W każdym razie, właściwe źródła są zdania, że jest już w Iranie eskadra 24 Migów-27 D/J, czyli maszyn zdolnych do przenoszenia takiej bomby.

Po co Iranowi bomba atomowa? Prezydent Ford — powiadano z kpiną — nie potrafi robić dwóch rzeczy równocześnie. A my potrafimy? Kiedy patrzyliśmy, i to niedokładnie, na ręce Saddamowi, Iran bardzo się posunął w przygotowaniu nam sądnego dnia.

To się powtórzyć nie powinno. Ale na to się zanosi. Następna niespodzianka nazywa się Północna Korea. Trzeba było kolosalnego nacisku międzynarodowego, przede wszystkim Korei Południowej i Japonii, aby genialny wódz Kim Ir Sen i jego nie mniej genialny syn pozwolili nie zobaczyć z bliska, ale tylko porozmawiać o tajemnicy kraju, gdzie nie ma ani jednego prywatnego samochodu, ale jest wszystko co trzeba do wyprodukowania bomby atomowej. Przedmiotem specjalnego zainteresowania sąsiadów Korei północnej i świata w ogóle jest kompleks złożony z około 100 budynków niedaleko Jongbion, 100 km na północ od stolicy Phenianu. Kryją one dwa reaktory oraz urządzenia do produkcji paliwa atomowego. Reaktory te są pro-

dukcji sowieckiej i były dostarczone jeszcze w 1965 roku. Ale Korea północna wybudowała już w roku 1980, w tajemnicy, własny reaktor, nowy, usytuowany — naturalnie — poza zasięgiem międzynarodowej kontroli. Reaktor ten, o mocy 30 megawatów, może wyprodukować ok. 8 kg plutonu rocznie. W wyniku zastosowania skomplikowanego procesu, dałoby to dosyć plutonium do zbudowania bomby podobnej siłą rażenia do tej, która zniszczyła Nagasaki w sierpniu 1945 roku.

Północna Korea odrzuciła właśnie (początek marca) propozycję dopuszczenia międzynarodowej inspekcji do jej atomowych zakładów. Zdaniem Jamesa Lilley'a, zastępcy amerykańskiego ministra Obrony do spraw międzynarodowego bezpieczeństwa, półwysep koreański stał się najbardziej niebezpiecznym rejonem świata. Może mieć rację. Korea północna znajduje się, według fachowców, najbliżej możliwości wyprodukowania bomby spośród krajów, które jeszcze jej nie posiadają. Na niedawnej konferencji w Singapurze, poświęconej bezpieczeństwu Azji południowo-wschodniej, ktoś zaproponował nieśmiało, aby uprzedzić Koreę północną, że jeżeli będzie kontynuować prace nad zbudowaniem bomby, to jej laboratoria zostaną zniszczone według metody izraelskiej, znanej z Iraku w 1981 r. Ale propozycja nie przeszła. Nie te czasy i nie te kraje.

Ruch w interesie

To, naturalnie, jest tylko krótki amatorski remanent. Wiadome instytucje mają — mam nadzieję — lepsze i dokładniejsze rozeznanie, choć sądząc z nieudawanego zaskoczenia inspektorów ONZ w Iraku — nie jest to takie pewne. Mniejsza, przestańmy się sami straszyć. Nastraszyli się — na szczęście — Amerykanie.

Kiedy wojskowy w ogóle, a atomowy szczególnie jarmark prosowiecki nagle się ożywił, ewentualni nabywcy ożywili się także i natychmiast przekazali oferty komu trzeba. Po świecie krążą coraz większe ilości sowieckiej broni. Zaczęła się hurtowa wyprzedaż. W 1991 roku sprzedaż broni przyniosła pustej kasie dewizowej posowieckiej 12 miliardów dolarów. W tym roku liczą na więcej. Prezydent Jelcyn osobiście rozpoczął wielkie targi, zezwalając — a nawet zachęcając — do sprzedaży 1.600 samolotów wojskowych i zapowiadając przeznaczenie zysków na budowę mieszkań i polepszenie doli wojskowych. Republiki handlują na własną rękę posowieckim remanentem. Gruzja proponuje 40 Su-25, Ukraina — rozmaite modele okrętów wojennych, Rosja — w ogóle wszystko: czołgi włącznie z najnowszym T-81 po ok. 400.000 dolarów za sztukę (pół darmo!), samoloty, nie mówiąc już o szlagierze roku i dziesięciolecia, tj. nowym modelu kałasznikowa.

„Nasza broń — powiada Jelcyn — cieszy się znakomitą opinią u klientów (wiadomo jakich). Trzeba z tego korzystać". Przedstawiciel zakładów „Mikojan" (produkujących MIG-i) ujął sprawę przystępnie: „Nasz handel — powiedział — nie podlega już żadnej barierze ideologicznej. Kto chce i może wydać 40 milionów dolarów, może kupić najnowszego MIG-a 31". Inne modele są tańsze. MIG-a 29 mogą państwo kupić już za głupie 25 milionów dolarów. To połowa ceny amerykańskiego F-16, a towar nie gorszy.

Marszałek Szaposznikow naturalnie zastrzegał się, że broń posowiecka nie powinna „trafić do krajów ekstremistycznych". Pytanie tylko, kto i według jakich kryteriów prowadzi tę klasyfikację. Iran, na przykład, jest jednym z głównych odbiorców broni sowieckiej. Czy państwo Chomejniego jest czy nie jest ekstremistyczne? *Pecunia non olet* — nawet po rosyjsku...

Mniej filuternie wygląda sprawa z posowieckim uranem. We Włoszech i Szwajcarii nakryto siatkę handlującą materiałem atomowym pochodzenia sowieckiego. Sędzia śledczy, Romano Dolce (ładnie się nazywa), który zajmuje się sprawą, wezwał do międzynarodowej współpracy w ujawnieniu i powstrzymaniu tego procederu, „grożącego katastrofalnymi skutkami". Zdaniem sędziego Dolce, sprawa zaczęła się od zeznań dwóch „nawróconych" przemytników uranu sowieckiego, którego próbkę dostarczył sędziemu pewien obywatel szwajcarski. Pozwoliło to aresztować niedługo potem siedem osób w Zurichu. Znaleziono przy nich 29 kg uranu. Chodzi tu o uran „biedny", który może być wzbogacony w drodze specjalnej trudnej procedury i może być przeznaczony tylko dla krajów, które taką techniką już dysponują — np.... Irak.

To nie niespodzianka. Ziemia byłego Związku Sowieckiego kryła ponad 80% światowych złóż rudy uranowej, ale ZSSR zdobył tylko 5% światowego rynku uranowego. Zwiększenie choćby o 1/4 eksportu uranu przyniosłoby dodatkowe 1,5 miliarda dolarów zysku. Bardzo to zachęcające. Tutaj znowu pada zastrzeżenie, że — broń Boże — ekstremistom. Kupuje jednak znowu... Iran. Sprawa niuansów zapewne.

Bardziej niebezpieczne od przemytu surowca lub nawet sprzętu jest jednak, zdaniem fachowców, zjawisko exodusu „najemników" naukowych. W Moskwie zresztą już funkcjonują biura „łowców głów", sporo już udało się złowić. Jasne, wśród „złowionych" było wielu awanturników i oszustów, korzystających z łapczywości nabywców, ale to klientów nie zraziło. Kolejka ciągle jest długa. Na dobrych miejscach, tuż przy drzwiach, stoją starzy klienci z Iraku i Iranu, Syrii, Pakistanu i Libii, ale

są już także nowe twarze: z Algieru, gdzie już pracują pracownicy chińscy (ale dobrego nigdy nie za dużo), i z... Afryki Południowej. Izrael, choć bardzo zaciekawiony, w kolejce nie stoi. W zasadzie nie potrzebuje. No a poza tym swoją porcję mózgów otrzymał w trakcie oficjalnej emigracji Żydów sowieckich. Co nie znaczy, że zabrakłoby pracy dla prawdziwych fachowców, gdyby się tacy i inną drogą do Izraela „wspięli" (taki jest sens hebrajskiego słowa *aliya*, czyli emigracji do Izraela). Nawet gdyby to nie byli „czyści" Żydzi...

Otóż, o tym wszystkim dowiedzieli się także Amerykanie. Zrozumieli, że nie wystarczy proklamować zwycięstwa w zimnej wojnie i przypatrywać się biernie rozpadowi Sowietów. I postanowili utrudnić atomową wyprzedaż, przeszkodzić na tyle, na ile to będzie możliwe, w tym co naukowo się nazywa „proliferacją", mniej naukowo „niekontrolowanym rozprzestrzenianiem broni nuklearnej", co mówiąc jeszcze mniej naukowo, niesie ryzyko destabilizacji całych rejonów świata, a co w języku normalnych ludzi określić by można groźbą włożenia brzytwy w ręce szaleńców. Amerykanie przedstawili więc kontrofertę. Skalkulowaną także w dolarach. Zakłada ona operację w oparciu o trzy zasady.

Pierwsza polega na godziwym opłaceniu talentów i pracy posowieckich specjalistów atomowych. Libia np. „odwiedziła" dyskretnie Instytut Kurczatowa w Moskwie — samo serce atomistyki sowieckiej — i zaproponowała natychmiastowe kupno kilku fachowców za cenę 2.000 dolarów miesięcznie na głowę. Choć na warunki posowieckie jest to prawdziwe Eldorado, oferta nie przeszła. Fachowcy czekają zapewne na lepsze. I słusznie. 2.000 dolarów miesięcznie to na warunki zachodnie zwyczajna bieda. Ale uwaga, to tylko początek targów. I sama Libia i inne państwa naftodolarowe gotowe są w istocie zapłacić astronomiczne sumy, choćby za sam sen o potędze. W Dubnej ta sama Libia proponowała już nie 2 a 3.000 dolarów miesięcznie. Specjalista od przeróbki plutonu, 60-letni Wiktor Mironow ujawnił, że Irak zaproponował mu... 100.000 dolarów za włączenie się do programu atomowego w Bagdadzie. Mironow nie przyjął oferty, nie wiemy dlaczego, ale jego koledzy, zwłaszcza młodzi i klepiący biedę, mogą nie zdzierżyć. My sobie bimbamy z geopolityki, powiedział jeden z naukowców. My jesteśmy głodni i źle opłacani.

1 marca tego roku niemiecki dziennik *Morgenpost* odnalazł — co za przypadek — na lotnisku w Berlinie panów Jegora Biełosowa, eksperta od laserów i Wiktora Bakunina, specjalistę od głowic atomowych. Byli właśnie w drodze z Rosji do Iraku. Powiedzieli dziennikarzowi, że u siebie zarabiali równowartość 30 dolarów miesięcznie, a w Iraku, za to samo, dostaną 10.000 dolarów. Różnica niewielka, a cieszy. Według nich zresztą, około

50 naukowców posowieckich pracuje już w Iraku i w innych krajach tego regionu. Spotkali na lotnisku w Moskwie właśnie dwóch, udających się do... Izraela.

W Moskwie padło natychmiast podwójne *dementi*. Pierwsze pochodzi od Jewgeniego Wielichowa, szefa Instytutu Fizyki im. Kurczatowa. „To prawda, powiedział Wielichow, że kilkuset naszych specjalistów jest na kontraktach w tym rejonie świata, ale żaden z nich nie pracuje dla wojska". Drugie *dementi* jest równie przekonywujące. Pochodzi od Witaliego Czurkina, rzecznika prasowego rosyjskiego MSZ. *A propos* 50 atomistów w Iraku i gdzie indziej, Czurkin oświadczył: „To nieprawda. Nigdy nie współpracowaliśmy z Irakiem w dziedzinie atomowej. Sami to sprawdziliśmy". No, jak sami sprawdzili...

Druga zasada polega na umożliwieniu posowieckim specjalistom pracy naukowej nie w piaskach Libii czy górach Iraku, a w domu, na miejscu, w Rosji, na Ukrainie czy w Kazachstanie. Trzeba więc wprowadzić cały system bodźców i zachęt do pozostania w domu. Trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie, które dziś słychać na tajnych do wczoraj wyspach nuklearnego archipelagu posowieckiego: „Co mają robić ludzie, którzy tylko umieją robić już niedługo niepotrzebną bombę atomową?". Potrzebne są więc specjalne stypendia zachodnie i prywatne, coś w rodzaju *joint-venture* na opracowanie poszczególnych tematów związanych z listą nie wojskowych potrzeb priorytetowych dla obozu posowieckiego, ale także przydatnych na Zachodzie.

Trzeba także — to przykre, ale niezbędne — stworzyć serię antybodźców, nazwijmy ją otwarcie serią środków szantażu wobec kandydatów do podjęcia pracy w krajach zmierzających do wyposażenia się w broń masowego rażenia. Uczeni zwerbowani przez Libię, Irak czy Koreę północną powinni wiedzieć, że nie tylko mogą być oskarżeni o zdradę tajemnic państwowych, ale skazują się na stałe wygnanie w piaski libijskie czy inne, albowiem nigdy potem nie będą już mogli pracować w żadnym cywilizowanym kraju. Młody specjalista na pewno zastanowi się nad pokusą nawet dobrze płatnej kilkuletniej pracy w warunkach libijskiego komfortu intelektualnego czy saddamowej urody życia, jeżeli będzie wiedział, że zapłaci za to trwałą banicją z cywilizowanego świata.

Trzecia wreszcie, bardziej dyskretna, zasada polega na stworzeniu przez stronę posowiecką faktycznych trudności, nawet gdyby miały pozostawać w sprzeczności z zasadami demokracji w dziedzinie swobody poruszania się w ewentualnym exodusie uczonych, na wypadek gdyby oferty islamskie okazały się trudne do odrzucenia. Choć bowiem w zasadzie ciągle obowiązuje zakaz emigracji uczonych mających dostęp do tajemnic państwowych, szczególnie atomowych, przez okres 5 do 10 lat, to

w obecnych warunkach żadna władza posowiecka nie jest w stanie zabronić podróżowania tym uczonym już nie tylko z krajów bałtyckich, kaukaskich czy azjatyckich, co jest w ogóle nie do przeprowadzenia, ale nawet z Rosji, gdzie bałagan jest taki, że w ogóle niczego upilnować się nie da.

Złote getto

Trzeba było coś wymyśleć, i to szybko. Tak powstał projekt utworzenia instytucji o nazwie Międzynarodowy Ośrodek nauki i technologii, który miałby zatrudnić wojskowych — atomowych przede wszystkim, ale nie tylko — uczonych i techników byłego ZSSR, tak aby nie chcieli emigrować „za chlebem" na bardzo niebezpieczne technologiczne saksy. Decyzja o utworzeniu ośrodka ogłoszona została równocześnie w Moskwie, po rozmowie Jelcyna z Bakerem, i w Lizbonie, po zebraniu rady ministrów spraw zagranicznych EWG.

Oficjalnie, jak głosi świadectwo narodzin ośrodka, „ma on pomóc uczonym i inżynierom byłego ZSSR w pokonaniu trudnego okresu przejściowego do gospodarki wolnorynkowej, pomóc w rozbrojeniu i przestawieniu wojskowego potencjału technicznego i przemysłowego na cele pokojowe". Ten komunikat, oficjalny tym razem, co się rzadko zdarza, odpowiada prawdzie. Reszta to sprawa pieniędzy, USA dadzą pierwsze 25 milionów dolarów, EWG skłonna jest dołożyć tyle samo, Japonia też gotowa jest otworzyć portfel.

Jeżeli się uda, bo nic dziś nie jest pewne, projekt tego złotego — wszystko jest względne — getta naukowego, takiego nowego modelu „szaraszki", której prawzór opisany został przez Sołżenicyna w „Pierwszym kręgu", ma kilka płaszczyzn praktycznego zastosowania.

Po pierwsze, ma zapobiec proliferacji broni nuklearnych, to znaczy faktycznie oddaniu bomby w ręce połączonych sił islamskiego fundamentalizmu i saddamowego obłąkania, kombinacja która stanowi największy koszmar super-potęgi amerykańskiej i największe zagrożenie dla tego, co Bush ciągle, niesłusznie zresztą, nazywa nowym porządkiem świata.

Po drugie, Ośrodek taki może stać się zalążkiem jakiegoś uporządkowanego trybu prawdziwej dezatomizacji posowieckiego potencjału wojskowego. Uczeni sowieccy są w końcu najlepiej przygotowani do zniszczenia broni, które ogromnym wysiłkiem i talentem sami zbudowali. Nie wolno dopuścić do zmarnowania ich zdolności, tym bardziej że — jak się okazuje — może być trudniej i drożej zniszczyć bombę niż ją zbudować, że bardziej skomplikowane i droższe jest składowanie materii radioaktywnych pozostałych z demontażu i zniszczenia bomby, niż składowanie samej bomby. I że znacznie większe są dziś możliwości kradzieży, przemytu i handlu elementami pozostałymi z demontażu bomby. Niektórzy zastanawiają się nawet, czy nie lepiej byłoby wobec tego niczego nie demontować i pozostawić wszystko w poprzednim stanie. To znaczy... nie ruszać bomby. Czyli: wprost przeciwnie do naszego interesu.

Po trzecie Ośrodek mógłby się stać prawdziwym laboratorium szerokiej rekonwersji przemysłu zbrojeniowego. To prawda, że już dziś przemysł zbrojeniowy produkuje radia i telewizory, video i maszyny do szycia. Ale sytuacja gospodarcza jest tak katastrofalna, huśtawka cen tak bezsensowna, inflacja tak szybka, że o prawdziwym wtargnięciu przemysłu zbrojeniowego na cywilny rynek nie może być jeszcze mowy. Stąd zresztą konieczność kontynuowania produkcji broni. W tych warunkach transfer do produkcji cywilnej będzie zupełnie niemożliwy bez udziału uczonych, którzy przemysł wojskowy znają od podszewki, albowiem to oni go stworzyli. Z nimi trzeba będzie jeszcze przez jakiś czas produkować broń. Ale bez nich trudno sobie nawet wyobrazić skuteczne i stosunkowo szybkie przekucie mieczy na lemiesze, a tym mniej rakiet na lodówki.

Po czwarte, Ośrodek taki mógłby posłużyć do zaprogramowania i koordynowania ogromnej, właściwie nie do ogarnięcia, pracy nad ekologicznym odkażeniem zatrutych całych części kontynentu sowieckiego, od Morza Białego poprzez Czarnobyl i Bajkał aż po stepy dalekiego Wschodu. Rozmiar zniszczenia środowiska jest właściwie w tej chwili nie do skalkulowania, codziennie wychodzą na jaw nowe katastrofy. Właśnie okazało się, na przykład, że tysiące beczek z radioaktywnymi odpadami pochodzącymi głównie z paliwa sowieckich nuklearnych łodzi podwodnych i łamaczy lodów, zostało zatopionych w wodach Arktyki, wokół Nowej Ziemi. Żeby szybciej szły na dno, zostały przestrzelone. Dziś zagrażają skażeniem nie tylko wód, ale i brzegów Skandynawii. To zresztą nie koniec alarmu dla Skandynawii, no i bałtyckiej Polski także; okolica Murmańska z jej 300 reaktorami, to największe skupisko instalacji atomowych na świecie. Wszystko razem, według fachowców z organizacji „Greenpeace", stanowi „ogromną atomową bombę z opóźnionym zapłonem".

Żeby zdać sobie sprawę ze skali zjawiska, wystarczy powiedzieć, że według fachowych obliczeń, na powierzchowne ekologiczne uporządkowanie Stanów Zjednoczonych potrzeba 300 miliardów (!) dolarów. A przecież Związek Sowiecki jest znacznie bardziej zatruty.

Po piąte wreszcie, i najważniejsze, projekt Ośrodka wieści narodziny pierwszego naprawdę mądrego przedsięwzięcia w nie-

istniejącej ciągle jeszcze prawdziwej, globalnej strategii wobec rozpadu byłego imperium zła. Takiej strategii, to nie tajemnica, jeszcze nie ma i tak szybko nie będzie. Jeżeli chodzi na przykład o akcję pomocy dla Jelcyna, to na razie Amerykanie bawią się w mosty powietrzne i mannę z nieba, które niewiele kosztują, robią dosłownie i w przenośni dużo szumu, zwłaszcza w okresie przedwyborczym w USA, ale w skali prawdziwych problemów niewiele znaczą.

To jakiś paradoks. Im bardziej dramatyczne są apele Jelcyna, jego przestrogi przed nawrotem, w razie wybuchu, „czerwonych czy brunatnych koszul", tym słabsze jest zachodnie echo. Zachód jeszcze nie wybrał sobie „swojego" Jelcyna, nie wie, czy Jelcyn mówi prawdę o katastrofie i zagrożeniu dla procesu demokratyzacyjnego w Rosji, czy też jest to zwyczajny szantaż i próba wyłudzenia pieniędzy. W każdym razie, powietrzne *happeningi* nie zastąpią poważnej polityki.

Ale w dziedzinie broni atomowych na takie luksusowe *happeningi* pozwolić sobie nie można. Bałagan w sferze atomowej jest taki, że niektórzy zaczynają żałować końca epoki „równowagi strachu", która przez ponad 40 lat była gwarancją pokoju w świecie. Świat nie powinien dopuścić do rozlania się tajemnic atomowych, do skorumpowania naukowców, handlu tajemnicami jądra, oddaniem ich dla zysku czy z głupoty w ręce podpalaczy, albowiem byłoby to kontynuowanie zimnej wojny innymi, bardzo gorącymi środkami. I zapowiadałoby perspektywę kilku następnych „burz pustynnych". Niekoniecznie w oddalonych piaskach.

Ryzyko jest więc duże. Stąd trzeba mieć nadzieję (nic innego nam nie zostało), że konkretna i realna inicjatywa zmierzająca do utrzymania sowieckich tajemnic atomowych w domu, na ziemi rosyjskiej, ukraińskiej itd. i pod kontrolą, i przy intensywnej współpracy międzynarodowej, okaże się nie tylko mądra, ale i skuteczna.

Najlepsze inwestycje

To wszystko można sprowadzić do hasła lansowanego kiedyś przez pewnego ideologa komunistycznego w Warszawie, że „ja rzucam myśl, a wy ją łapcie". Zorganizowanie ośrodka, o którym mowa, to bowiem tylko pierwszy krok. Powinien on stać się początkiem ogromnej akcji międzynarodowej współpracy we właściwym wykorzystaniu atomowego potencjału technologicznego i ludzkiego dla naprawy szkód i usunięcia zagrożenia, jakie ten sam potencjał stanowił i stanowi. Dopiero wtedy bowiem zimna wojna się naprawdę skończy.

Pozostaje naturalnie cała wielka praktyczna strona organizacyjna, no i pieniądze. Według wstępnych obliczeń, Zachód musiałby wyasygnować 100 milionów dolarów na praktyczne uruchomienie ośrodka, a koszt jego funkcjonowania sięgałby ok. 1.000 dolarów na jednego posowieckiego uczonego rocznie. Gdyby tak było, byłaby to najlepsza i najbardziej opłacalna inwestycja, jakiej świat dokonałby dla prawdziwego otwarcia epoki pokomunistycznej.

To byłaby prawdziwa „dywidenda pokoju". To nie byłaby za wysoka cena za taki wielki strach. No i tu nie chodzi o kino, a o życie.

Pisane w Brukseli, 6 marca 1992

Leopold UNGER

Powrót na Bałkany?

Mianem Bałkanów określa się w geografii obszar położony między Adriatykiem, Morzem Czarnym i Morzem Egejskim. W polityce termin ten oznacza w przenośni obszar niestabilny, pełen nierozwiązywalnych konfliktów, w które zostają bądź mogą zostać uwikłane państwa spoza regionu. Określenie to wzięło się z przełomu XIX i XX wieku, gdy na gruzach imperium ottomańskiego powstało szereg nowych państw, między którymi bardzo prędko doszło do wzajemnych konfliktów, jak również do zatargów z państwami spoza wspomnianego obszaru. Określenie to w ostatnich dziesięcioleciach straciło na popularności. Symbolami państw lub regionów, gdzie różne grupy nie są w stanie współistnieć na tym samym obszarze stały się Liban i Irlandia Pn.

Rozpad Jugosławii przywrócił pojęciu Bałkanów dawny sens. Słowenia i Chorwacja byli pierwszymi i jak dotąd jedynymi krajami europejskimi, którym w ostatnich latach przyszło o niepodległy byt państwowy walczyć z bronią w ręku z armią, która w swojej nazwie posiada przymiotnik „ludowa" i której żołnierze noszą na czapkach i hełmach czerwone gwiazdy. O ile w wypadku Słowenii walka była dość krótka i skuteczna, o tyle Chorwaci walczą o niepodległość i integralność terytorialną swojego państwa do dziś dnia. W Europie roku 1991 na ekranach TV pojawiły się wstrząsające zdjęcia z Vukovaru i Dubrovnika,

drogi zapełnione uchodźcami, ranni, zabici... Ma to miejsce w kraju, który od blisko trzydziestu lat żył jedną nogą na Zachodzie i którego droga do demokracji i gospodarki rynkowej wydawała się jeszcze niedawno najłatwiejsza. Konfliktowi temu i jego genezie warto przyjrzeć się z bliska.

Jugosławia powstała w roku 1919, gdy zwycięzcy pierwszej wojny zdecydowali się przyłączyć do Królestwa Serbii zamieszkałe przez ludność słowiańską ziemie południowej części Austro-Węgier. Ludności tych ziem, której główne grupy stanowili Chorwaci i Słoweńcy, o zdanie się nie zapytano. Politycy w Wersalu uznali, że pokrewieństwo językowe będzie gwarancją stabilności. Serbowie, stanowiący około połowy ludności tak powstałego państwa, zmienili jego nazwę na Jugosławię, traktowali je jednak jako przedłużenie Serbii. Fakt wcześniejszego istnienia państwa serbskiego z jego instytucjami a także osoba monarchy i stołeczność Belgradu sprawiły, że uzyskali oni automatycznie dominującą pozycję. Chorwaci i Słoweńcy, przywykli do szerokiej autonomii w ramach liberalnej monarchii austro-węgierskiej, zaczęli się domagać od samego początku podobnego statusu od Belgradu. Serbowie w tych dążnościach widzieli irredentę i zamach na państwo. Przedwojenna Jugosławia żyła w stanie permanentnego kryzysu. Pierwszą jego ofiarą padła w 1924 roku demokracja, zastąpiona przez dyktaturę króla i serbskich kół dworskich. Dyktatura nie rozwiązała żadnego z problemów wielonarodowościowego kraju, wzmocniła natomiast tendencje separatystyczne i skrajnie nacjonalistyczne w Chorwacji. W siłę rósł faszystowski ruch Ustaszów Ante Pavelica, którzy w roku 1934 dokonali udanego zamachu na króla Aleksandra. Dopiero w 1939, gdy nad Europą gęstniały już czarnobrunatne chmury, kilku rozsądnych polityków w Belgradzie i Zagrzebiu usiłowało ratować jedność państwa udzielając Chorwacji szerokiej autonomii. Było już jednak za późno, a wypracowany kompromis spotkał się z oporem znacznej części zarówno Serbów jak i Chorwatów. Gdy w 1941 roku Niemcy zaatakowali Jugosławię, spora część Chorwatów stanęła po ich stronie, tworząc pod wodzą Pavelicy satelickie państwo o wyraźnie faszystowskim obliczu. Chorwaci i Serbowie zaczęli się nawzajem mordować z zaciekłością wprawiającą w zdumienie nawet SS-manów.

Komunistyczny dyktator powojennej Jugosławii, Tito, zrozumiał, że państwo to może istnieć tylko jako wielonarodowe. Przy całym swoim despotyzmie potrafił przyznać każdej grupie narodowościowej szeroką autonomię kulturalną i językową. Dbał również o to, by żadna z narodowości nie zdominowała struktur państwa, któremu nadał charakter federacji. Tępił bezlitośnie wszystkie nacjonalizmy, szczególnie serbski. Osobisty autorytet Tity, który jako jedyny komunistyczny przywódca zdecydował

się na otwarty konflikt ze Stalinem, a także powszechny lęk przed stoczeniem się w orbitę wpływów sowieckich przyczyniły się w zasadniczym stopniu do stabilności tego państwa aż do końca lat osiemdziesiątych.

Przemiany w ZSSR i Europie Środkowo-Wschodniej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych nie mogły pozostać bez wpływu na Jugosławię. W roku 1990 pierwsze wolne wybory w Słowenii i Chorwacji zmiotły komunistów z tamtejszej sceny politycznej. Nowe rządy obu republik postawiły problem demokratyzacji i zasadniczej reformy struktur całego państwa. Komuniści serbscy, widząc co im grozi, podnieśli sztandar serbskiego nacjonalizmu. Pod hasłem obrony ludu serbskiego brutalnie zlikwidowali autonomię Albańczyków w Kosowie i Węgrów w Wojwodinie. Wkrótce potem zaczęli upominać się o mniejszość serbską w Chorwacji i Bośni-Hercegowinie, podjudzając ich przeciw sąsiadom i demokratycznie wybranym władzom lokalnym. Taktyka ta przyniosła pełen sukces — serbscy komuniści zwyciężyli w wolnych wyborach a ich przywódca, Slobodan Miłoszewicz, został prezydentem Serbii. Podobny scenariusz zastosowano z powodzeniem w Czarnogórze. W obu wypadkach skutecznie odwrócono uwagę społeczeństwa od nędzy, recesji, kryzysu struktur państwa i koniecznych reform. W obu wypadkach opozycja demokratyczna nie była w stanie przeciwstawić się fali szowinizmu, niekiedy nawet usiłowała licytować się w nacjonalistycznych hasłach. Dotyczy to również niestety Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, tradycyjnie skłonnej do cezaropapizmu, która już w latach dwudziestych w obawie o swoją uprzywilejowaną pozycję otwarcie pchała Jugosławię w konflikt z katolicyzmem i Watykanem, dodając do problemów etnicznych czynnik religijny.

Amok, który ogarnął Serbów przeraził całą Europę. Słoweńcy i Chorwaci doszli do wniosku, że tylko opuszczenie chorej federacji zdominowanej prezz obłąkanych sąsiadów zapewni im wolność i demokrację. Ludność obu republik w referendum opowiedziała się w przeważającej większości za niepodległością i opuszczeniem Jugosławii. Gdy w czerwcu 1991 jugosłowiańska armia federalna spróbowała siłą zająć Słowenię, spotkała się z bardzo skutecznym oporem słoweńskiej policji i naprędce utworzonej Gwardii Narodowej. Belgrad dostrzegł granice własnej siły, a armia zdecydowała się wycofać ze Słowenii.

Słoweńcy mieli podwójne szczęście. Po pierwsze nie graniczą z Serbią, po drugie nie mają na swoim terytorium mniejszości narodowościowej. Belgrad, widząc że nie jest w stanie utrzymać siłą jedności federacji, rzucił hasło skupienia całej ludności serbskiej w ramach jednego państwa. Chorwaci niestety mieli na swoim terytorium znaczne obszary etnicznie mieszane,

(15 % ludności stanowią Serbowie) na których serbscy komuniści zaczęli organizować i szkolić „ochotnicze oddziały samoobrony", tzw. czetników, szeroko rekrutując do nich zwalnianych kryminalistów. Czetnicy terroryzowali ludność, wszczynali walki z chorwacką policją, po czym Belgrad przysyłał armię, formalnie federalną, celem rozdzielenia walczących stron i zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa. W praktyce oznaczało to zwyczajny podbój i wypędzanie ludności. Nie tylko zresztą chorwackiej, także tych Serbów, którzy nie akceptowali polityki podbojów. Potem tworzono czysto serbskie „Republiki autonomiczne", deklarując wolę pozostania w Jugosławii. Szowinistyczne zacietrzewienie i barbarzyństwo czetników i żołdactwa spod czerwonej gwiazdy osiągnęło taki stopień, że na zajmowanych terenach niszczyli wszystko, co było związane z obecnością kultury chorwackiej, a zwłaszcza katolickie kościoły i klasztory. Nie oszczędzili nawet średniowiecznego Dubrownika, poddając go wielotygodniowemu ostrzałowi artyleryjskiemu. Wszystko to na oczach Europy, której emisariusze co kilka dni bezradnie i bezmyślnie jeździli do Belgradu i Zagrzebia negocjować porozumienia i pokazać światu że coś jednak robią. Miłoszewicz i generałowie czuli się coraz bardziej rozzuchwaleni.

Twardy opór Chorwatów przyniósł jednak rezultaty. Serbowie musieli się zgodzić na mediację ONZ. Proces rozpadu Jugosławii poszedł dalej, świat uznał niepodległość Chorwacji i Słowenii, Macedonia zdecydowała się wystąpić z federacji a Bośnia-Hercegowina przymierza się do podobnego kroku. Uwzględniając strukturę ludnościową tej ostatniej, gdzie jedną trzecią ludności stanowią Serbowie, a jedną piątą Chorwaci, szykuje się konflikt, przy którym walki w Slawonii i Krajinie będzie się oceniało jako dziecinne igraszki.

Tych kilka słów winien jestem nie tylko walczącym o niepodległość i integralność państwową Chorwatom. Konflikt ten winien być przestrogą dla całej Europy. Spore obszary Serbii, Chorwacji, Bośni i Macedonii są etnicznie mieszane. Nie da się tam przeprowadzić granic, które nie pozostawiłyby po co najmniej jednej stronie znacznych grup mniejszościowych. Chyba, że się je zechce wzorem Stalina i Hitlera deportować lub zlikwidować fizycznie. Niezależnie od tego, jak będą wyglądały przyszłe granice, Serbom, Chorwatom i Bośniakom przyjdzie żyć i mieszkać obok siebie. Urazy powstałe w ostatnich miesiącach uczynią to współżycie dużo trudniejszym. Na tym konflikcie Serbowie *per soldo* stracą i to niezależnie od tego, jak uda się go rozwiązać. Zarówno ci z Serbii, jak i przede wszystkim ci rozsiani po Chorwacji, Bośni i Macedonii. Ewentualne zdobycze terytorialne nie zrekompensują wrogości sąsiadów, izolacji międzynarodowej i nieuniknionych problemów mniejszościowych. Cena do zapłacenia będzie rosła wraz z przedłużaniem się błędnego koła przemocy. Miłoszewicza i generałów te konsekwencje nie obchodziły od samego początku. Świadoma część społeczeństwa serbskiego winna je była sobie uzmysłowić co najmniej dwa lata wcześniej.

●

Bałkany nie ograniczają się jednak do Jugosławii. W Bułgarii ponad 10 % ludności stanowią Turcy, poddani w ostatnich dwu dekadach ostrej bułgaryzacji, obejmującej nawet zmianę imion i nazwisk. Przywrócenie im demokratycznych swobód, przeprowadzone tuż po upadku Żiwkowa, natrafiło jednak na opór znacznej części ludności bułgarskiej, a nowy prezydent Zelew tylko dzięki głosom mniejszości tureckiej pokonał komunistycznego konkurenta. Podobnie wielu Rumunów bynajmniej nie kochających reżymu Ceausescu wrogo odniosło się do przywrócenia praw mniejszościowych ponad dwu milionom Węgrów transylwańskich.

Bałkany nie ograniczają się nawet do półwyspu Bałkańskiego. W Słowacji gwałtownie wzrosły nastroje antyczeskie i antywęgierskie, stawiające pod znakiem zapytania przyszłość CSRF. Gloryfikacji ulega też niekiedy osoba ks. Tiso, przywódcy marionetkowego państewka z okresu II wojny. Na Litwie, gdzie Litwini stanowią ok. 3/4 ludności, stosunki z mniejszością białoruską, polską i rosyjską są dalekie od harmonijnych. Łotysze i Estowie nie ukrywają swojej niechęci do stanowiących znaczną część ludności Rosjan, a Mołdawianie do Ukraińców. Jednej tylko Ukrainie udało się, jak dotąd, uniknąć wzrostu tendencji nacjonalistycznych. Pytanie na jak długo? Można oczywiście zrozumieć obawy nowopowstałych państw przed irredentą. Ucisk mniejszości może jednak tę groźbę tylko przybliżyć, a na pewno nie oddalić.

Paweł STRUMIŁŁO

Amerykańska Agencja d/s Rozwoju Międzynarodowego (USDA)

PROJEKTY W POLSCE I EUROPIE ŚRODKOWEJ I WSCHODNIEJ

1. Restrukturyzacja rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego.
dotyczy: regionu
budżet: 21.000.000 USD
cel: pomoc techniczna i szkolenie w ramach spółdzielni prywatnych, prywatnego przemysłu rolno-spożywczego i rządowych agencji promujących handel. Składa się z 6 podprojektów (w tym 0,5 mln USD na pomoc dla Banku Spółdzielczego w Polsce)

2. Pomoc żywnościowa — techniczna.
dotyczy: Polski
budżet: 507.783.080 zł.
W latach 89/90 Polska otrzymała pomoc żywnościową w postaci m.in. masła, kukurydzy, ziarna soji, mięsa wieprzowego itp. Produkty te zostały sprzedane (po odliczeniu kosztów) za sumę 439.763.584.080 zł, dodatkowo procenty wynoszą 70 bln. zł. Sumy te przeznaczono na 4 fundusze:
a) Wspólną Komisję d/s Pomocy Humanitarnej — ma na celu poprawę warunków życia i popieranie niezależnych instytucji w Polsce;
b) Wspólne projekty USDA i Ministerstwa Rolnictwa oraz Programu Cochrna;
c) Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości;
d) Rozwój infrastruktury wiejskiej;
e) Fundusz Współpracy Rządu Polskiego.

3. Pomoc dla Inicjatyw Demokratycznych
dotyczy: regionu
budżet: 11.376.306 USD.
cel: umacnianie grup i instytucji demokratycznych w Europie Środkowej i Wschodniej.

4. Rozwój polityczny i zarządzanie
dotyczy: regionu

budżet: 10.900.000 USD
cel: rozbudowa infrastruktur politycznych, w tym partii, organizacji pozarządowych:
a) pomoc w wyborach,
b) sieć inicjatyw obywatelskich.

5. Samorządy i administracja państwowa
dotyczy: regionu
budżet: 4.000.000 USD
cel: szkolenie urzędników administracji państwowej.

6. Ustawodawstwo państwowe
dotyczy: regionu
budżet: 6.000.000 USD
cel: pomoc techniczna oraz szkolenie w zakresie procedur parlamentarnych.

7. Rządy prawa
dotyczy: regionu
budżet: 750.000 USD
cel: rozwój i umacnianie prawa, praktyk i instytucji prawnych (przede wszystkim niezależnego sądownictwa).

8. Rozwój społeczny i kulturalny
dotyczy: regionu
budżet: 5.250.000 USD
elementy:
— Reforma szkolnictwa
— Książki o demokracji
— Edukacja obywatelska i problemy mniejszości.

9. Niezależne środki masowego przekazu
dotyczy: regionu
budżet: 6.500.000 USD
elementy: Fundusz Międzynarodowych Środków Masowego Przekazu. Szkolenie w USA w zakresie środków masowego przekazu.

10. Inicjatywy humanitarne sektora prywatnego oraz Korpus Demokracji Obywatelskiej
dotyczy: regionu
budżet: 17.300.000 USD
W tym darowizny dla organizacji pozarządowych: 15.800.000 USD

11. Prywatna Organizacja Wolontariuszy
dotyczy: Polski

budżet: 1.669.900 USD
elementy: Narodowe Stowarzyszenie Biznesu Spółdzielczego
Narodowe Stowarzyszenie d/s Energii na terenach wiejskich
Land O'Lakes
Narodowe Stowarzyszenie Związku Kredytowego
Stowarzyszenie Wolontariuszy
cel: środki pomocnicze dla organizacji wolontariuszy realizujących projekty w Polsce.

12. Inicjatywy dot. Ochrony Środowiska
dotyczy: regionu
budżet: 15.400.000 USD
elementy: Departament Energii USA
World Wildlife Fund
Inicjatywy Agencji Ochrony Środowiska
Światowe Centrum d/s Środowiska
Kraków Powietrze/Woda (budżet: 1.600.000 USD)
cel: umocnienie roli sektora prywatnego w redukcji zanieczyszczeń; *monitoring* w zakresie skażenia środowiska w Krakowie itp.

13. Doraźny Program Energetyczny
dotyczy: regionu
budżet: 10.000.000 USD
cel: zwiększenie efektywności wykorzystania energii, zmniejszenie kosztów importu ropy itp.
elementy: Wykorzystanie energii w przemyśle
Wykorzystanie energii w przemyśle rafineryjnym
Zakupy ropy (szkolenie)
Reforma cen energii.

14. Regionalny projekt dotyczący zwiększenia efektywności wykorzystywania energii w Europie Wsch.
dotyczy: regionu
budżet: 14.000.000 USD
elementy: Równoległe finansowanie z Banku Światowego
Pomoc Techniczna z Departamentu Energii USA
Dar dla Międzynarodowej Agencji Energetycznej
Pomoc techniczna z Amerykańskiej Regulacyjnej Agencji Atomowej
Prywatyzacja Elektrowni w Polsce
Porozumienie o Współpracy w zakresie Energii
Pomoc w zakresie informacji o energetyce.

15. Wykorzystanie czystych paliw kopalnianych i energii w Krakowie.

dotyczy: Polski
budżet: 20.000.000 USD
cel: Pomoc dla Programu „Niskich Emisji" w Krakowie i województwie krakowskim, zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza.

16. Poprawa Usług Państwowych w zakresie ochrony środowiska.
dotyczy: regionu
budżet: 12.000.000 USD
elementy: Agencja Ochrony Środowiska
Współpraca regionalna w zakresie ochrony środowiska
Centrum Polityki Czystego Powietrza
Działalności USDA
Konserwacja przyrody i zróżnicowania biologicznego w Europie Wschodniej.
cel: Kluczowy projekt w zakresie ochrony środowiska w Europie Wschodniej.

17. Inicjatywa Mikulskiej, Ochrona Środowiska
dotyczy: Polski
budżet: 1.000.000 USD
cel: Działanie z zakresu ochrony środowiska, w tym oczyszczalni wody w Giżycku.

18. Doraźna pomoc w zakresie środków leczniczych
dotyczy: regionu
budżet: 5.000.000 USD
cel: Utrzymanie standardu opieki zdrowotnej w Europie Środkowej i Wschodniej. Dotyczy głównie dzieci, starców, kalek i bezrobotnych.

19. Partnerstwo w Opiece Zdrowotnej
dotyczy: regionu
budżet: 5.000.000 USD
cel: Ułatwianie wymiany technologii i wiedzy medycznej, głównie dotyczących chorób stanowiących podstawowe źródło zgonów w Europie Środkowej i Wschodniej.

20. Finansowanie Opieki Zdrowotnej
dotyczy: regionu
budżet: zostanie ustalony w 1992.

21. Polsko-Amerykański Szpital Dziecięcy
dotyczy: Polski
budżet: od 1965: 15.800.000 USD, 26.729.565 w walucie lokalnej
cel: Szpital dziecięcy w Krakowie

22. Pomoc dla budownictwa mieszkaniowego
dotyczy: regionu
budżet: 15.000.000 USD
elementy: Finansowanie budownictwa
Samorządy i prywatyzacja budownictwa
Rozwój spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego
Projekty pokazów w zakresie rozwoju prywatnego budownictwa.

23. Regionalny Program dot. Zasobów Ludzkich
dotyczy: regionu
budżet: 13.997.000 USD
elementy: Międzynarodowy Program Wymiany Studentów
Nauczanie angielskiego
Porozumienie z Biurem Statystyki Pracy
Porozumienie z Departamentem Skarbu
Koordynacja pomiędzy dawcami
Światowa Rada Związków Kredytowych

24. Szkolenie w zakresie Zarządzania i Ekonomii Rynku
dotyczy: regionu
budżet: 18.000.000 USD
cel: Wymiana z różnymi uniwersytetami USA.

25. Przekształcenie Rynku Pracy
dotyczy: regionu
budżet: 5.615.000 USD
cel: Pomoc dla osób, które odczuwają ciężar reform ekonomicznych, szkolenie przedsiębiorców, dostarczanie informacji ekonomicznych i pomoc w redagowaniu instytucjonalnego systemu opieki społecznej.

26. Szkolenie bankowe
dotyczy: regionu
budżet: 9.000.000 USD
cel: Szkolenie bankowców średniego i wyższego szczebla oraz pomoc dla instytucji szkolących bankowców w Europie Środkowej i Wschodniej. Projekt jest nadzorowany przez Departament Skarbu USA.

27. Projekt szkolenia w zakresie ochrony środowiska
dotyczy: regionu
budżet: 3.000.000 USD
elementy: Szkolenie ogólne
Ekonomika środowiska
Konserwacja i rozwój parków narodowych.

cel: Szkolenie w zakresie ekonomiki i finansowania ochrony środowiska, a także szkolenie personelu zakładów przemysłowych pracujących na rzecz ochrony środowiska.

28. Polski Fundusz Stabilizacyjny
dotyczy: Polski
budżet: 200.000.000 USD
cel: USA w 1990 przyznało Polsce 200 mln USD jako część w międzynarodowym funduszu stabilizacyjnym na rzecz częściowej wymienialności złotówki.

29. Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości
dotyczy: Polski
budżet: 110.000.000 USD
cel: Promocja sektora prywatnego, finansowanie instytucji i wprowadzenie zachodnich praktyk prawnych w zakresie biznesu. Fundusz ma być przedsięwzięciem dochodowym, które w przyszłości ma prowadzić własną działalność i przyciągać inwestycje.

30. Prywatyzacja i restrukturyzacja przedsiębiorstw
dotyczy: regionu
budżet: 18.000.000 USD
cel: Pomoc techniczna dla restrukturyzacji polskich przedsiębiorstw, ich prywatyzacji i wzmocnienia orientacji rynkowej. Także szkolenie ekspertów i popieranie powstawania firm consultingowych.

31. Pomoc techniczna dla przedsiębiorstw
dotyczy: regionu
budżet: 5.365.600 USD
cel: Pomoc menadżerska dla małych przedsiębiorstw prywatnych, pomoc w ustalaniu decyzji inwestycyjnych, przygotowanie reform instytucjonalnych promujących mały i średni sektor prywatny, także sprowadzanie absolwentów MBA (Wydział Zarządzania) do pracy w zakładach prywatnych (opłacony transport, szkolenie i mieszkanie, polskie przedsiębiorstwa opłacają pensje).

32. Polityka konkurencji, prawo i regulacje prawne
dotyczy: regionu
budżet: 7.000.000 USD
cel: Pomoc dla rządu w zakresie ustanowienia ram funkcjonowania gospodarki rynkowej, w tym praw antymonopolowych, polityki podatkowej, administracji, telekomunikacji, a także ogólnych praw handlowych.

33. Usługi handlowe
dotyczy: regionu
budżet: 4.900.000 USD
cel: Usługi doradcze dla rządu i instytucji handlowych w zakresie sektora finansowego (np. doradcy Ministra Finansów, Prezesa NBP itp.)

34. Biznes amerykański i rozwój sektora prywatnego
dotyczy: regionu
budżet: 21.000.000 USD
elementy: Rozwój kapitału
Studia analityczne: handel i rozwój USA
Amerykańskie centra biznesu
Wschodnioeuropejskie biuro informacji biznesowej
Konsorcja biznesu amerykańskiego
Księgowość.
cel: Ułatwienie transferu amerykańskiej technologii i kapitału do Europy Środkowej i Wschodniej i stymulowanie małego i średniego biznesu amerykańskiego na tych rynkach. Priorytety dotyczą sektorów: rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy, energia, środowisko, budownictwo mieszkaniowe.

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Każdy wie swoje

1.

Jakby tylko tego brakowało, w marcu załamała się w Warszawie komunikacja między politykami. Premier, zaskoczony odrzuceniem przez sejm rządowych „Założeń polityki społeczno-gospodarczej na 1992 rok", oskarżył publicznie parlament o „niejednoznaczność". Istotnie, ci sami posłowie kilka godzin wcześniej odrzucili wniosek Unii Demokratycznej, aby tych „Założeń..." nie przyjmować. Ale posłowie z równą słusznością zarzucali niejednoznaczność rządowi. Co innego mówił premier nazywając „obłędnym" gospodarczy kurs poprzedników, co innego uczynił mianując Andrzeja Olechowskiego, człowieka wszystkich poprzednich ekip, ministrem finansów,... a jeszcze coś innego zadeklarował główny autor „Założeń...", Jerzy Eysymontt, gdy odpowiadając na debatę sejmową w ogóle zanegował sensowność domagania się od programu rządowego koherencji i niesprzeczności jako w obecnych warunkach po prostu niemożliwych.

Prezydent, który w marcu znów często występował publicznie, nie pomógł sprawie: jedni zrozumieli, że Wałęsa grozi zawieszeniem demokracji, a kursując po redakcjach postkomunistycznych pism zbiera siły przeciw niedawnym przyjaciołom (czyż w 1926 KPP nie dała się skusić Piłsudskiemu do „błędu majowego"!). Inni wzruszali ramionami, bo wedle nich Wałęsa gadaniem maskował bezradność i bezsilność, w istocie zaś chciał się pojednać z obozem Olszewskiego, czego najlepszym dowodem, że nie przeciwstawił się aberracyjnym nominacjom w MONie, choć premier i jego ludzie otwarcie zlekceważyli kompetencje prezydenta. Krótko mówiąc, trzy główne instytucje władzy państwowej nie tylko przestały rozumieć się wzajemnie, ale nawet nie były w stanie zakomunikować opinii publicznej, czego właściwie chcą i co zamierzają uczynić.

Ten paraliż komunikacyjny tłumaczył się dość prosto. Żaden z ośrodków władzy — ani zresztą żadna wyobrażalna opozycja — nie miały dość odwagi, by rzetelnie przedstawić krajowi czekające go perspektywy i opcje i, tym bardziej, by wyciągnąć z tego polityczne wnioski. Nawet rząd Olszewskiego, który przecież sporządził czarny remanent stanu państwa, aby pognębić liberałów z Unii i KLD i zmusić ich jeśli nie do samokrytyki, to chociaż do milczenia — nie omieszkał zarazem zaatakować dziennikarzy za defetyzm i czarnowidztwo. I mimo że według własnych prognoz rządu najpierw będzie jeszcze znacznie gorzej, nim może się zrobić lepiej, premier z całą powagą przyznał swojej ekipie tytuł „rządu nadziei". Przeciwnicy, oczywiście, wcale nie zwlekali z dowodzeniem, że wprawdzie najpierw będzie znacznie gorzej, ale wcale nie będzie mądrzej. Na marne pójdą nie tylko nowe ofiary, lecz nawet dotychczasowe, drogo okupione zdobycze. Ale dowodząc tak, wiedzieli sami, że zdobyczy tych nie uratuje kontynuowanie kursu.

2.

Uczestników gry politycznej w Polsce łączy po pierwsze świadomość kryzysu i, po drugie, bezradność wobec tej sytuacji. Jedno i drugie jest dość świeżej daty. W powyborczych miesiącach nastąpiło pewne otrzeźwienie i w efekcie niejakie zbliżenie politycznych rywali do rzeczywistości i... do siebie wzajem. W tym sensie bracia Kaczyńscy trafnie odczytali wiatr.

Unioniści i nawet liberałowie nie są już skłonni się zaklinać, że w toku „ich" dwóch lat wszystko było „w zasadzie" w porządku lub że, przynajmniej, zrobiono wszystko, co było możliwe do zrobienia. Koalicja rządowa, ze swej strony, nie udaje już że dokona przełomu i że wie, jak to zrobić. Nawet gracze drugiej ligi zmieniają postawy. Postkomuniści z SLD, którzy uważają, że są o krok od odzyskania wstępu na salony, gdzie formują się koalicje, starają się być partią jak inne, nie zaś jakąś niepokojącą „alternatywą". SLD nie przemawia już swoim własnym językiem, nie widać też u nich owej zwartości w negacji, która cechuje wykluczonych. Są odcienie i frakcje, podziałów się nie skrywa, lecz wręcz eksponuje. Wszędzie szuka się kontaktów i żadnej kombinacji nie odrzuca z góry. Rokowania z Henrykiem Goryszewskim z ZChN, który jako przewodniczący komisji sejmowej budżetu i finansów negocjował z SLD warunki poparcia przez nich „Założeń..." były w tym względzie wielce pouczające.

KPN, która miota się pomiędzy chęcią udziału w rządach a pokusą gry o całą pulę, też nie uniknęła zarażenia bezradnością. Mimo mitotwórczych skłonności wodza, świadomość głębi kryzysu odbiera ludziom KPN pewność ręki i języka, nie umieją już nawet sprzedać propagandowo swoich recept i pomysłów. Ich zachowania sprawiają wrażenie już to małostkowych obsesji, już to rozpaczliwego awanturnictwa. W taki właśnie sposób, demonizując rolę nowego ministra finansów, Olechowskiego, skądinąd posłusznego urzędnika, i ogłaszając wręcz cnotą wielki deficyt budżetowy, skołowani KPNowcy zdołali sporządzić w sejmie śmieszną karykaturę z poważnych choć ryzykownych propozycji swego doradcy, Stefana Kurowskiego.

W rezultacie dopiero na boiskach całkiem gminnych, na zupełnych marginesach życia politycznego odnajdujemy dziś w Polsce przebojowość i pewność siebie: wśród awanturników, faszystów, spensjonowanych agentów i zwykłych oszołomów. Nie trzeba ich tracić z oczu, ale nie należy też histeryzować: ich czas, mimo wszystko, jeszcze nie nadszedł.

3.

Dlaczego, mimo skonstatowanego zbliżenia losów i sprzyjającej, zdawałoby się, kompromisom niepewności własnych, ideologicznych poglądów i „autorskich" pomysłów, politycy są niezdolni do rozszerzenia koalicji rządowej i stworzenia trwałej większości parlamentarnej, a bracia Kaczyńscy, płynąc ze słusznym, jako się rzekło, wiatrem, dopłynęli na rafy, nie do portu? Czy naprawdę możliwy okaże się dopiero jakiś rząd ocalenia narodowego, ostatniej szansy, utworzony pod bezpośrednim naporem społecznym, pięć po dwunastej?

Otóż rzecz polega najpierw na tym, że na taki napór społeczny bynajmniej się nie zanosi. Pisałem już o tym na tych łamach parokrotnie i powtórzę raz jeszcze: nie ma w społeczeństwie żadnej liczącej się alternatywnej wizji kraju i jego przyszłości i wobec tego bardziej aktywne formy niezadowolenia ogniskują się wokół odrębnych, partykularnych i często przeciwstawnych interesów grup, korporacji i zawodów, których protesty nawzajem się dezawuują. Nawet NZSS Solidarność, niegdyś dumny ze swej struktury regionalnej, przekształca się coraz wyraźniej w konfederację związków branżowych i cechowych. Dezintegracja społeczeństw lokalnych sprawia przy tym, że mimo żałosnego stanu samorządów i szalejącej biurokratyzacji rzadko tylko dochodzi do zgodnej mobilizacji mieszkańców miasta czy gminy, zdolnej wstrząsnąć strukturami władzy. Nie można, oczywiście, wykluczyć protestów, nawet gwałtownych, zwłaszcza wobec zapowiedzianego spadku spożycia, indywidualnego i zbiorowego. Ale nie wydaje się prawdopodobna kumulacja przez granice dzielące interesy partykularne: chłopi nie będą z miastem, emeryci z bezrobotnymi, robotnicy z sektora prywatnego z państwowymi, rodzice z nauczycielami, a urzędnicy z kimkolwiek — chyba że arogancja czy głupota „klas wyższych"

narzuci nagle świadomości ulicy jakiś temat szczególnie drażniący. Takich tematów nie brakuje, zrodzonych z ksenofobii, fundamentalizmu katolickiego, korupcji, ale najgroźniejszy, jak sądzę, ładunek wybuchowy zawarty jest w bezmyślnej bezczelności, z jaką lansuje się w Polsce neodarwinizm społeczny. W uszlachetnionym wydaniu, adresowana zwłaszcza do młodzieży propaganda ta gromi „zakorzenione w społeczeństwie lewicowe przyzwyczajenia, w ramach których dewiza równości (żeby inni nie mieli więcej) stoi nieporównywalnie wyżej od hasła wolności (żebym ja mógł zrobić z moim życiem to, co pragnę)..." [z tekstu sygnowanego „Marek Mokotowski" w *Gazecie Wyborczej* z 7–8 marca br., pod tytułem „Polska choroba"]. Swoista hipostaza wartości, która służy ich radykalnemu i sztywnemu przeciwstawieniu, nie jest, jak wiadomo, świeżym pomysłem, w szczególności gdy chodzi o opozycję równości i wolności. Karygodnej głupoty dowodzi jednak odwoływanie się do niej we współczesnej Polsce, gdzie w szybkim tempie wszystkie „wolności" uzależniają się od pieniędzy, gdzie zwłaszcza staje pod znakiem zapytania równość szans w oświacie, a bezrobocie młodych przekształca się w sposób życia. Zaiste heglowski duch dziejów zdaje się dziś chętniej posługiwać słabością niż chytrością rozumu. Oczywiście, nie chcę wcale sugerować, że to teksty publicystów — choćby najgłupsze — mogą się stać iskrą w prochu. Wypowiadają one tylko postawy i poglądy „Polski antyegalitarnej", których przejawów nie brak dosłownie na każdym kroku.

Drugim powodem, dla którego tak trudno jest dziś o rozszerzenie i stabilizację koalicji rządowej, jest brak rzeczywistych uzgodnień programowych, gdy chodzi o niezbędne reformy systemowe. Ma się wrażenie, że i rząd, i parlament pracują wyłącznie w strażackim trybie, ma syrenie i migaczach. Ciągle dopina się pękający gorset budżetu, natomiast jego skuteczność uchodzi z pola widzenia. Od lat wiadomo np. że konieczna jest radykalna reforma systemu ubezpieczeń. Premier Olszewski mówił ostatnio w sejmie o „gigantycznej defraudacji", jakiej za pośrednictwem tego systemu dopuszczało się komunistyczne państwo przez 45 lat na ludziach pracy. Ale defraudacja trwa. Taka reforma musiałaby, oczywiście, potrwać. Ale po 2,5 latach nawet się nie rozpoczęła, nic nie jest chociażby uzgodnione. To samo dotyczy ochrony zdrowia, oświaty, mieszkalnictwa — ale również konstytucji, struktury rządu, podziału terytorialnego, ordynacji wyborczej itd. aż po nieszczęsną ustawę o radiu i telewizji. Owszem, dochodzą czasem jakieś odgłosy z gabinetów rządowych, że nad czymś się pracuje i coś przygotowuje. Ale niczego się właśnie nie dyskutuje i nie uzgadnia, ani z opozycją, ani po prostu z opinią publiczną: kiedy rozpocznie się debata

parlamentarna, będzie już za późno na wykorzystanie szansy, jaką dla rozszerzenia koalicji byłaby taka wspólna, niesformalizowana praca nad programem reform. Jeśli traktować serio oświadczenia premiera, że pragnie rozszerzenia koalicji właśnie wokół programu...

Wątpię jednak — i tu miejsce na motyw trzeci — iżby premier do tego zmierzał. Wygląda raczej na to, że chodzi mu o zwężenie nie zaś rozszerzenie gabinetu — i nie jest to paradoks. Warto pamiętać, że z pierwotnie negocjowanej koalicji wypadli od razu na starcie liberałowie i KPNowcy, teraz na wylocie zdaje się być część PC, natomiast bezwarunkowe poparcie deklarują premierowi ludzie Hniedziewicza czyli chadecja, lub gdy kto woli, post-paxowska część PC. Koalicja przybiera więc coraz wyraźniej charakter „chjenopiastowski". Można przypuszczać, że mówiąc o „koalicji programowej" premier ma raczej na myśli nie program lecz ideologię, choć zapewne jest to ideologia dość instrumentalnie traktowana i ani Jan Olszewski ani tym bardziej wielu jego wpływowych doradców, ze Zdzisławem Najderem, nie mają bynajmniej opinii fundamentalistów. Nie mniej, ideologiczny charakter koalicji ma sprawić, że byłaby ona raczej „koalicją zaufania" do rządu, co oczywiście pod drugiej stronie rozumie się jako czek *in blanco*.

4.

Nie sposób na koniec nie wspomnieć o czynniku najmniej poważnym, żenującym nawet, mianowicie o obustronnej niezdolności psychologicznej do pertraktacji. Czasem obserwatorowi wydaje się, że ma do czynienia nie z poważnymi politykami lecz ze sfrustrowanymi, agresywnymi wskutek kompleksów młokosami.

Liberałowie i Unioniści są nieustannie obrażeni. Na każdą krytykę reagują klasycznym „no to powiedz, jak takiś mądry, co trzeba zrobić" — choć na ogół powinni byli pytać dwa lata temu. Niezwykle skwapliwie powołują się na zachodnie autorytety, Fundusz Walutowy, Busha, bankierów itd. Z dwóch ptaków Słowackiego upodobniają się z własnej woli do papugi. Zarazem mają wyraźny kompleks wyższości, od którego nie wybawiły ich przesławne lania wyborcze: czują się niedocenieni i niedopieszczeni. Powinni rządzić, a nie rządzą.

Po drugiej stronie dominuje kompleks niższości. W umysłach większości ministrów bitwa przeciw „Warszawie" trwa. Sam premier nie umie się wyzbyć nawyków z sali sądowej: jest zawsze stroną, i to, na dodatek, stroną słabszą materialnie choć moralnie słuszną... Rzecznik prasowy, Gugulski, chodzi wśród dziennikarzy jak początkujący karateka po planszy, sztywny, w każdej chwili czekający na cios. Walcząc z „warszawką" miło

jest spluwać na dywan: arogancja leczy kompleks. Obóz rządowy nieustannie afiszuje swą arogancję, jak pawi ogon, choć w istocie zasługuje raczej na litość. To ukazuje zwłaszcza polityka kadrowa, na wyższych i niższych szczeblach, nieustanne łapanki na ludzi i coraz więcej pomyłek. Obsada co najmniej połowy resortów jest czystym nieporozumieniem (a abstrahuję tutaj w ogóle od aspektu ideologicznego). Że jednak ma to być „rząd silny", więc tromtadracji coraz więcej. Nauczyciele śmieją się ze swego ministra, który im grozi laską, oficerowie ze swego wiceministra, który im zaleca partyzantkę afgańską jako model wojenny. Nie wiem, czy ubecy z UOPu też już się śmieją ze swego ministra, który o każdym zetknięciu z obcokrajowcem nakazuje im pisać notatki służbowe... Z tym wszystkim, nie są to źli ludzie, ani jedni, ani drudzy. Naprawdę chcą dobrze dla kraju i nie szukają prywatnych korzyści, La Rochefoucauld pisał jednak, że wielu mawia źle o swym sercu, a mało kto o swym rozumie. Zalecałbym naszym politykom pod rozwagę. Na rekolekcje wielkopostne jak znalazł.

Warszawa, 10 marca

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Budzę się rano. Nie ma ciepłej wody, ale to głupstwo, bo przecież nie ma też Związku Sowieckiego, nie ma u nas cenzury, Partia Zjednoczona i Robotnicza nie ma nawet swojego cmentarza, wszystko co miało być wieczne szlag trafił, nie ma NRD, nie ma milicji tylko jest policja, granice są otwarte, dziennik radiowy, który płynie ku mnie przez ścianę, mówi moimi myślami o sytuacji w świecie, jak przyjemnie, a kiedyś dusza mi wyła, gdy słuchałem...

Odeszło wszystko jak zmora, wielki oddech ulgi, jak go zatrzymać i nie zadławić się?

Z drugiej ręki czasami się dowiaduję, nigdy z pierwszej, że zmienił się ton moich tekstów, że za wiele w nich zawziętości, histerii, pesymizmu. Też mi się tak zdaje. Ale czy ja się upieram, że jestem normalny? Podejrzewam, że w Polsce przyjdzie mi jeszcze trochę pożyć, zaś mój potomek, którego lubię bezgranicznie, tylko tam na szczęście lub niestety chce mieszkać, więc modlę się, abym nie miał racji w swoim ciemnym widzeniu, niech już moja głowa będzie chora a Polska zdrowa, poświęcę głowę dla ojczyzny (jakoś mdło i niewyraźnie, kiedy się dzisiaj mówi ojczyzna). Tak wiele właśnie teraz się kończy, tak wiele zaczyna. Kończy się romantyzm nasz i pewien model deklarowanego, a czasami wcielanego w życie patriotyzmu. Kończą się nasze cechy narodowe, budują się nowe, może już nie narodowe a rynkowe... jest tyle nowych narodzin, tyle śmierci, ale nic w tym nie jest wyraźne i pewne. Czas wielkiej zmiany, zmiany głębokiej. Może próby uwyraźnienia tego są błędem i grzechem, za szybko, za brutalnie, a więc niechlujnie?

Chciałem tylko zwrócić uwagę emigracyjnym czytelnikom, że ton rozpaczy i histerii może się wydać dziwny tylko tym, co są od kraju daleko. Ten ton zyskał już w kraju prawo obywatelstwa i każda gazeta codzienna tego pełna, tym głosem śpiewają barytony naszych autorytetów i soprany aspirujących do autorytetu, z lewa, z prawa i z Centrum, wierzący w Boga i nie wierzący. Nie będę myszkował szukając rzeczy szczególnych, cytuję, co wpada mi w rękę w ostatnim tygodniu.

Andrzej Celiński — senator ziemi płockiej, w roku 1981 sekretarz Wałęsy, niegdyś członek KOR-u:

„Coraz częściej zastanawiam się, czy ta moja aktywność ma jakiś sens dla tego mojego kraju. Czy rzeczywiście z tej pracy i tych utarczek coś pozostaje dobrego. Mam nadzieję, że jeśli ci, co mają piasek w garściach, skutecznie zablokują moją pracę dla województwa płockiego — mam nadzieję, że potrafię publicznie powiedzieć do widzenia, ja nie o taką Polskę starałem się walczyć. Po co mi te porażki?"

Krzysztof Czabański, nie wiem czy nadal blisko Centrum i Wałęsy, ale od wczoraj szef PAP. Pisze o Polsce pod tytułem „Pijany Sejm":

„Mały zrujnowany kraik, którym usiłują zawładnąć rozmaite grupy — złodzieje, doktrynerzy, cwaniacy, obce wywiady, zagraniczne pieniądze — jest broniony, świadomie lub nie, przez ludzi uczciwych, ale tych ludzi jest mało, są rozproszeni i bezradni, tymczasem demokracja pozwala ich przeciwnikom na bezwzględne niszczenie tego co dobre.

(...) ma armię słabą do obrony choćby własnych koszar. Ma zrujnowaną gospodarkę i takiż budżet. Ma skorumpowane urzędy, niezdolne do pilnowania interesów skarbu państwa. Ma również elity polityczne, które potrafią jedynie rozpamiętywać własną wielkość i przeszłość, no i obrażać się na wszystkich krytyków".

Karol Modzelewski, jego chyba przedstawiać nie trzeba:

„Przesiedziałem w PRL osiem i pół roku. Obserwuję rozwój

wydarzeń po 'naszym' zwycięstwie i nie jestem wolny od obawy, czy kiedyś nie będę musiał uznać tych lat za stracone" (powtarza to publicznie już po raz drugi).

Można by teraz wejść na szczyt Olimpu i sypnąć w oczy garścią hiobowych skarg Premiera i Prezydenta, ale zamiast tego przytoczę głos całego ministerstwa, które z urzędu zajmuje się Sprawami Wewnętrznymi. Co oni zobaczyli w naszym Wnętrzu?

Ale najpierw uwaga paradoksalna, bo paradoksy nie omijają nowego MSW. Nowe władze tego resortu, nie wiem czy sprowokowały czy tak się samo porobiło, czystkę na górze ministerstwa. Myli się ten, kto pomyślał, że usuwa się jadowe zęby przeszłości. Odchodzą nowe ekipy, które ledwie zapuściły solidarnościowe korzonki w gabinety, gdzie jeszcze kołaczą się wspomnienia własnych przesłuchań. Dawni przesłuchujący więc zostają, a dawne ofiary i nowi szefowie odchodzą. Może to i normalna kolej rzeczy, ale jakoś dziwnie się robi w okolicy splotu słonecznego.

I jeśli wierzyć nowemu MSW, które pod nowym dowództwem wyszykowało raport „O stanie bezpieczeństwa państwa", to wysiadły już wszystkie bezpieczniki i przepalają się teraz przewody. U sąsiada lada moment wybuchnie bunt, a wtedy zbrojne bandy pustoszyć będą ojczyznę naszą, bo granic nie ma kto strzec, zresztą tam pewnie użyta będzie broń masowego rażenia, która i nas porazi. (Nie napisano, że wtedy będzie nareszcie spokój). Niemcy szykują się do sojuszu z Rosją, jak kiedyś. W środowiskach młodzieżowych zdobywają głos ugrupowania radykalne, więc terroryzm stoi za płotem. Podziemie gospodarcze rośnie i obejmuje wszystko mackami. Najwyżej postawione w państwie osoby poddawane są pokusom korupcji i niezwykłym ofertom spoza polskich granic. Obce wywiady rozbudowują swoje struktury i docierają skutecznie do elit. Polska staje się poligonem dla międzynarodowego terroryzmu. We wniosku końcowym raportu stwierdza się, że „zjawiska kryzysowe będą się pogłębiać i można spodziewać się w pierwszym kwartale 1992 roku wybuchu niezadowolenia".

Dzwonią dzwonki i dzwony na alarm, potem się ucisza i znowu dzwonią, ale już głośniej. Do tego też się przyzwyczajamy. Zapewne więc zdziwimy się, jeśli coś jednak wybuchnie. Gdzie, jak, po co, czym, kto, co potem??? Te wszystkie pytania nie mają odpowiedzi i to uspokaja. Czy słusznie?

Jeżeli wszyscy w kupie tak licznej i dostojnej przesadzają to też strach, bo w polityce samospełniające się przepowiednie nie są rzadkością.

Ale czas powrócić do konkretów, one uspokajają może dlatego, że ograniczają widzenie. Dla mnie zawsze bardzo konkretni

byli sąsiedzi, czym byłoby życie w Polsce bez sąsiadów? Są kraje, które obywają się bez sąsiadów, ale nasz ciągle nie. Mój sąsiad dalszy jest prawnikiem. Poprawiło mu się, bo oprócz cwaniaków nagle dobrze zarabiać zaczęli prawnicy i dziennikarze. Wpadam do niego właśnie w chwili, gdy rozważa z żoną zakup pistoletu. Ona się trochę boi mieć, on się boi pistoletu nie mieć. Najgorszą opinię mają Śródmieście i Stare Miasto. Moja mama i mamy moich znajomych z reguły nie wychylają nosa, jak się ściemni. Ale i dorodna młodzież też woli nie wychodzić. Lęk jest dotykalny w ciemniejącym powietrzu. Dlatego sąsiad prawnik marzy o czymś bardziej solidnym niż pistolet. Dzisiaj ma ciężką noc. Jak wszędzie, tak i w naszej dzielnicy powstał samochodowy parking zwany społecznym. Oto pewnego dnia mieszkańcy szarpani niepokojem o swe stalowe rumaki, zbierają się, i po burzliwym spotkaniu, gdzie jak to u nas każdy ma nieco inne zdanie, zawiązują komitet. Ten komitet zupełnie bezprawnie zagarnia miejsce na publicznym parkingu, ogradza je drucianą siatką, a na bramie zwisa solidna kłódka, obok staje mała drewniana budka. Wszyscy uczestnicy akcji mają prawo trzymać w tej zagrodzie samochody, pod warunkiem, że co miesiąc każdy będzie miał nocny dyżur. Nieobecność powoduje utratę prawa lokowania pojazdu w tym chronionym ogrojcu, a groźba jest realna, bo na plecach czuć oddech kilkunastu chętnych z listy zapasowej. Na mojego sąsiada prawnika wypadło dokładnie w noc Sylwestrową, ale ani mu w głowie z tego się wykręcić.

Inny mój sąsiad, sąsiad bliski, trzyma wóz pod oknem.

Od lat nie posiada prawa jazdy, ale bardzo sobie to chwali. Teraz przynajmniej żadnego hamletyzowania po alkoholu, jechać nie jechać, przecież nikt mu nie może zabrać, czego już nie posiada. On, uparty sceptyk, od dwóch lat jest w wielkim dla mnie podziwie. Bo ja zawsze mówiłem, udając, że jestem pewien swego, że komunizm się rozsypie a imperium rozpadnie.

On kpił ze mnie i śmiał się przytrzymując brzuch, kiedyś nawet dostał z tego powodu dolegliwej czkawki. Dzisiaj uważa mnie za proroka. Pyta, co będzie? Doprawdy nie wiem. On sam ma dewizę — „nie przejmujcie się, będzie gorzej". Jakiś smuteczek w jego nadobnym obliczu. Przecież całe życie kręciło się wokół miłych spotkań, wypadów do Spatifu, na wódeczkę, na obiadek. Teraz skarży się, że taksówka kosztuje całe dwie flaszki za kurs. Od biedy ma na to pieniądze, ale uważa, że to niemoralne płacić dwie flaszki za jeden kurs.

A propos taksówek — bałagan, który panuje na froncie taksówek, zdaje się być typowy dla naszej wojny o kapitalizm. Taksówki są wszędzie obecne, kuszą przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Ale tylko przybysz z rejonów naiwności wsiada

do takiej taksówki z poczciwym „dzień dobry". Fachowiec otwiera drzwi i pochylając się, ale niezbyt nisko, pyta głosem stanowczym i twardym — jaka taryfa? Wsiada, jeżeli usłyszy to, czego oczekiwał. Taryf jest bowiem kilka, jest 300, 400, 600, a Okęcie i Centralny Dworzec oferują 1000 razy wskazanie taksometru. A na dodatek taksówkarze toczą ze sobą jakieś niepojęte wojny, o mafii taksówkowej nasze gazety piszą z szacunkiem jak o mafii włoskiej.

Ale wracajmy do skarg sąsiada. Ceny w restauracji, jak twierdzi, też są wysoce niemoralne. I znajomi już nie wpadają niespodziewanie, by jak kiedyś wspólnie i przytulnie przy kieliszku zagospodarować wieczór. Rozmowy teraz nie przechadzają się pod rękę, a biegną zasapane i spocone. Owszem są nowe okoliczności korzystne. Babcia od wódki, która w pobliskim domu o każdej godzinie dnia i nocy wyjmowała butelki z otchłani swojego szlafroka, żegnając się przy tym znakiem krzyża i wyrzekając na szkodliwość alkoholowego nałogu, już dzisiaj zupełnie niepotrzebna, bo w zasięgu przechadzki jest zawsze otwarty sklep, który oferuje alkohol. Na piwo nie trzeba polować jak niegdyś, jest właściwie kłopot odwrotny — jaki gatunek wybrać, a to czasami aż boli. Tam gdzie był poczciwy klub osiedlowy, jest dzisiaj pub. W tym klubie, pamiętam, nasz osiedlowy szewc miał wieczór poetycki. Dzisiaj zielenią się tam nawet stoły bilardowe. A szewc zniknął, nie wiem czy pisze wiersze, ale z pewnością nie szyje już butów. W pubie odbywają się wielkie nocne pijaństwa. Bardzo młodzi ludzie wynurzają się stamtąd o czwartej rano, wyją jak kojoty, nie wiadomo ze szczęścia czy rozpaczy, wsiadają do swoich rozklekotanych samochodów i ruszają z rykiem pijanych silników.

Niby już wiem, że czas zmienił u nas barwę, zapach i wagę, ale zaskakuje mnie to nadal, a czasami boli.

M. sypiał zawsze do południa. Wprawiał niegdyś w osłupienie ubeków, gdy — z mojej zresztą winy — naszli ten dom, którego bym nie nazwał spokojnym, bo jak na palach stał na blachach i farbach drukarskich. Powitał funkcjonariuszy śpiąc i tak ich żegnał, a oni sami usnęli i nie spostrzegli, że weszli do beczki prochu. Warczeli mi potem na przesłuchaniach — „są tacy co śpią do południa, zrobimy z tym porządek". A figę, porządek zrobiło Nowe, przed którym tak się bronili.

Teraz M. zaprasza mnie do siebie, ale bez dawnego entuzjazmu, a zasiadając u niego mam uczucie, że wypijam mu coś bardzo ważnego — czas. W takich warunkach nie ma szansy narodzić się błoga atmosfera wzajemnego zrozumienia i wymiany myśli, które płyną ku sobie leniwie w słodkim syropie. Teraz jak wyniknie myśl, to musi się śpieszyć. I ze zdumieniem widzę,

że sprawił sobie notes. Zagląda do niego co jakiś czas. Za chwilę dowiaduję się, że wstaje rano... to znaczy, że nasz świat stanął... no właśnie... na czym, warto by wiedzieć.

Z badań opinii publicznej, których nigdy nie należy przeceniać, wynika, że zaskakująco duży procent Polaków zaczął nagle uważać, że główną przyczyną obecnych problemów są nasze własne niedoskonałe głowy. Więc już nie komunizm, nie tajemne siły w kraju i poza nim, ale my sami nie umiemy. Tak sądzi 39% badanych. Bardzo to cenne odkrycie, bo tylko taka świadomość każe szukać ratunku tam, gdzie go znaleźć można, a więc u siebie. Ale czai się tu niebezpieczeństwo zupełnej utraty wiary w swoje siły i powszechnej depresji psychicznej, której objawy już są widoczne. Dlatego nie można zapominać, że spustoszenia w naszych głowach są wynikiem niszczącego działania dwóch stuleci, a ostatnie lat pięćdziesiąt był to cios nokautujący. Niestety sama świadomość nie jest lekarstwem. Niedawno pewien rodak huknął mi w ucho — „wszystko przez te nasze kwadratowe głowy", a potem począł gadać bzdury do kwadratu pewien absolutnie, że głosi wielkie mądrości.

Ja sam, który próbuję być łowcą naszych bzdur, z pewnością również je produkuję. Cała nasza sytuacja jest bzdurna, nurzamy się w błotach niekompetencji, ktoś czasami podskoczy, ale, jako że umiejętność lewitacji należy do rzadkości, zaraz znowu jest z nami.

Lecz... gdy rozmawiam z Gruzinami, Bałtami, Rumunami czy Chorwatami, szybko wynurzam się w Polsce, szczęśliwy że nie tam jestem, a tutaj. Wszystkie nasze kłopoty maleją, a kłótnie to prawie pieszczotliwe iskanie się. Kiedy byłem dzieckiem i nie chciałem jeść, mówiono mi, że chińskie dzieci są głodne, co odbierało mi apetyt na amen. Dzisiaj już taki duży, sam sobie gadam, że inni się męczą i nagle wsuwam nasz bigos ze smakiem.

Rządzenie wciąga jak pozornie nieszkodliwy narkotyk, który chociaż grozi uzależnieniem, ale podobno nie wyniszcza organizmu. Jestem u D., pobladł, sczerniał, ale nie wyszlachetniał. Zastanawia się, czy nie za duża cena. Nie ma chwili czasu dla siebie, jałowość spotkań, z których wszystkie mają w sobie plastik i papier. Dzwoni jeden z kilku jego telefonów, grymas bólu na twarzy. Słyszę, że opędza się od rozmówcy jak od głodnej muchy. Wraca do mnie z ulgą, a wtedy nagle podskakuje drugi telefon. Chwyta słuchawkę i rzuca ją gwałtownie, zadowolony, że jęknęła. Potem jak w trillerze, gdy już wydawało się, że jest po wszystkim, trzeci aparat skacze mu z krzykiem do gardła. Z krwią w oczach wybiega z gabinetu i rzuca się do

gardła swojej sekretarce. Takie oto bywają uroki władzy widziane od środka.

Jeszcze jedno dostojne spotkanie. Przybyłem pełen pasji z pewną ideą, już wcześniej ją zapowiedziałem, przyjęty więc zostałem z entuzjazmem. Łaskawe nastawienie uszu, tak strzygą uszami tylko ludzie przyzwyczajeni do wydawania poleceń, oni nie słuchają, ale wysłuchują, bądź zbierają materiał. Ledwie począłem mówić, a on mnie wysłuchiwać, gdy nagle patrzę... zasnął. Zasnął oczywiście dostojnie. Co robić, bieda. Obudzić bardzo niegrzecznie, nie budzić i wyjść to zgotować gospodarzowi potem niegrzeczne przebudzenie. W ogóle budzić grzecznie może co najwyżej kochanek kochankę, lub odwrotnie, w innych sytuacjach zjawisko grzecznego budzenia nie zachodzi, a w urzędzie to już zupełnie niemożliwe. Więc mówię dalej, ale głos mi więdnie, aż nagle w zupełnej desperacji jedno słowo mówię mocno. Ocknął się, patrzy na mnie, widzi, nie widzi, widzi, znów mruży oczy. Żegnam się pośpiesznie, czy zdążę, zdążyłem.

Szedłem okrutnym korytarzem, takie korytarze są tylko w starych urzędach, ale szedłem z trudem, bo entuzjazm z okolic głowy spłynął w całości do stóp.

To, że kiedyś władza brudziła wydawało się normalne, ale że dzisiaj też brudzi jest jednak zaskoczeniem. Jest jakaś trudność nie do pokonania, sprzeczność nie do przezwyciężenia między koniecznościami, które nakazuje dzisiaj u nas władza, a tym czego ludzie oczekują. Ale jeszcze póki co nikomu nie wyrósł świński ryj, a ile tych ryjów wyrosło w dawnych latach! Nie wyrósł? Nagle moja wyobraźnia zawahała się. Za to opluskwianie jest obecnie w Polsce czynnością nagminną, wcześniej komuniści czynili różne paskudztwa, ale pluskiew było jakby mniej, co się zdarza w przyzwoitych więzieniach. Szczególną ofiarą opluskwiania stali się obecnie liberałowie. Za wysoko byli, żeby im teraz darować, gdy przegrali. Bo „kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują..." A więc koledzy i nie koledzy opowiadają teraz, jak wielkie pieniądze zrobili liberałowie w czasie rządzenia. Pytam tych co tak mówią, czy mają jakieś dowody, czy przynajmniej widzieli. Nikt niczego nie widział, ale to przecież oczywiste. Drapię się w głowę i myślę — a nuż rzeczywiście. A tu nagle czytam w gazecie, że zdesperowana żona byłego Premiera ogłasza, że jeżeli ktokolwiek odkryje, sam lub przy pomocy detektywów, domniemane posiadłości czy przedmioty, które eks-premierostwo mieli zagrabić, „ten otrzyma je od nas w całości i nieodpłatnie poprzez stosowny akt notarialny". A konkurs będzie trwał przez całe dwa miesiące.

Ale się porobiło, myślę, ale się porobiło.

Osobnym niezwykłym zjawiskiem jest demonizacja. Wzajemna. Bracia Kaczyńscy, Niesiołowski, Maciarewicz, Michnik, Geremek, i Kropiwnicki. Jedna strona niezwykle demonizuje drugą. A jest to szczególna dziedzina, bo przy umiejętnej demonizacji zdemonizować można nawet anioła, i ten choćby nie wiem jak machał skrzydłami, nagle ujrzy oczyma innych, że wyrósł mu ogon. A więc chcąc nie chcąc przez takie działania tworzy się demony, nawet tam gdzie ich nie było. Zdemonizowani odgryzają się jak potrafią, głównie demonizując swoich adwersarzy. I tak nasza scena polityczna zamienia się w scenę teatru, gdzie w sumie porządni ludzie o rumianych, ładnych biografiach grają piekielną komedię. Jacek Kuroń, jeden z nielicznych, który ocalił głowę w politycznych pogromach, mówi — „politycy kompromitują się jako grupa. Już trudno jest rozróżnić kto jest kto i komu o co chodzi. Patrząc z zewnątrz widać tyle, że się wygłupiamy".

A lud gaworzy — cytuję z ulicy małego miasta — „bogacą się, samochody rozbijają, afery robią, a ja nie mam za co dla dziecka mleka kupić".

Na tle nagle rozpromienionych sklepów, w których szybach całkiem często błyśnie okiem nowy Mercedes, widać przy kasie zgarbioną babcię, która z chusteczki wysupłuje pieniążki — oj chyba znowu nie starczy.

Nasze partie polityczne nadymają się co chwila jak kot, który zobaczy psa, wyglądają wtedy imponująco, ale byle trzaśnięcie drzwi ujawnia ich mikrość. Widać głównie macki, którymi macają się nawzajem, czy można razem czy nie? Te partie wypełzły po ruchach tektonicznych, jedni twierdzą upadku komunizmu, inni wewnętrznej wojny na górze. I rzeczywiście po nagłym pęknięciu „Solidarności" gdzieś między Wałęsą a Mazowieckim, po obu stronach oddalających się stron ujrzeliśmy ludzi czy grupy, które tam zastał przypadek. I są już tam do dzisiaj, i nawet uwierzyli, że to ich miejsce.

Jeśli ktoś się bardzo napoci, to może wymaca linię podziału między tymi, którzy pachną klerykalnie narodowo i zapewne zrobiliby z Polski zaścianek, nawet wbrew swojej woli, a tymi co używają zachodnich kosmetyków i chcą Polski na wzór zachodnich demokracji, otwartej i liberalnej. Ta Polska będzie wedle ich przeciwników śmietnikiem tego, co z zachodniej cywilizacji najgorsze. I najgorsze, że obie strony w swych oskarżeniach zdają się mieć rację.

Tyle mówiono, że nowy Sejm będzie zapewne gorszy od tego starego, który łaził z nalepką na plecach „kontraktowy", że wydawało się, że przyszłość jak zwykle zrobi psikusa i będzie jednak inaczej. Niestety tu jak się zdaje przepowiednia ma ochotę

się wypełnić. Uderza zdolność nadymania się naszych parlamentarzystów, ale to cecha jak widać dziedziczna. Ten parlament jest jednak godny szacunku, bo rzeczywiście zdaje się być z kości narodu. Ma wszystkie kolorowe wady naszego społeczeństwa, jak również zalety, na razie jak się zdaje ukryte.

Rząd Olszewskiego miał być rządem przełomu i nadziei. Okazało się, że na przełom jest już za późno, bo trzeba łatać dno, by statek nie zatonął. Jako że na nadzieję nigdy nie jest za późno, nadzieja jest nadal możliwa. W dziedzinie gospodarczej więc przełomu być nie może, natomiast jest nadzieja, że będą próbować gdzie indziej. Patrzę życzliwie i tylko jestem ciekaw czym, co i w co przełamać. Dekomunizacja więdnie na naszych oczach, za to kwitnie hasło „koniec pogody dla aferzystów". Zobaczymy, jaki wpływ na tę meteorologię będzie miał nowy rząd. Przecież dziura w budżecie narodowym niczego nie chce oszczędzić i dotyka nawet miejsc wstydliwych. Oto nagle nędzarzem stała się Prokuratura. „Nie ma pieniędzy na telefony i sekcje zwłok". I pomyśleć, że ten bidak próbuje teraz ścigać afery, z których każda z osobna zapełniłaby kasę resortu do pełna. „Aferzystów stać dzisiaj na lepszych ekspertów niż Prokuraturę" — donosi prasa i dodaje, że już pierwsze telefony zostały odcięte w Toruniu, a pierwsze zwłoki nie pokrajane.

Były premier Bielecki przyznaje się teraz, że koszmarem jego rządów była bezradność. To, jak się zdaje, zostało też odziedziczone.

Nastał czas pogłębionej refleksji nad Prezydentem, ale z tego pogłębienia nie wynika, czy Wałęsa jest już przyszpilony i suszy się w encyklopedii, czy jest jedyny i niebędny. Jest raczej jak jego zdanie, które mości sobie miejsce w słowniku osobliwości naszych czasów — „Jestem za, a nawet przeciw".

Koncepcja chłopięca — „Wałęsa wpadł w złe towarzystwo". To lansuje wczorajszy wielki stronnik Prezydenta, a teraz wróg, Jarosław Kaczyński. Na pytanie — Czy Pan uważa, że to minister Wachowski rządzi? (dawny kierowca), Jarosław Kaczyński — Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogłem tego rozgryźć nawet wtedy, gdy kierowałem Kancelarią, nie ma jednak wątpliwości, że jego wpływy są ogromne i nie ma wątpliwości, że jest człowiekiem, który zupełnie nie nadaje się do pełnienia roli jaką pełni. Jego odejście, a tym samym zmiana otoczenia Prezydenta, ułatwiłoby znalezienie optymalnych rozwiązań konstytucyjnych.

Koncepcję — zagubił się w zadufaniu — lansuje Aleksander Hall: — „(Prezydent) ma wiele autentycznych i wielkich talentów politycznych, natomiast, co się daje bardzo wyraźnie odczuć — zatracił pewne poczucie skromności (...) zatracił umiejętność słuchania".

Koncepcję — trwałe uszkodzenie — lansuje Adam Michnik: — „Prezydent ze względu na osobowość nie rokuje już nadziei".

Koncepcję — nic się złego nie dzieje, szuka tylko swojego miejsca — lansują Józef Ślisz, przew. Solidarności wiejskiej, i prof. Chrzanowski, prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego:

„Jest to raczej próba umiejscowienia urzędu Prezydenta w demokracji parlamentarnej".

„Istnieje wciąż otwarty problem określenia miejsca Prezydenta w polskim systemie ustrojowym".

A co sam Prezydent mówi o sobie? Są to fontanny słów, które spadają rozpryskując się na boki. Można potem ze śladów odczytywać, co kto chce, jak z wnętrzności wypatroszonego ptaka. Ale zdarzają się konkrety: „Teraz ja się wiję jak piskorz; naciskam, gniotę, dzwonię, do prokuratorów, do policji — Ludzie naród płacze! Pozwólcie mi albo sami róbcie!"

Albo: „Codziennie przez 24 godziny na dobę mam higienę moralną i duchową. Mam księdza bez przerwy. I to nie dlatego, że jak mówią jestem dewotkiem. Nie. Tylko że tak ciężko jest, że bez higieny moralnej i duchowej padłbym, poszedłbym na skróty. Potrzebuję siły nadludzkiej i ją mam".

Większość zachodnich polityków można cytować, czasami są to rzeczy ciekawe, często banały i nudziarstwa, ale rzadko się zdarza, by cytując kogoś, miało się poczucie, że robi się politykowi celowo lub niechcący krzywdę. Wałęsa niestety należy do takich przypadków.

Ten fragment higieniczny przypomniał mi nagle skargę znajomych mi posłów w sprawie basenu, sejmowego basenu, bo taki istnieje. Okazuje się, że obok posłów gardłujących, śpiących, pijanych lub zawsze nieobecnych są posłowie pływający. I otóż ci posłowie pływający skarżą się, że basen im często zabiera Prezydent. Bo Prezydent lubi pływać. Basen jest wtedy zamykany, bo wielki pływak nie lubi tłoku. Woda jest uprzednio wymieniana, właśnie aby było higienicznie.

To wszystko brzmi okropnie, jak okropna jest sytuacja człowieka, który zrobił baśniową karierę w krainie bynajmniej nie baśniowej. Nie tylko ja mam poczucie zagubienia w ostatecznej ocenie osoby Prezydenta, może w ogóle w ocenie ludzi należy unikać ocen ostatecznych, nawet gdy ich pozycja i sytuacja jest ostateczna. Gdybym musiał się deklarować, to powiedziałbym, że przeważają plusy ujemne i dodatnie minusy (to też ze słownika Prezydenta). Łatwo mi uwierzyć, że on chce Polski demokratycznej, ale podobnie jak wszyscy nie bardzo wie jak. Nieste-

ty aż nadto dobrze widoczny jest lęk, że w tych dramatycznych zmartwieniach o demokratyczną i wolną Polskę ktoś go przerośnie.

Co to za zwierzę ta pycha, która mieszka w duszy filozofa i robotnika, a jak się ją podleje wodą władzy, rośnie jednako szybko na glebie robotniczej czy filozoficznej.

Listy protestacyjne mają piękną tradycję w Polsce Ludowej. Tak naprawdę zaczęło się wszystko w roku 1964 listem 34. Był to pisk intelektualnej myszy, który w cenzuralnej ciszy zabrzmiał jak ryk rannego lwa.

Dzisiaj, jak to w świecie wolności bywa, można strzelać z armaty prawdy i nikt się nie obudzi. „Kultura narodowa jest w niebezpieczeństwie. (...) Zagrożona jest ta najdelikatniejsza tkanka, która w ciągu tysiąclecia istnienia naszego państwa pozwoliła zachować nam tożsamość narodową" — krzyczą sygnatariusze. Podpisują już nie osoby, a wszystkie możliwe związki twórcze od Stowarzyszenia Akordeonistów Polskich poprzez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Związek Chórów i Orkiestr. Podpisuje się więc zgodnym chórem wszystko, co jest kulturalne albo za takie się uważa. I nic nie drży. Jest w tym proteście ukryty okrzyk, który uczonemu nie przejdzie przez gardło, a człowiek prosty wykrzyczał mi. Był to krawiec, którego spotkałem na swojej rodzinnej ulicy. „Czerwoni nas panie nie wykończyli, ale nasi nas wykończą, jeszcze wczoraj wierzyłem, że nie, teraz panie wiem, wykończą i nawet tego nie zauważą".

O tak, panuje w prostym narodzie powszechne przekonanie, że nie jest to zwykła fuszerka władzy, ale że kryje się w tym wszystkim jakaś tajemnica. I są rzeczy, których nasze społeczeństwo zrozumieć nie, że nie potrafi, ale nie chce jak ciężko chory, który w gruncie rzeczy pragnie, by nie mówiono mu prawdy. A przecież nasza prawda, chociaż ciężka, jest do udźwignięcia. Precyzyjnie bardzo trudno jest zważyć ten ciężar. Wiadomo, że ludzie starzy nie doczekają Polski jako kraju dostatniego i dobrze zorganizowanego. Ludzie w wieku średnim mają szansę oprzeć swoją starość o pierwsze znaki stabilizacji, a może nawet jako takiego dostatku. To przy dobrych wewnętrznych warunkach, bez trzęsień ziemi i tajfunów ze wschodu. Są surowsze wyroki niż ten.

Spotykam X. Ma atrakcyjne stanowisko na linii swych pasji, należy do tych, co wygrali. Zawsze narzekał, z wdziękiem, on zawsze z wdziękiem, właściwie znam takie dwie osoby na całym Bożym świecie, co narzekają z wdziękiem, z narzekania robią muzyczne etiudy. „Upadek autorytetów. Wszyscy się kłócą i wszyscy się nawzajem nie lubią". Patrzy na mnie, nie, my się lubimy. „Podobno w latach 20-tych było tak samo" — mówi niejako na deser. Bardzo ciepło się żegnamy.

Przekraczam granicę, rozkosznie jakby była z gęsiego puchu. Jaka szkoda, że wyjeżdżam, jak miło...

P.S. W styczniowej *Kulturze* wspominając stan wojenny zacytowałem... aż strach teraz powtórzyć, słowa które porównują żołnierzy stanu wojennego na skrzyżowaniach ulic grzejących ręce nad piecykami do „kurew rzymskich". Zapytałem wtedy w tekście — „kto te kurwy wymyślił?" Kiedy teraz jeszcze raz to piszę, jest jakoś wstyd, bo kto wie czy ci żołnierze na skrzyżowaniach naszych ulic nie byli wtedy największymi ofiarami stanu wojennego. Ale wtedy to porównanie wydawało mi się wielce trafne i miało w sobie rozkołysany płomień ironii, której tak nam brakowało. Napisałem i odezwały się „nożyce" w postaci Jana Kotta — to on powiedział w wywiadzie. I przypomina, że „już niedługo potem płk Przymanowski opowiedział to w Sejmie przy wrzaskach oburzonej gawiedzi poselskiej". Twierdzi, że przez lata prawdopodobnie z tego powodu nie dostawał wizy na wjazd do Polski. Więc tym bardziej nie wolno mu teraz tego odbierać. Z wielką przyjemnością i serdecznie oddaję zgubę.

SMECZ

Co robi pewien urząd?

Kiedy we wrześniu ubiegłego roku powstał w Warszawie Urząd Pełnomocnika Rządu do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą, u wielu ludzi interesujących się tym dziedzictwem wzbudziło to pewne nadzieje. Powstał on bowiem na miejsce już za rządów Tadeusza Mazowieckiego powołanego do życia ciała o podobnym charakterze (myślę o tak zwanej Komisji profesora Gieysztora), ciała, którego praca poza zapowiedź naruszenia ścisłego tabu — a więc podjęcia próby zainteresowania się dobrami polskiej kultury, zrabowanymi przez Sowietów — nigdy, jak się zdaje, nie wyszła. W każdym razie o czymś, co by na jakąś działalność tej komisji wskazywało, opinia publiczna nie dowiedziała się nigdy. Dlatego — powtarzam — powołanie na miejsce komisji ekspertów prawdziwego urzędu wzbudziło nadzieje. Tym bardziej, że na czele

tego urzędu stanął fachowiec znany nie tylko z publikacji naukowych, rozpatrujących zagadnienie okupacyjnego rabunku dzieł sztuki i innych zbiorów kultury narodowej w aspekcie prawa, ale również z publikacji w prasie emigracyjnej o charakterze informacyjnym, z których czytelnik mógł dowiedzieć się o losach wielu będących polską własnością dzieł sztuki, zagrabionych przez Związek Sowiecki i o ich obecnym miejscu przebywania. Mówię tutaj o kierowniku Urzędu Wojciechu Kowalskim, którego publikacje, i jedne, i drugie, czytałem, a którego poznałem osobiście właśnie w momencie obejmowania przez niego stanowiska. Inicjowałem wtedy cykl audycji w RWE na temat rosyjskich i sowieckich grabieży, do dzisiaj zresztą nadawany, w którym wiele autorytetów z dziedziny kultury i sztuki wypowiedziało się zupełnie jednoznacznie o przyszłych losach (w każdym razie losach oczekiwanych) naszego dziedzictwa narodowego.

Jeżeli napisałem przed chwilą o wzbudzonych powstaniem Urzędu Pełnomocnika nadziejach, to wiem co piszę. Byłem bowiem wtedy po rozmowach z wieloma pracownikami naukowymi, muzealnikami, historykami sztuki, archiwistami. Przez ponad czterdzieści lat Polski Ludowej wmawiano ludziom, że tylko Niemcy podczas wojny rabowali nasze muzea, galerie, kościoły, biblioteki i prywatne rezydencje, tak, że zarówno w kategoriach specjalistów, jak i szerzej: w warstwach społeczeństwa orientujących się w całokształcie i ogromie strat poniesionych przez nasz kraj oczekiwano, że nareszcie powiedziana zostanie również prawda o stratach spowodowanych przez drugiego okupanta, tego, o którego działaniach trzeba było przedtem milczeć, a więc przez Sowiety. Ponieważ społeczeństwo przez minionych ponad czterdzieści lat przyzwyczajono i do tego, że jeżeli tylko owe zrabowane przez Niemców dzieła sztuki, manuskrypty, książki i archiwa udało się znaleźć i zidentyfikować, to podlegały one zwrotowi, były do Polski repatriowane, wielu oczekiwało, iż teraz, kiedy kraj nasz pozbył się politycznej zależności od Moskwy, będzie można upomnieć się głośno także o niektóre, szczególnie dla naszej pamięci narodowej cenne dzieła (użyjmy tutaj określenia najbardziej ogólnego — „dobra"), a więc, że będzie można wreszcie upomnieć się również o dobra zrabowane nam przez Sowiety.

W czasie powstania Urzędu Pełnomocnika, a więc we wrześniu ubiegłego roku, spotkałem się z Wojciechem Kowalskim dwa razy. Powiem teraz otwarcie: pierwszy wysoki urzędnik w dziedzinie, która tak mnie interesuje, zawiódł mnie. I nie dlatego, że na pierwszym, prywatnym spotkaniu był sypiącym danymi na temat sowieckich rabunków otwartym publicystą, natomiast, gdy siadłem z nim po kilku dniach do rozmowy przed mikrofonem, stał się już przeostrożnym, topiącym w wielosłowiu całe zagadnienie urzędnikiem, który bardzo dba o to, by mówiąc dużo, powiedzieć mało. Wojciech Kowalski zawiódł mnie z innego powodu. Swym minimalistycznym programem powołanego do życia Urzędu. Okazało się, że Pełnomocnik Rządu do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego

za Granicą inauguruje działalność swego Urzędu poszukiwaniami uronionych przez Niemców w czasie ich ewakuacji z okupowanych terenów dóbr polskich w Czechosłowacji i na odwrót — dóbr kultury czechosłowackiej w Polsce. Że skarby kultury polskiej, które jako łup wojenny znalazły się w Sowietach, są dla Urzędu Pełnomocnika tyle samo interesujące, co powiedzmy polskie dzieła sztuki, które legalnie znalazły się w muzeach brytyjskich, kanadyjskich, francuskich czy jeszcze innych. Że Urząd będzie je rejestrował i otaczał opieką, to wszystko. Wojciech Kowalski przed mikrofonem stwierdził wprost i zupełnie jednoznacznie, że „nie widzi żadnych możliwości starań ze strony polskiej o rewindykację zrabowanych dzieł, przedmiotów, zbiorów bibliotecznych, archiwów i innych łupów rosyjskiej czy sowieckiej armii". Ale Wojciech Kowalski — jeżeli mam już wszystko powiedzieć do końca — zawiódł mnie jeszcze i dlatego, że zdradził się ze skłonnością, jak na prawnika z wykształcenia niebezpieczną, a mianowicie: wybiórczym stosunkiem do prawa, żeby wyrazić się jaśniej: z różnym traktowaniem tego samego prawa w różnych okolicznościach i w zależności od tego, do kogo się je stosuje, a żeby się wyrazić jeszcze jaśniej: dlatego mnie zawiódł, że nie odpowiedział na moje otwarte pytanie, dlaczego żądaliśmy i wciąż żądamy zwrotu zrabowanych dóbr naszej kultury od Niemców, a dlaczego darowujemy te dobra Sowietom. Miast odpowiedzi usłyszałem o planach Urzędu rejestrowania znajdujących się za granicami Polski dóbr kultury, także tych w Związku Sowieckim, o planach starania się o ich udostępnienie zwiedzającym i naukowcom. Sprawa pozostających w Związku Sowieckim dóbr kultury polskiej (bo Wojciech Kowalski przyznał ich tam istnienie) została w jego relacji na temat przyszłych prac Urzędu Pełnomocnika Rządu utopiona w ogólnym temacie polskiego dziedzictwa kulturalnego za granicą, a więc i na Zachodzie. Wojciech Kowalski dużo mówił (w ograniczonym czasie nagrywanego z nim wywiadu) o projektach opieki urzędowej Polski nad muzeami polskimi, bibliotekami, galeriami i innymi ośrodkami polskiej kultury na Zachodzie i w Ameryce i nawet o możliwości świadczenia im ze strony kraju pomocy. Wtedy nie podjąłem tego wątku. Dziś też nie wydaje mi się potrzebne go podejmować. Wojciech Kowalski bowiem wie, tak jak większość Polaków z emigracji, czy też Polaków jeżdżących po świecie, że dobra polskiej kultury znajdujące się na terenie zachodniego świata, znajdują się zazwyczaj pod niezłą opieką Polonii, a obecna urzędowa Polska w niczym nie może im pomóc, bo dzisiejszą urzędową Polskę, niestety, ledwo stać na bilety drugiej klasy pociągiem dla jej udających się na placówki dyplomatyczne nowych ambasadorów. Tak więc ówczesną odpowiedź Wojciecha Kowalskiego (a mam ją na taśmie, oczywiście) potraktowałem jako zwykły unik urzędnika, który nie chce się „wychylić".

Wszystko to przypominam nie po to, aby Wojciechowi Kowalskiemu dokuczyć, dalej bowiem uważam go prywatnie za przemiłego

człowieka, ale aby zapytać go, ba — powiedzmy szczerze — wymusić odpowiedź właściwych urzędowych czynników w Warszawie, do jakich celów powołany został Urząd Pełnomocnika do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą. Przecież rejestracją strat polskich poniesionych w dziedzinie substancji kulturalnej w różnych czasach zajmowało się wiele placówek, począwszy od instytutów naukowych PAN-u, a skończywszy na uniwersytetach i muzeach; zajmowali się tym również prywatnie, a nawet nieco konspiracyjnie różni naukowcy, żeby tylko wymienić niedawno zmarłego profesora Kumanieckiego, czy Romana Aftanazego z Wrocławia. Były placówki czy ludzie, którzy to robili w czasach najbardziej represyjnych. W dzisiejszej Polsce powołanie nowego urzędu musi łączyć się z bardzo wyraźnie sprecyzowanym celem i z widokami na płynące z realizacji tego celu pożytki, inaczej szkoda nań pieniędzy podatnika. Jak mi się wydaje — a chciałbym się mylić — Urząd Pełnomocnika takiego sprecyzowanego celu nie ma, poza celem dublowania innych placówek. Utwierdza mnie w tym przekonaniu notatka, która ukazała się niedawno w warszawskim dzienniku *Nowy Świat*.

Pod tytułem „Rosjanie oddają Niemcom polskie książki" przynosi ona cztery akapity tekstu, a każdy z nich wydaje się równie zastanawiający, co bolesny dla polskiego czytelnika. Otóż — streszczam — tysiące polskich książek wywiezionych przez Niemców podczas okupacji do Niemiec, potem z kolei jako łup wojenny zabranych przez Armię Czerwoną do Rosji, dziś Rosjanie zwracają Niemcom właśnie. Pełnomocnik Rządu, Wojciech Kowalski, stwierdza — na pytanie dziennikarzy — że w jakichś przyszłych regulacjach prawnych w ramach Wspólnoty Europejskiej (Polska do niej nie należy, więc nie wiem jakich) nie ma mowy o jakichkolwiek próbach odzyskania tych dóbr. A także mówi, że stawia on na pierwszym miejscu zasadę niezadrażniania stosunków Polski z sąsiadami. Na zwrot książek nie ma więc szans.

Jeżeli moje streszczenie wypowiedzi Pełnomocnika nie jest zbyt jasne, to proszę wierzyć: jest ono mało jasne już w cytowanej notatce. I choć starałem się z niej wycisnąć wszystko, co jakoś logicznie brzmi, logiki tam niewiele. Pomijam już sprawę właściwie z logiką się mijającą, że polskie książki, jeżeli były polską własnością, mają wędrować obecnie do Niemiec i że strona polska nie potrafi się o nie upomnieć, czy też że upomnieć się o nie nie chce (bo wtedy może trzeba by zapytać brutalnie, za co biorą pieniądze podatnika panowie z Urzędu Pełnomocnika), pomijam także inną sprawę, również kłócącą się z logiką, mianowicie: dlaczego upominanie się o zagarnięte kiedyś w innej sytuacji historycznej dobra miałoby zadrażniać stosunki z polskimi sąsiadami. Jak mi się wydaje, właśnie odsłonięcie całokształtu spraw bolesnych i próba zadośćuczynienia krzywdom służą stosunkom dobrosąsiedzkim, lecz Wojciech Kowalski jest najwidoczniej innego zdania.

Jest jednak sprawa, którą chciałbym tu poruszyć koniecznie. Otóż

zwrot książek, o których donosi prasowa notatka, nie jest pierwszym zwrotem dóbr zagrabionych, dokonywanym ostatnio czy też projektowanym przez Rosję. Już w trakcie zachodzących przed laty pierestrojkowych zmian rosyjskim muzealnikom otworzyły się usta i światowa opinia publiczna dowiedziała się, że wiele dzieł sztuki, zrabowanych przez hitlerowców w okupowanych przez nich krajach, znajduje się dziś w tajnych magazynach muzeów sowieckich. Sam przed laty pisałem między innymi o zbiorach królów belgijskich, czy zbiorach muzeów holenderskich, a także zbiorach sławnego düsseldorfskiego Muzeum Sztuki Współczesnej. Zbiory rewelacyjnej wartości, zagarnięte przez Armię Czerwoną gdzieś koło Drezna, nagle „ujawniły się" w piwnicach moskiewskiego Muzeum Puszkina. Pisałem też i o tym, jak Niemcy, Belgowie i Holendrzy zaczęli zabiegać o ich zwrot.

Dziś do Niemiec wracają z byłego Związku Sowieckiego nie tylko polskie książki czy dzieła innych obrabowanych przez hitlerowców narodów, wracają także dzieła będące własnością samych Niemców, jako łup wojenny wygarnięte z ich galerii, ich muzeów, i — jak zapewne wiedzą o tym w warszawskim Urzędzie Pełnomocnika Rządu — w sprawie dalszego zwrotu wielu dzieł toczą się między Niemcami a Rosjanami żywe pertraktacje. W każdym razie informuje o nich prasa niemiecka, nie pozostawiająca czytelnika w niepewności co do dalszych losów tych łupów i czytelnik niemiecki oczekuje, że przynajmniej część skarbów wróci do właściciela.

Jest wiele dóbr kultury polskiej, nie tylko dzieł sztuki *sensu stricto*, ale i książek, rękopisów, dokumentów, które znajdują się na terytorium dzisiejszej Litwy, Białorusi, czy Ukrainy i są jednocześnie dobrem, ściślej: dorobkiem kulturalnym również i tych narodów (jako kiedyś narodów wspólnoty Rzeczypospolitej), co do których z naszymi sąsiadami możemy się układać, zapewniać sobie do nich dostęp, wzajemnie pomagać sobie w ich zabezpieczeniu, konserwacji i opiece naukowej nad nimi. Są jednak łupy wojenne bezsporne, jak chociażby sławne średniowieczne wielkopolskie tablice z brązu, które nagle znalazły się w Moskwie przy okazji ostatniego tam pobytu generała Jaruzelskiego i zostały, może dla uczczenia tej wizyty, nam oddane. Wydaje mi się, że jeżeli Urząd Pełnomocnika nie zechce się zajmować właśnie takimi sprawami (a są one po dziesiątkach lat milczenia o nich naładowane wieloma emocjami), to nie tylko nie spełni pokładanych w nim nadziei. Może być posądzony o kunktatorstwo, lub nawet tchórzostwo. Bowiem chęć niezadrażniania stosunków z sąsiadami, którą Wojciech Kowalski deklaruje, każdy przeciętny Polak, niestety, wciąż rozumie jeszcze jako strach przed Rosją. Przez tych ponad czterdzieści lat zależności od Rosji polskiemu stanowi urzędniczemu tak dogłębnie wpojono strach przed Wschodem, że mimo już dwuletniego istnienia trzeciej Rzeczypospolitej, z tego strachu nie zdołał się on otrząsnać.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Sprawy i troski

Handel grobami

W okresach szczególnych napięć w polityce wewnętrznej Polski Ludowej przypominano sobie zwykle o zagrożeniu niemieckim. W roku 1985 znów uznano, że istnieje pilna potrzeba walki z niemieckim rewizjonizmem i powołano do życia Stowarzyszenie „Wisła-Odra" z posłem Edmundem Męclewskim na czele (Edmund Osmańczyk ogłosił wówczas w *Tygodniku Powszechnym*, że nie ma i nie chce mieć z tym Stowarzyszeniem nic wspólnego).

Stowarzyszenie „Wisła-Odra" odbywało nieustanne zjazdy i narady, podczas których potępiało rewanżystów z Bonn.

2 października 1985 z okazji III Zjazdu Krajowego wydano Oświadczenie: „Deklarujemy udział w akcie wyborczym w dniu 13 października 1985. Apelujemy do członków i sympatyków Stowarzyszenia o masowe przybycie do urn wyborczych, o głosowanie na kandydatów PRON".

Grudzień 1985: czwarta Narada Krajowa Stowarzyszenia „Wisła-Odra" przynosi referaty, między innymi na temat: „Niemiecki rewizjonizm antypolski".

Październik 1986: na kolejnej Naradzie Krajowej potępiono przejawy niemieckiego rewizjonizmu i „prowokacyjną tezę o istnieniu rzekomej milionowej mniejszości niemieckiej w Polsce".

Zaufanie władz Polski Ludowej rośnie. Delegacja Stowarzyszenia „Wisła-Odra" wysłana zostaje do... Wilna, gdzie omawia „problemy dalszego umocnienia przyjaźni polsko-wileńskiej", (widocznie komuś pomyliła się geografia).

W połowie 1986 roku odbywało się spotkanie Stowarzyszenia z Wojciechem Jaruzelskim. „Stwierdzono, że treści spotkania będą inspiracją dla dalszej aktywności w dziele historycznej, politycznej i państwowej edukacji społeczeństwa".

Minęło kilka lat.

2 lipca 1991 zarejestrowana zostaje w Warszawie Fundacja

Ochrony Polsko-Niemieckiego Dziedzictwa Kulturowego im. Wita Stwosza. Głównym fundatorem jest Zarząd Stowarzyszenia „Wisła-Odra". Cele statutowe: propagowanie tradycji polsko-niemieckich, prowadzenie badań nad wspólną historią, pojednanie i współdziałanie oraz kształtowanie europejskiej cywilizacji. Do Zarządu i do Rady Fundacji wchodzą aktywni działacze byłego Stowarzyszenia „Wisła-Odra". Prezesem Zarządu zostaje Wiesław Klimczak, były zastępca przewodniczącego Stowarzyszenia „Wisła-Odra". Do nowych władz weszli również między innymi: Antoni Dragan (dawniej funkcjonariusz ZSP i współpracownik Stowarzyszenia „Wisła-Odra") oraz Wiesław Huszcza (dawniej funkcjonariusz ZSMP, sekretarz Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Wisła-Odra").

Natychmiast po rejestracji Fundacja powołuje Klub Polsko-Niemieckiego Sąsiedztwa. Do Prezydium Klubu wchodzą między innymi: Halina Auderska — była prezeska reżymowego ZLEPu w czasie stanu wojennego, laureatka Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski i innych odznaczeń PRL; Jan Grzelak — były z-ca kierownika Wydziału Prasy, Radia i TV w KC PZPR, były sekretarz komitetu krakowskiego PZPR, były wiceprezes Radiokomitetu, były szef agencji Interpress itd.; Marian Dobrosielski — były „zawodowy" reprezentant PRL na wszystkich międzynarodowych naradach i spotkaniach w sprawach bezpieczeństwa europejskiego. Wsławiony wypowiedzią cytowaną 16.12.1981 (a więc trzy dni po ogłoszeniu stanu wojennego) przez niemiecki dziennik *Frankfurter Rundschau*: *Es ist in Polen nichts Dramatisches passiert* („w Polsce nie wydarzyło się nic dramatycznego"); Jan Koprowski — pisarz Polski Ludowej, w stanie wojennym z-ca redaktorów naczelnych pism *Kultura* i *Tu i Teraz*, bezpośrednio po wojnie pracował w misji wojskowej PRL w Berlinie; Władysław Markiewicz — były doradca I sekretarza KC PZPR i były wiceprezes byłego Towarzystwa „Polonia", socjolog, przedstawiciel PRL w komisji podręcznikowej Polska-Niemcy, prezes PRLowskiego Towarzystwa Polska-RFN.

Od tej pory już nie sposób odróżnić, co robi, jakie zadania wykonuje i skąd bierze pieniądze Stowarzyszenie „Wisła-Odra", Fundacja im. Wita Stwosza i Klub Polsko-Niemieckiego Sąsiedztwa. Mylą się i mieszają zadania i funkcjonariusze. Na przykład Wiesław Klimczak, prezes zarządu Fundacji i zarazem wiceprzewodniczący Klubu Polsko-Niemieckiego Sąsiedztwa oraz wiceprzewodniczący zarządu głównego Stowarzyszenia „Wisła-Odra", wysyła pisma do zarządów wojewódzkich Stowarzyszenia „Wisła-Odra", informując ich o... połączeniu działań istniejących uprzednio struktur organizacyjnych Towarzystw Polska-NRD i Polska-RFN (patrz listy z 7 maja 1991, L.dz. F-14-91).

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że pod płaszczykiem Wita Stwosza zgrupowała się obecnie cała dawna nomenklatura, która w PRL zawodowo zajmowała się stosunkami polsko-niemieckimi.

W jakim celu nastąpiło to „przegrupowanie sił"?

Mam w ręku pewien dokument. Są to listy Fundacji im. Wita Stwosza do Centrali Związku Wypędzonych w Bonn, Godesberger Allee 72–74. Pisane na urzędowym papierze firmowym fundacji i podpisane przez prezesa zarządu p. Wiesława Klimczaka. Data: 24 września 1991 r. Prezes Klimczak proponuje wypędzonym usługi swojej fundacji. „Pośród wielu inicjatyw naszej fundacji pragniemy zainteresować (Panów) aktywnością, dotyczącą ochrony grobów i cmentarzy niemieckich w Polsce".

Z załączonej informacji wynika, że Fundacja imienia Wita Stwosza powołała w tym celu firmę „Kunszt" w Łodzi (zwróćmy uwagę, że nazwa firmy jest przystosowana do NIEMIECKIEJ klienteli) i gotowa jest natychmiast dopomagać w:

— poszukiwaniu i ustalaniu miejsc pochówku

— wyszukiwaniu materiałów archiwalnych

— dokonywaniu nagrobnego odlewnictwa w żeliwie, brązie, mosiądzu

— przygotowywaniu i kuciu figur, liter, krat z żelaza, krzyży itp.

— sadzeniu kwiatów, krzewów, drzew, traw

— dokonywaniu odpisów i wyciągów odpowiednich dokumentów

— wykonywaniu dokumentacji fotograficznej

— i w ogóle Fundacja im. Wita Stwosza gotowa jest poświęcić się całorocznej opiece nad niemieckimi grobami na zlecenie *Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen* (Fundacji Kulturalnej Związku Wypędzonych). Co więcej, Fundacja im. Wita Stwosza zgadza się, by prace te odbywały się pod „ścisłym dozorem konserwatorów ze strony polskiej i ze strony niemieckiej".

Można sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby za czasów aktywności Stowarzyszenia „Wisła-Odra" jakiś bezczelny przesiedleniec ośmielił się prosić o opiekę nad grobem swego przodka (i to całoroczną, razem z koszeniem trawy) i gdyby się domagał przeprowadzenia prac konserwatorskich pod dozorem konserwatorów niemieckich!

Co innego teraz. Teraz na trupach i grobach można zrobić interes dewizowy.

Nowonarodzone dziecko Stowarzyszenia „Wisła-Odra" czyli Fundacja Polsko-Niemieckiego Dziedzictwa Kulturowego, a także nowonarodzone wnuczę, czyli Klub Polsko-Niemieckiego Sąsiedztwa, mają w statucie bardzo konkretne cele zarobkowe.

A więc — *marketing*, wzajemne reprezentowanie interesów polskich i niemieckich firm i spółek, świadczenie usług reklamowych, wymiana handlowa, szeroki asortyment towarowy, doradztwo na rzecz „podmiotów gospodarczych wchodzących w kontakty polsko-niemieckie". Uderza na przykład, ilu prezesów spółek (na ogół związanych z handlem zagranicznym) weszło do Prezydium Klubu Polsko-Niemieckiego Sąsiedztwa. Jest dyrektor spółki „Tewira" w Sieradzu i prezes spółki „Globpol" w Warszawie. Jest prezes spółki „Akropol" w Łodzi, dyrektor „Prosper Bank" w Warszawie i prezes spółki „Karex" w Poznaniu, prezes spółki „Patamako" w Warszawie i dyrektor biura „Robotron" i prezes spółki „Halimex" i nawet dyrektor „Pagartu". Z Gdańska zgłosiły się spółki „Euro-art" i „Polbaltic". Wszystkich tych dyrektorów i prezesów ogarnęło nagle pragnienie, by poszukiwać z Niemcami wspólnego dziedzictwa europejskiego!

Zarówno Klub jak Fundacja mają rozległe plany: chcą wytypować obiekty architektoniczne do rewaloryzacji, rekonstrukcji i adaptacji. Otoczyć opieką domy pracy twórczej Hauptmanna i Herdera. Rozwinąć studia nad historią stosunków polsko-niemieckich. Organizować międzynarodowe konferencje naukowe. Sponsorować wydawnictwa, powołać na Uniwersytecie Warszawskim Studium Wiedzy o Niemczech, ustanowić nagrody i stypendia dla młodych twórców, otoczyć opieką groby i cmentarze poniemieckie, doskonalić kadry menadżerskie, jak najbliżej współpracować z mniejszością niemiecką w Polsce i jej organizacjami, zachować dla przyszłości ślady po wspólnym dziedzictwie — budynki, zabytki, kościoły i zaułki (!).

Jak to się stało, że Ministerstwo Kultury i Sztuki i Ministerstwo Finansów, wydając 15.10.1990 decyzję zatwierdzającą Fundację im. Wita Stwosza, nie zainteresowało się w ogóle, skąd weźmie ona pieniądze na te gigantyczne wydatki, skoro cały fundusz założycielski wynosi tylko 4.100.000 złotych, czyli niespełna 400 dolarów (patrz: Statut Fundacji)? Jak to się stało, że ani obu ministerstw, ani urzędów rejestrujących fundację nie zaniepokoił projekt niezwykle rozbudowanej i nie pasującej charakterem do statutowych zadań działalności gospodarczej fundacji, w rodzaju „wdrażania urządzeń do uzdatniania wody", „usług transportowych i budowlanych", „wykorzystywania odpadów", „prowadzenia rolnictwa, mleczarstwa, hodowli zwierząt i ryb", „prowadzenia obrotu wszelkimi urządzeniami, także w postaci komisu i składów konsygnacyjnych" czy „prowadzenia handlu zagranicznego w imporcie i eksporcie"??? Czy tu chodzi rzeczywiście o pokrywkę dla zagranicznej działalności gospodarczo-handlowej i to wszelkiej — dosłownie — maści?

Alina GRABOWSKA

Kongres Polaków w Niemczech

15 lutego w Dortmundzie w Republice Federalnej Niemiec przedstawiciele 14 organizacji polonijnych ogłosili, że powstał „Kongres Polaków w Niemczech". W RFN istnieje jednak ponad sto polskich związków i stowarzyszeń. Wynika z tego, że ogromna większość powstrzymała się od udziału w spotkaniu. W Dortmundzie całkowicie zabrakło też znanych polskich osobistości, mieszkających na terenie RFN. W żadnym przypadku „Kongres" ani wybrany tam zarząd nie ma prawa reprezentować Polaków w Niemczech.

Pragniemy panów poinformować, że nasz udział w owym „Kongresie" był niemożliwy z powodu uczestnictwa w nim funkcjonariuszy Związku Polaków „Zgoda".

Jesteśmy przedstawicielami organizacji niepodległościowych. Związek „Zgoda" natomiast od momentu powstania ściśle współpracował z władzą komunistyczną w Polsce, korzystał z udzielanych przez nią przywilejów w postaci ułatwień wizowych, celnych, dewizowych itp., a jego działacze przyjmowali PRLowskie medale i odznaczenia.

W sierpniu 1987 r. prezes „Zgody", pan Władysław Janik, przebywał w Warszawie z okazji „Polonijnego Lata" i składał generałowi Jaruzelskiemu życzenia dalszych sukcesów „w imieniu Polonii całego świata". Obecnie na spotkaniu w Dortmundzie prezes Janik wybrany został wiceprezesem „Kongresu Polonii Niemieckiej".

Jesteśmy za jednością Polaków i za utworzeniem Kongresu Polaków w Niemczech na wzór Kongresu Polonii Amerykańskiej. Jest jasne, że wielką rolę w jego organizowaniu może i powinien mieć Kościół. Polskie Misje Katolickie to najczęściej najważniejsze ośrodki polskie w większości miast niemieckich. Jesteśmy też przekonani, że ogromna większość członków Związku „Zgoda" nie zdawała sobie sprawy z charakteru swej organizacji i tego, czemu on służył. Uważamy jednak za niedopuszczalne, by ci sami funkcjonariusze skompromitowani współpracą z „PRL" w dalszym ciągu „reprezentowali" Polaków w Niemczech i wyrażamy zdziwienie, że władze III Rzeczypospolitej, „Wspólnota Polska" i Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii — być może skutkiem jakiejś dezinformacji — udzielają poparcia tego rodzaju inicjatywom, nie zbadawszy przyczyn, dla jakich ogromna większość polskich organizacji w RFN nie przyłączyła się do „Kongresu".

Bawaria, luty 1992

Powyższy list podpisały następujące polskie organizacje niepodległościowe:

Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej, Samodzielny Oddział w Niemczech, (Prezes: Tadeusz Chciuk-Celt);

Polska Partia Socjalistyczna w Niemczech, Komitet Główny, (Wiceprzewodniczący: Bogdan Żurek);

Klub Niezależnej Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego e.V. (Wiceprzewodniczący: Włodzimierz Odojewski);

Stowarzyszenie na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego e.V. (Prezes: Tadeusz Nowakowski, Wiceprezeska: Barbara Kwiatkowska-Lass, Sekretarz generalny: Alina Perth-Grabowska);

Kongres Wolnej Polski w Europie e.V., (Sekretarz Generalny: J. Arłamowski — także w imieniu Prezesa Kongresu, dr. Ludwika Frendla);

Liga Niepodległości Polski, Oddział Niemcy, (Przewodniczący: Marcin Idziński);

Stowarzyszenie Polsko-Niemieckie „Lech" e.V., (Prezes: J. Lewartowski).

Organizacje te postanawiają:

Oryginał dokumentu wraz z Załącznikiem (lista podpisów) będzie przechowywany w aktach Klubu im. J. Mieroszewskiego.

Adres do korespondencji:

Sekretarz generalny Stow. na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego, Tow. Zarejestrowane: Alina Perth-Grabowska, Monachium 40, Isoldenstr. 62, RFN, Tel i Fax: (089) 36 96 18.

Powyższy list został wysłany do następujących osób i organizacji:

Prezes „Wspólnoty Polskiej", Minister A. Stelmachowski, Warszawa;

Prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, Dr Zygmunt Szkopiak, Londyn;

Minister Spraw Zagranicznych RP, Prof. K. Skubiszewski, Warszawa;

Departament d/s Konsularnych i Wychodźstwa w MSZ, Dyr. J. Czaputowicz, Warszawa;

Międzyresortowa Komisja d/s Emigracji, Minister W. Włodarczyk, URM, Warszawa;

Ambasada RP w Rep. Fed. Niemiec, J.E. Ambasador J. Reiter, Kolonia;

J.E. Ks. Biskup Szczepan Wesoły, Duszpasterz Polaków na Emigracji, Rzym.

APEL POLSKIEGO PEN CLUBU

Rasistowskie hasła, dziki wandalizm i akty przemocy, jakie miały miejsce w Zgorzelcu, obrażają godność naszego społeczeństwa, uwłaczają imieniu Polski w świecie i szkodzą jej żywotnym interesom.

Demokratyczne państwo prawa nie może pobłażać rozwydrzonym siewcom nienawiści do osób innej narodowości czy innego wyznania.

Polski PEN Club apeluje do władz o stanowcze zapobieganie w przyszłości podobnym incydentom.

Wzywamy stowarzyszenia społeczne i związki zawodowe do poparcia naszego apelu.

Przekazujemy również ten apel PEN Clubu Niemieckiemu, z którym łączy nas wspólna działalność przeciw ksenofobii odradzającej się po obu stronach granicy.

Zgromadzenie Ogólne Polskiego PEN Clubu
24 lutego 1992 roku

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sąsiedzi

Kanadyjscy Ukraińcy a niepodległa Ukraina

Zbieg okoliczności, ale jakże znamienny, spowodował, iż roczny program zadokumentowania i upamiętnienia stulecia osadnictwa Ukraińców w Kanadzie zakończył się późnym wieczorem 30 listopada 1991 r., to jest na kilka godzin przed wyborem prezydenta Ukrainy. Ta ostatnia konferencja była, podobnie jak wszystkie wcześniejsze, poświęcona nie tylko przeszłości i teraźniejszości grupy ukraińskiej w tym kraju, ale i przyszłości. Nikt z uczestników przypuszczalnie nie oczekiwał tak gwałtownego procesu zmian w Ukrainie, natomiast od kilku lat rozważano projekty zmian życia organizacyjnego w tym kraju i innych.

Prezydent Krawczuk i inni przywódcy zgodnie podkreślają, iż diaspora ukraińska, przede wszystkim w USA i Kanadzie, ma do odegrania wielką rolę w obecnym okresie nawiązywania stosunków z Zachodem. Rzecznicy niepodległego państwa oczekują politycznej i gospodarczej pomocy diaspory, a przedstawiciele tej ostatniej nie skąpią wielorakich zapewnień. Co, kiedy i jak będzie zrealizowane?

Centralną organizacją o charakterze politycznym ukraińskiej diaspory jest Światowy Kongres, do którego należą kongresy narodowe ze wszystkich krajów. Generalny sekretariat — biuro organizacji — znajduje się w Toronto, jako że w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych są największe i najbardziej aktywne ośrodki emigracji ukraińskiej.

Proklamację niepodległości i wybór prezydenta społeczność ukraińska w Toronto — i nie tylko — powitała radośnie.

Po licznych towarzyskich rozmowach, poznaniu bardziej życzeń aniżeli ocen, należało skierować się do najbardziej oficjalnego źródła: Światowego Kongresu. Dr Wasyl Weryha, sekretarz generalny, historyk, autor kilku wnikliwych prac, powrócił właśnie z Kijowa, gdzie bawił jako członek delegacji Światowego Kongresu.

B. H.: — *Widzę, iż jest Pan bardzo zadowolony z pobytu w Kijowie,*

z licznych spotkań, rozmów z rodakami, ale to ogólniki. Pozwoli więc Pan, że sprecyzuję pewne pytania, poruszę niektóre zasadnicze zagadnienia. Czy istnieje potrzeba utrzymania działalności Kongresu w obliczu proklamacji, ustanowienia niezależnego i suwerennego państwa?

W. W. — Nasza centralna organizacja, Światowy Kongres, będzie zachowana, ale zostanie zreorganizowana, zmieniona od podstaw. Pierwszy paragraf naszego statutu głosi, iż głównym, naczelnym celem istnienia i działania jest walka o niepodległość Ukrainy, a więc wszelka działalność dla osiągnięcia tego celu. A ten cel został już osiągnięty, stąd też poniektórzy zbyt pochopnie mogą uważać, iż Kongres jest zbędny. Ale przecież obok tego naczelnego celu były i są inne. A jeszcze inne właśnie wyłoniły się obecnie w następstwie niepodległości.

Uważam, iż nowy statut, program Światowego Kongresu, który w niedalekiej przyszłości zostanie przedstawiony na specjalnym zjeździe, będzie dostosowany do nowej sytuacji międzynarodowej i diaspory ukraińskiej. Zmierzać będziemy do zmienienia naszej organizacji w Kongres Imigrantów, to jest wielkiego zrzeszenia Ukraińców, wszystkich pokoleń żyjących, osiadłych już poza granicami państwa. Naczelnym jej celem będzie działalność w kierunku powstrzymania procesów asymilacyjnych. Będzie ona zmierzać do zjednoczenia narodowych i lokalnych stowarzyszeń ukraińskich dla realizacji podstawowych celów zmierzających do utrzymania, zachowania ukraińskiej tożsamości w różnych krajach.

Trzeba więc położyć największy nacisk na szkolnictwo w najszerszym tego słowa znaczeniu. A więc utrzymanie sieci szkół, szkółek niedzielnych na różnych poziomach, wyposażenie ich w odpowiednie podręczniki i inne materiały. Rozszerzyć dotychczasową działalność na wyższych szczeblach oświatowych oraz wydawniczą, nie tylko w języku ukraińskim, lecz w językach państw osiedlenia. Zmierzać więc będziemy do utrzymania wszystkich placówek na wyższych uczelniach, w instytucjach badawczych.

B. H. — *O ile się nie mylę, to szkolnictwem zajmowały się tylko nieliczne stowarzyszenia, natomiast przytłaczająca większość organizacji zajmowała się innymi sprawami. Czy mają one rację bytu?*

W. W. — Żywot organizacji lokalnych to sprawa członków. Nie przesądzam decyzji licznych przywódców, niemniej jednak zakładam, iż znaczna liczba naszych stowarzyszeń zakończy swą działalność, jak np. Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki, inne przestawią się. Myślę, że niektóre organizacje po prostu znikną, bo liczba członków stopnieje z naturalnych powodów.

B. H. — *Stanowisko społeczności ukraińskiej w przeszłości i ostatnio w odniesieniu do niepodległości państwowej zdaje się chyba zapowiadać*

reemigrację, ale i emigrację do Ukrainy. Pisma ukraińskie piszą o wielkich potrzebach, podkreślają poważne możliwości czynnego udziału diaspory w umacnianiu, formowaniu suwerenności i niepodległości, wręcz niejako wskazują, iż trzeba się stąd przenieść. Czy istotnie wyłania się reemigracja?

W. W. — Ależ nie. Na nic podobnego się nie zanosi. Przecież struktura grupy ukraińskiej w tym kraju i USA, i to pod każdym względem, a więc miejsca pochodzenia, okresu przybycia i osiedlenia, dostateczne wyklucza masową reemigrację. Tylko znikomy odsetek naszej diaspory w kraju stanowi emigrantów *sensu stricto* i to mających — jeśli jeszcze żyją — dokąd powracać. Ale pozostając w dotychczasowych miejscach, zachowując i umacniając łączność z krajem pochodzenia, wiele mogą zdziałać na rzecz niepodległości Ukrainy. Kongres np., w tym oddziały w poszczególnych państwach, będzie mógł ułatwiać kontakty na różnych szczeblach zarówno w sprawach gospodarczych jak i kulturalnych i innych oraz służyć radą i pomocą, jeśli strony będą zainteresowane. Oczywiście działalność indywidualna jednostek czy też spółek, grup powiększy i pogłębi więzy i niewątpliwie pociągnie za sobą emigrację jednostek.

B. H. — *Jakich?*

W. W. — Nie jestem w stanie dać ścisłej odpowiedzi, zresztą nie jest to jeszcze żaden problem. Sporo naszych odwiedziło już Ukrainę. Pewna liczba pracowników naukowych, pracowników wyższych uczelni złożyła wizyty swoim kolegom, zaznajomiła się z uczelniami, poznała ich potrzeby. Wszyscy powrócili. Pomóc Ukrainie pragną wszyscy. Istotnie w różnej postaci jest ona udziałem całej społeczności ukraińskiej. Kongres zajmuje się przekazywaniem pieniędzy względnie materiałów lecz zbiórki prowadzą różne stowarzyszenia, grupy na określone cele.

W toku rozmów z czynnikami rządowymi w Kijowie zaznajomiono nas bodajże ze wszystkimi sprawami politycznymi, gospodarczymi i społecznymi. W naszej delegacji był m.in. arcybiskup prawosławnego Kościoła autokefalicznego, Mścisław, wiceprezes Światowego Kongresu. Jego wizyta ma szczególne znaczenie, gdyż Kościół prawosławny jest podzielony. Arcybiskup Mścisław jest głową Kościoła w diasporze, przewodzi prawdziwie niezależnemu Kościołowi ukraińskiemu, podczas gdy Kościół na Ukrainie do niedawna związany był i podlegał patriarsze w Moskwie. Ukraiński Kościół zdobywa coraz większe rzesze wiernych. Arcybiskup Mścisław odwiedził kilka nowych cerkwi. Czynni są dwaj nowi biskupi podlegli władyce Mścisławowi, bp Iwan Bondarczuk i bp Włodzimierz Romaniuk. Jeden z nich jest zastępcą arcybiskupa, który oczywiście powrócił do swojej siedziby w USA.

Nasz rząd emigracyjny — w ślad za polskim — uznał swoją rolę za skończoną i w sierpniu w pierwszą rocznicę proklamacji niepodległości wiceprezydent Pławiuk uda się do Kijowa i przekaże formalnie insygnia urzędu prezydenckiego. Emigracja polityczna szczęśliwie się skończyła. W miarę swoich sił spełniła swoje zadanie. Wierzę, iż naród ukraiński umocni i zabezpieczy zdobytą wolność i zbuduje trwały ustrój demokratyczny.

Toronto, 9.2.1992

Benedykt HEYDENKORN

W sowieckiej prasie

Na początku marca przyjechał do Waszyngtonu pierwszy od 1917 r. poseł Rosji, Władimir Łukin. W pierwszym oświadczeniu dla prasy powiedział: tej zimy nie ma się czego obawiać, natomiast bardzo groźna będzie następna, 1993 roku. Tak brzmi pierwszy wniosek ze zbliżającej się ku końcowi bieżącej zimy. Była zatrważająca (często zresztą mieliśmy wrażenie, że ktoś specjalnie wzniecał panikę, strasząc rodaków i obcych), ale okazała się nie taka straszna, jak się spodziewano. Przede wszystkim nie doszło do buntu po „liberalizacji cen", którego się wszyscy obawiali. Powszechne niezadowolenie wzbudziła „pierwsza liberalizacja" (styczniowa podwyżka cen o 300-350%), nie mniej wzburzyła ludzi „druga liberalizacja" w marcu, tzn. zwolnienie cen chleba i mleka. Niezadowolenie jednak nie przerodziło się w zorganizowany ruch społeczny.

Trwa coraz okrutniejsza wojna między Ormianami i Azerbejdżanami, bardzo napięta jest sytuacja w Mołdawii między Mołdawańcami a Rosjanami w Naddniestrzu, także w innych rejonach byłego ZSSR grożą konflikty narodowościowe, przeważa jednak wrażenie, że sytuacja jest równocześnie zatrważająca i stosunkowo spokojna. Stosunkowo, bo w stanie ekonomicznej katastrofy, politycznego chaosu i ideologicznej pustki można było oczekiwać (i powszechnie oczekiwano) krwawej wojny domowej. Na szczęście do niej nie doszło.

Wspominając wojnę 1812 r. i klęskę Napoleona, Puszkin zapytywał: kto nam pomógł? Barclay, zima czy rosyjski Bóg? Zima niewątpliwie nie sprzyja buntom, zwłaszcza w chłodnych strefach. O Bogu trudno coś powiedzieć — wyroki Jego są nieznane. Ale Barclay? Puszkin uważał, że szkocki generał na służbie rosyjskiej Barclay de Tolly opracował plan wojny z Napoleonem, który następnie zrealizował Kutuzow. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy istnieje dzisiaj Barclay. Jeszcze lepiej zapytać, czy istnieje Kutuzow (Barclay nie cieszył się sympatią współczesnych ani historyków), a najlepiej — Minin albo Pożarski, Stołypin, Lenin albo Stalin?

Stary marksistowski spór o rolę jednostki w historii znów nabrał rumieńców. W swoim czasie rozstrzygnął go towarzysz Stalin, uznając, że motorem historii jest walka klas, zaś siłą napędową lud; nie odmawiał jednak znaczenia jednostce, jeśli rozumie prawa historii i nadzieje ludu. Dziś o klasach nikt nie mówi — wszystkie pachnące marksizmem terminy poszły w kąt. Dużo się za to mówi o narodzie — właściwie od czasów hitlerowskich Niemiec nikt tak często nie wymawiał rzeczownika „naród" i przymiotnika „narodowy" (niemieckie *Volk* i *völkisch*). Najwidoczniej potrzebny jest wódz narodu. Kto rozumie potrzeby narodu, ten potrafi wskazać mu drogę. Wodza pragną wszyscy — i prawica, i lewica (choć bardzo trudno dziś używać tych przestarzałych pojęć — zupełnie nie wiadomo, kto jest prawicowy, a kto lewicowy). Dwa lata temu, kiedy zaczęły się wybory do rozmaitych organów przedstawicielskich, przy czym wybór był między kilkoma kandydatami, wszystko wydawało się proste: ten, kogo wybiorą, będzie wybrańcem ludu, czyli wodzem. Ostatnie wydarzenia wskazują na to, że demokratyczna metoda budzi wątpliwości. Na prezydenta Gamsachurdię głosowało ponad 80% Gruzinów. Potem pokłócił się ze swoimi przyjaciółmi, którzy go przegnali, burząc przy okazji stolicę Gruzji. Na prezydenta Azerbejdżanu Azaja Mutalibowa głosowało 90% wyborców. W marcu zmuszono go do dymisji, bo nieudolnie prowadzi wojnę przeciw Armenii. „Rosja szuka wodza", oznajmia na pierwszej stronie pismo *Dień*, w którego podtytule widnieje „gazeta duchowej opozycji". Borys Jelcyn został prezydentem Rosji dzięki znacznej przewadze głosów, a rosyjskie gazety i czasopisma pełne są rozważań, jak długo utrzyma się na Kremlu. Przeciwko prezydentowi Rosji występują wiceprezydent Ruckoj, przewodniczący Rady Najwyższej Chazbułatow i wielu innych pretendentów do tronu.

Rosja szuka wodza. Jaki wódz jest jej potrzebny? Co do tego zdania są podzielone, jednomyślność panuje tylko co do tego, kto nie jest potrzebny. Wszyscy są zgodni, że nie jest potrzebny Gorbaczow. Rosyjska Rada Najwyższa rozpatruje wniosek o oddanie Gorbaczowa pod sąd, na wielotysięcznym wiecu w Moskwie powstaje „komisja społeczna do zbadania antynarodowej, antypaństwowej działalności M.S. Gorbaczowa na najwyższych stanowiskach państwowych". Sam Gorbaczow w wywiadzie dla *Komsomolskiej prawdy* (29.2.1992) dumnie stwierdził: „sądu się nie boję". Krótko mówiąc, nie ma takiego zakątka Rosji, w którym witano by go równie entuzjastycznie, jak w Niemczech w marcu 1992 roku.

Gorbaczowa nie potrzeba. Coraz mniej potrzeba Jelcyna. Więc kto? Można odpowiedzieć, że różnym ruchom i grupom potrzebni są różni wodzowie. Można też odpowiedzieć, że zatomizowany Związek Sowiecki pozwala sprawdzić metodą prób i błędów, jaki przywódca jest potrzebny: w rozmaitych republikach byłego ZSSR od-

bywa się weryfikacja wodzów. Mocno osiedli w siodle Leonid Krawczuk na Ukrainie, Nursułtan Nazarbajew w Kazachstanie; przyszłość przywódcy Białorusi wydaje się mniej pewna. Porównując ich zalety i wady, uzyskujemy przybliżony model rosyjskiego przywódcy. To jest najważniejsze, gdyż — jak wyraził się Leonid Krawczuk — „Kiedy w czwartek w Moskwie panuje mróz, to w piątek wieczór często dochodzi on do Kijowa". I naturalnie do innych stolic niezawisłych państw nowej Wspólnoty, a także do Tyflisu, który do niej jeszcze nie należy.

Rubryka „Rosja szuka wodza" (*Dień* nr 6, 1992) zawiera wypowiedzi pięciu działaczy politycznych różnych kierunków: Wiktor Anpiłow mówi w imieniu Rosyjskiej Komunistycznej Partii Robotniczej, Nikołaj Łukianow reprezentuje Centrum Monarchistyczne, Nikołaj Łysenko — Narodowo-Republikańską Partię Rosji, Nikołaj Pawłow — Rosyjski Związek Ogólnonarodowy, Genadij Sklar — Socjalistyczną Partię Robotników. Wszyscy wyliczają biedy i nieszczęścia, jakie spadły na Rosję w wyniku *pieriestrojki*, wszyscy proponują prostą receptę na ratunek i kandydatów na zbawicieli. Rosyjscy komuniści, którzy zaczęli już wydawać gazetę *Mołnia* (*Błyskawica*, oczywista aluzja do leninowskiej *Iskry*) uważają, że rząd zaufania narodowego powinien natychmiast wrócić do zasad gospodarki planowej, a dalej wszystko pójdzie jak po maśle. Ich kandydatami na przywódców są: generał Makaszow, doktor nauk ekonomicznych Siergiejew i deputowany ludowy z Kuzbasu Awaliani. Monarchiści uważają, że przyczyną katastrofy jest porażka leninowców-stalinowców (czyli państwowców) na rzecz trockistów-internacjonalistów. Ich program przewiduje zorganizowanie potężnego ruchu narodowego (do którego wejdą komuniści-państwowcy), który zaprowadzi „porządek, dyscyplinę i jedność kraju". Wodzem może zostać wiceprezydent Rosji Ruckoj albo prezydent Jelcyn, „o ile zmieni swoje rusofobiczne otoczenie". W rezerwie zostaje, na wypadek gdyby chaos się przedłużał, „postać monarchy". Narodowo-republikańska Partia Rosji stawia na rychłe zwycięstwo „neokomunistów", „zupełnie niepodobnych do neobolszewików, którzy dziś zasiadają na Kremlu". Hasła neokomunistów są proste i zrozumiałe: „szybko zrobimy to, co było dawniej, to i owo poprawiając i zmieniając". Ich przywódcy to szef Ogólnonarodowego Związku Rosyjskiego Siergiej Baburin, wódz Ruchu Chrześcijańsko-Demokratycznego Wiktor Aksjuticz i Aleksander Ruckoj. Przedstawiciel Ogólnonarodowego Związku Rosyjskiego uważa, że doświadczenie Polski dowodzi, iż „terapia szokowa daje bardzo wątpliwe rezultaty". Co więcej, dodaje, o ile dla Polski terapia szokowa była mimo wszystko do zniesienia, to „dla nas jest ona po prostu zgubna". Program OZR: najpierw odrodzenie federacji, następnie przejście do rynku, rozłożone na dziesięć lat. Wiele osób ma szansę zostać przywódcą — podsumowuje Pawłow. Socjalistyczna Partia Rosji uważa, że „nadzieje, jakie naród pokładał w Jelcynie, jeszcze się nie wyczerpały".

23 lutego odbył się w Moskwie, Petersburgu i innych miastach Rosji swojego rodzaju przegląd sił rozmaitych ruchów. Okazją była rocznica utworzenia Armii Czerwonej — Dzień Sił Zbrojnych. Milicja i oddziały specjalne (OMON) działały sprawnie i zdecydowanie, tzn. najpierw rozdzieliły demonstrantów, a potem ich rozegnały. Koło stacji metra „Białoruska" zebrały się opozycyjne partie i grupy, w sumie ok. 30 tysięcy osób. Byli wśród nich członkowie Rosyjskiej Komunistycznej Partii Robotniczej, Rosyjskiej Partii Komunistycznej, Związku Komunistów, Wszechrosyjskiej Partii Komunistycznej (bolszewików), ruchu „ZSSR", ruchu „Nasi", Zjednoczonego Frontu Ludu Pracującego, Związku Oficerów, Związku Weteranów, „Ojczyzny", Rosyjskiego Ruchu Wyzwoleńczego, Ogólnonarodowego Związku Rosyjskiego i in. Demonstranci domagali się dymisji prezydenta Rosji Jelcyna, sądu nad Gorbaczowem, utrzymania Związku Sowieckiego.

Mnogość ruchów, partii i organizacji jest niewątpliwym owocem liczebności kandydatów na wodza. Taka jest rzeczywistość zarówno w łonie sił, zwących się demokratycznymi, jak i wśród tzw. patriotów. Przy okazji warto zauważyć, że wśród „demokratów" zażarta walka personalna przybrała homeryckie wręcz rozmiary. „Patrioci", których Borys Jelcyn nazwał „czerwono-korzennymi", dążą do stworzenia „bloku narodowo-politycznego"; „demokraci" zadowalają się walką między sobą.

Mimo to nie ulega wątpliwości, że są to dwa odrębne obozy. „Patriotów", „państwowców" lub „czerwone korzenie" nazywa się teraz słowem „nasi". Odkąd powstał ruch „Nasi", zrodziło się słowo „nasizm". Słowo i ruch stworzył leningradzki dziennikarz telewizyjny Aleksander Niewzorow, autor audycji „600 sekund". „Nasi" to Rosjanie, patrioci, bojownicy za wiarę i ojczyznę, czyli Związek Sowiecki. Warto zauważyć, że słowo „nasi" nie istniało wprawdzie w rosyjskim słowniku politycznym dla określenia ruchów politycznych, istniało natomiast w rosyjskiej literaturze. Siódmy rozdział „Biesów" nosi tytuł „U naszych". „Nasi" to dla Dostojewskiego synonim biesów. Na zebraniu „u naszych" Szygalow przedstawił swój program struktury społecznej przyszłego społeczeństwa: „Wychodząc z bezgranicznej wolności, kończę bezgranicznym despotyzmem"". Za główną zaletę swego programu Szygalow uważał fakt, że „nie może istnieć inne rozwiązanie formuły społecznej aniżeli moje".

Wiele lat temu Jelizawieta Porecka, żona agenta Ignacego Reissa, napisała wspomnienia i zatytułowała je „Nasi". Opisywała grupę polskich komunistów, którzy poszli na służbę rewolucji światowej, a okazali się na służbie OGPU-NKWD. Wszyscy „nasi" zginęli od kuli „swoich", stalinowskich katów, z którymi przez długie lata pracowali ręka w rękę. Dziś znowu pojawiają się „nasi"... Na pierwszy rzut oka ich hasła są różne. Przy bliższym wejrzeniu widać, że *credo* mają wspólne, to samo, które wyznawał Szygalow: poza moją drogą nie ma żadnej innej.

„Nasi", podobnie jak wszystkie inne ruchy w Rosji, szukają wodza. *Dień*, który reprezentuje skrajne, hurra-patriotyczne skrzydło, odrzuca Jelcyna, chociaż przyznaje, że wśród „wszystkich czołowych polityków w Rosji, którzy do władzy przeszli z biblioteki", Jelcyn stanowi wyjątek. Zarzucają mu jednak partyjną przeszłość: „Zdążył zdeprawować się władzą, wykonując rozkazy Breżniewa i życzenia jego następców". *Dień* opisuje prawdziwy stan rzeczy: wicepremier Burbulis wykładał marksizm-leninizm, wicepremier Gajdar kierował wydziałem ekonomicznym czasopisma *Kommunist*, burmistrz Moskwy Popow uczył studentów ekonomii socjalistycznej, Jelcyn zrobił karierę w aparacie partyjnym.

Pisałem już o tym, że ogromna część prezydentów państw Wspólnoty byłych sowieckich republik to sekretarze miejscowych partii komunistycznych. Lingwista Gamsachurdia należy do wyjątków. Jego rządy trwały niedługo. Nie znaczy to oczywiście, że nie należy dopuszczać do wyborów lingwistów. Prezydent Armenii Ter-Petrossian też jest lingwistą: jego pozycja w republice na razie jest mocna. Pytanie należy postawić następująco: jeżeli wszystkie źródła są zatrute — aparat partyjny, sowieckie nauki społeczne — to gdzie należy szukać wodzów? „Nasi" odpowiadają na to: w jedynym nieskażonym źródle — wojsku. Tu otwierają się szerokie możliwości przed Aleksandrem Ruckim — lotnikiem wojskowym, bohaterem wojny w Afganistanie, generałem.

Na razie są to tylko możliwości, i wodzowie są tylko potencjalni. Na razie władza nad Rosją znajduje się w rękach Borysa Jelcyna. Władza realna: armia (fronda części korpusu oficerskiego nie ma jeszcze poważnego znaczenia), KGB (w każdym razie znaczna część aparatu), milicja. Jelcyn wciąż jeszcze cieszy się większą popularnością aniżeli wszyscy inni kandydaci na tron razem wzięci.

Jelcynowi przeszkadza bardzo brak pomocy Zachodu (należy się spodziewać, że będzie mu przeszkadzał coraz bardziej, w miarę jak będzie pogłębiał się kryzys). Zbigniew Brzeziński pisał w *Washington Post* na początku marca, że na początku 1992 r. „deklaracje pomocy dla byłego Związku Sowieckiego przekroczyły 81,5 mld dolarów". Jest to suma niebłaha, gdyby chodziło o prawdziwe pieniądze, a nie „deklaracje". W memorandum Richarda Nixona, krążącym wśród przyjaciół byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, mowa jest o tym, że realna pomoc wyniosła zaledwie 3,75 mld dolarów. Nixon pisze, że poparcie rządu prezydenta Busha dla Rosji można porównać z pomocą dla afrykańskiego państwa Burkina Faso (była Górna Wolta).

Bush wzdraga się przed pomocą dla Jelcyna z wielu powodów. Nie należy lekceważyć wpływu Michaiła Gorbaczowa, który nigdy nie lubił Jelcyna, a zachował pewien autorytet w oczach Amerykanów. Co więcej, ostatni generalny sekretarz i pierwszy a zarazem ostatni prezydent ZSSR nie stracił nadziei na to, że wróci na szczyty. Przykład Edwarda Szewardnadze, który zjechał do Gruzji jako zbawca, nie może nie cieszyć Gorbaczowa. Jednym z powodów, dla których Gruzini powierzyli losy kraju byłemu ministrowi spraw zagranicznych i pierwszemu sekretarzowi KC partii komunistycznej, jest gęsta sieć kontaktów byłego ministra spraw zagranicznych ZSSR. Gorbaczow ma nie mniejsze kontakty.

Następną próbą sił będzie demonstracja „wszystkich sił patriotycznych" 17 marca. Burmistrz Moskwy Gawriił Popow zapowiedział, że do niej nie dopuści.

Reżyser filmowy Aleksiej German znalazł niezłe wytłumaczenie obecnej sowieckiej katastrofy. „Jesteśmy nieszczęsnym krajem — powiedział. — We wszystkich krajach kapitaliści budują kapitalizm. Komuniści powinni budować komunizm. U nas natomiast komuniści budują kapitalizm". Do tego należy dodać, że kapitalizm budują ci sami komuniści, którzy tak niezdarnie budowali komunizm. Czy kapitalizm może im się udać lepiej aniżeli komunizm?

11. 3. 1992

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: — 450 tys. osób z Niemiec Wschodnich dojeżdża codziennie do pracy z terenu byłej NRD na teren Niemiec Zachodnich. W ciągu pierwszego roku po zjednoczeniu z terenu byłej NRD do starych landów RFN przeniosło się na stałe 240 tys. osób. ■ Według Instytutu Gospodarki Niemieckiej w Kolonii na terenie byłej NRD do roku 1995 zostanie zainwestowanych ponad 113 miliardów marek z zachodniej części kraju i zagranicy. Ponadto Niemcy Wschodnie otrzymać mają do roku 1997 12 miliardów marek z kasy EWG. ■ Według prognozy Instytutu Badania Gospodarki wyrównanie poziomu życia w Niemczech Wschodnich do poziomu zachodniej części kraju nastąpić ma dopiero za 20 lat, a w najlepszych warunkach za lat 14. Opublikowanie tych danych w lutym br. wywołało duże poruszenie wśród ludności byłej NRD. ■ W roku bieżącym z 87,3 miliardów marek z funduszu Federalnego Urzędu Pracy 45 miliardów przeznaczonych zostanie na teren byłej NRD. Finansowane mają być dzięki temu zasiłki dla bezrobotnych, kursy i szkolenia zawodowe oraz subwencjonowane miejsca pracy. ■ W RFN liczba osób żyjących z zasiłku socjalnego wynosi obecnie 4,2 miliona. Około 300 tys. osób w Niemczech nie posiada dachu nad głową. ■ Według słów premiera Saksonii, Biedenkopfa, stworzenie 2,5 miliona nowych miejsc pracy oraz utrzymanie i unowocześnienie 4 milionów już istniejących

w nowych krajach związkowych kosztować ma 900 miliardów marek. Z tego powodu do końca lat 90-ych rocznie powinno wpływać na teren byłej NRD około 100 miliardów marek. ■ Import gazu z Rosji przez Czechosłowację zagwarantowany jest poza rok 2000. ■ W zeszłym roku, po zjednoczeniu, na terenie Niemiec żyło 79,7 milionów osób, w tym 6,4% cudzoziemców. ■ W roku ubiegłym przybyło do Niemiec 256 tys. osób ubiegających się o azyl polityczny. ■ W roku ubiegłym na granicy niemiecko-polskiej wopiści niemieccy złapali ponad 9.000 nielegalnych imigrantów, głównie z Rumunii i Bułgarii. ■ Rada Rehabilitacyjna Niemców Rosyjskich podjęła w Moskwie decyzję zorganizowanego opuszczenia terenu byłej ZSSR i wyjazdu do Niemiec przez ok. 90% członków tej mniejszości narodowej. Aktualnie żyje tam ok. 2 milionów osób pochodzenia niemieckiego. ■ POLITYKA ZAGRANICZNA: — Pod koniec lutego między RFN i Litwą podpisana została umowa o wspieraniu i ochronie inwestycji niemieckich na Litwie. ■ Dnia 27.02. br. podpisany został w Pradze Układ o Stosunkach Sąsiedzkich między RFN i CSR. W Czechosłowacji był on przedmiotem ostrej krytyki m.in. ze strony byłych komunistów, którzy krytykowali pominięcie unieważnienia w całości — „od samego początku" — Traktatu Monachijskiego (*Münchener Abkommen*) z roku 1938, w którym Czechosłowacja pod presją odstąpiła III Rzeszy tereny zamieszkałe przez Niemców Sudeckich. Krytycy umowy próbowali wykorzystać niepokój ludności czeskiej przed roszczeniami własnościowymi przedstawicieli organizacji wypędzonych i zarzucali Havlowi wyprzedaż interesów CSR. W Niemczech układ ten przedstawiciele Niemców Sudeckich krytykowali głównie za odmowę CSR wypłacenia im odszkodowań za utracone majątki i mienie oraz wykluczenie ich z udziału w aukcjach publicznych, na których sprzedawano byłe nieruchomości wypędzonych Niemców. Poza układem CSR wyraziła natomiast gotowość wypłacenia odszkodowań Niemcom Sudeckim wywłaszczonym po roku 1948, tj. po przejęciu tam władzy przez komunistów. Ponadto zadeklarowano gotowość zwrotu majątku wypędzonym, którzy chcą powrócić do swych posiadłości, pod warunkiem przyjęcia przez nich obywatelstwa CSR. ■ Na początku lutego kanclerz Kohl wypowiedział się ponownie z naciskiem za rozszerzeniem EWG m.in. na kraje bałtyckie oraz Węgry, Polskę i Czechosłowację. ■ Ponad 70% zagranicznego kapitału (760 mln dolarów) zainwestowanego w roku 1991 na terenie Czech pochodzi z Niemiec. Wywiad CSR przestrzegał przed ofensywą gospodarczą Niemiec jako zagrożeniem dla suwerenności kraju. Obawy te jako bezzasadne odrzucił minister spraw zagranicznych CSR, Dienstbier. ■ Niemiecki Instytut Gospodarki skrytykował w grudniu ub. roku umowy EWG z Polską, Czechosłowacją i Węgrami za wywieranie na te kraje o wiele silniejszego nacisku w prowadzeniu polityki gospodarczej, niż ma to miejsce w odniesieniu do krajów Wspólnoty. Skrytykowano m.in. ograniczenia dla towarów importowanych z tych krajów przy jednoczesnym zmuszaniu ich do całkowitego otwarcia granic dla towarów z EWG najdalej za 4 lata. ■ Duży dysonans wywołała w rządzie RFN wiadomość o rzekomych dalszych roszczeniach finansowych (7 miliardów marek) ze strony ministra obrony Rosji na rzecz finansowania wycofania oddziałów byłej ZSSR z Niemiec. ■ Wbrew umowom bilateralnym opuszczające Niemcy jednostki wojskowe byłej ZSSR zamierzają zniszczyć część uzbrojenia jeszcze na terenie Niemiec. ■ SPRAWY KULTURALNE: — Na łamach wielu ważnych gazet i czasopism niemieckich ukazała się wiadomość o śmierci wybitnego polskiego germanisty z Wrocławia, prof. Mariana Szyrockiego. W poświęconych jego osobie słowach podkreślano m.in. jego międzynarodowe sukcesy naukowe w zakresie badania literatury niemieckiego baroku oraz wkład na rzecz zbliżenia polsko-niemieckiego. Profesor Szyrocki był jedynym germanistą polskim i zagranicznym, którego książki na temat baroku niemieckiego stały się standardowymi podręcznikami w tym zakresie w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. ■ Międzynarodowy Festiwal Teatru Świata odbędzie się w roku 1996 w Dreźnie. Ponadto co trzy lata będzie on odbywał się regularnie w Niemczech. ■ Na likwidację pomnika Lenina we wschodniej części miasta Senat wydał niedawno 500 tys. marek. ■ Prywatyzacja wydawnictw w nowych krajach związkowych zakończona ma być do końca br. Dotychczas poddano jej 36 wydawnictw książkowych i gazetowych. ■ Reaktywowany Uniwersytet Europejski we Frankfurcie nad Odrą rozpoczyna pracę w semestrze zimowym 1992/93. ■ Fundacja Łużyczan otrzyma w tym roku 41 milionów marek na działalność kulturalno-oświatową i zachowanie tradycji łużyckiej. Część pieniędzy przeznaczona zostanie na działalność gimnazjum łużyckiego oraz szkołę nauki języka polskiego i czeskiego. ■ W centralnych laboratoriach językowych uczelni wyższych w Berlinie nie prowadzi się w tym roku kursów języka polskiego ze względu na brak chętnych. Kurs taki prowadzony jest jedynie każdorazowo dla 60 studentów slawistyki. Tylko tzw. Uniwersytety Ludowe odnotowały nieco zwiększone zainteresowanie nauką polskiego. W roku 1990 prowadzono w Berlinie Zachodnim 7 kursów języka polskiego dla 126 uczestników. W pierwszym semestrze br. na kursy te zapisało się 141 osób, do których dochodzi 39 osób ze wschodniej części miasta. Kursy takie prowadzone są również w Polskim Ośrodku Kultury i Informacji, gdzie aktualnie polskiego uczy się 45 osób w porównaniu do 20 osób w okresie minionym. ■ Z mocno zredukowanych z powodu programu oszczędnościowego dotacji na działalność wolnych grup teatralnych w Berlinie 270 tys. marek (drugie miejsce pod względem wysokości sumy) przyznano polskiemu malarzowi i reżyserowi Andrzejowi Worońcowi, założycielowi i reżyserowi „Teatru Kreatur", założonemu zaledwie przed trzema laty, który uchodzi obecnie za jeden z najlepszych teatrów w Berlinie i w Niemczech. Dotychczas wystawił on dwie sztuki, które stały się największą sensacją teatralną miasta w ciągu ostatnich lat. ■ W biuletynie informacyjnym *Aktuelles Zeitgeschehen* z lutego br.

ukazał się wywiad z redaktorem naczelnym paryskiej *Kultury* Jerzym Giedroyciem. Nestor emigracji polskiej wypowiedział się w nim m.in. na temat krytycznego stosunku nowych władz w Polsce do emigracji polskiej oraz o polityce personalnej przedstawicieli nowych władz używających prywatnych notesów z adresami do znalezienia kandydatów na stanowiska. Na pytanie o ewentualną wizytę w Polsce J. Giedroyc powiedział: „Nie, ponieważ byłoby to dla mnie zbyt dużym zawodem. Walczyłem o inną Polskę. Proszę też nie zapominać, że mój wiek nie zezwala mi na dłuższe podróże. Będzie lepiej, jeśli *Kultura* i ja zostaniemy w Paryżu, bo to zezwala nam na większy dystans. Jestem jednak przekonany, że Polska nadal nas potrzebuje".

Berlin 7.03.92

Andrzej STACH

Kronika litewska i białoruska

23 stycznia w Radzie Najwyższej rozpoczęła się dyskusja nad projektem ustawy „O niektórych ograniczeniach przy obejmowaniu stanowisk państwowych". Przewiduje ona, że wysokie urzędy państwowe będą zamknięte przez okres 5 lat nie tylko dla agentów KGB ale także dla byłych sekretarzy partii komunistycznej od stopnia powiatu (rejonu). Przyjęcie tej ustawy uniemożliwiłoby A. Brazauskasowi, przewodniczącemu Litewskiej Demokratycznej Partii Pracy — LDDP (komuniści) i byłej premier K. Prunskiene powrót do władzy i włączenie Litwy do Wspólnoty Państw Niepodległych. Brazauskas nazwał ustawę „pierwszym krokiem na drodze do rozprawienia się z siłami demokratycznymi". Komuniści podkreślają, że Litwa różni się od Czechosłowacji i ustawę dekomunizacyjną można by stosować wyłącznie dla okresu 1944-1956, gdyż „później zaczął się inny już etap". Bardziej im odpowiada sytuacja polska z nieograniczonymi możliwościami robienia karier politycznych dla agentów KGB.

Tymczasem w parlamencie zwolennicy V. Landsbergisa utracili większość. Antykomunistyczna frakcja tautininków (narodowców) powiększyła się wprawdzie, ale jednocześnie część jej członków odeszła, by wraz z kilkoma posłami klubu Zjednoczonego Sajudisu utworzyć nową frakcję „Postępu Narodowego" — Pażanga (11 posłów). Grupa ta poparła blok komunistyczny (kluby: lewicy — 13 posłów, polski — 8, centrum Sajudisu — 20, liberałowie — 10), co

dało opozycji 62 głosy, nie licząc znacznej części głosów spośród 25 posłów pozostających poza klubami, wobec 53 głosów obozu Landsbergisa (kluby: Zjednoczonego Sajudisu — 16 posłów, umiarkowanych — 16, tautininków — 10, Santara-Zgoda — 11) plus kilku deputowanych niezależnych. Komuniści boją się jednak obalić przewodniczącego Rady Najwyższej ze względu na poparcie jakim obdarza go społeczeństwo i dlatego zwalczają instytucję prezydenta, starając się w nowej konstytucji maksymalnie ograniczać jego uprawnienia. Nie ma bowiem wątpliwości, że wybory na stanowisko wygra V. Landsbergis. 16 lutego parlament ustalił harmonogram prac nad nową konstytucją; w drugiej połowie marca rozpocznie się dyskusja w parlamencie, a 1 maja projekt zostanie skierowany do dyskusji społecznej, jesienią referendum miałoby rozstrzygnąć o przyjęciu lub odrzuceniu tak przygotowanej ustawy zasadniczej.

Drugim żądaniem komunistów jest utworzenie rządu koalicyjnego z udziałem opozycji lecz z pozostawieniem na stanowisku premiera G. Vagnoriusa.

25 stycznia odbyła się konferencja krajowa LDDP, na której zapowiedziano utworzenie gabinetu cieni, głosowanie w referendum przeciwko instytucji prezydenta, zasługę rozpoczęcia desowietyzacji przypisano Brazauskasowi i zaproponowano sojusz Polakom. Brazauskas stwierdził, że w zasadniczych kwestiach zgadza się z frakcją polską i popiera rozpisanie wyborów w rejonach wileńskim i solecznickim oraz powołanie ministra bez teki d/s mniejszości narodowych i proponuje by to stanowisko powierzyć Polakowi. Algis Klimaitis żądał zmiany „polityki konfrontacji" z Rosją na politykę współpracy, ułatwień tranzytowych i podkreślił, iż żądania wycofania armii rosyjskiej są nierealne i dyktatorskie (sic!) i już jakoby zaszkodziły prestiżowi Litwy na Zachodzie.

Partia komunistyczna liczy obecnie od 17 do 18 tys. członków, z czego 60% stanowią kołchoźnicy, a resztę inteligencja. W Wilnie do LDDP należy około tysiąca osób.

Również 25 stycznia miała miejsce IX sesja Sejmu konsultacyjnego, nieformalnego forum skupiającego przedstawicieli antykomunistycznych partii i organizacji. Dotychczas Sejm ten krytykował władze za kompromisową politykę, ale tym razem na jego posiedzeniu pojawili się m.in. wiceprezydent Kazimieras Motieka i wicepremier Zygmas Vaiszvila, którzy wraz z członkami Sejmu przeciwstawili się Vagnoriusowi i niektórym członkom rządu. Krytykowany był zwłaszcza minister obrony Audrius Butkeviczius, który przystąpił do klubu poselskiego „Pażanga". (Kilku dowódców wojskowych wyraziło votum nieufności wobec Butkeviczіusa). Vaiszvila stwierdził, iż przewrót komunistyczny jest już sprawą realną, zaś aktualny atak komunistów skierowany jest przeciwko MSW, policji, prokuraturze i Departamentowi Bezpieczeństwa Kraju. Na pytanie — kto przygotowuje zamach, wicepremier odpowiedział: komuniści i KGB. Antanas Terleckas, przywódca Ligi Wolności Litwy, stwierdził, że jedynie 4 członków rządu stawia opór komunistom, a tymczasem par-

lament opóźnia się z przyjęciem ustawy desowietyzacyjnej, zaś wczorajsi kolaboranci umacniają się w strukturach władzy i środkach masowego przekazu. Terleckas zażądał dymisji posłów, którzy kolaborowali z okupantem i ogłoszenia dowodów ich współpracy. Sejm przyjął oświadczenie „O niebezpieczeństwie nowego przewrotu komunistycznego na Litwie".

12 marca, na kolejnej sesji Rady Najwyższej wystąpił Arunas Skuczas, dyrektor Departamentu Obrony Rady Najwyższej (kontrwywiad), z twierdzeniem, że przygotowania do zamachu stanu i powrotu komunistów do władzy na Litwie są w toku.

Na wspomnianej już sesji Sejmu konsultacyjnego Motieka oświadczył, iż komisja parlamentarna zajmująca się sprawami KGB dysponuje materiałami dotyczącymi współpracy Prunskiene z KGB. Zostaną one przekazane prokuraturze, ale nie należy podejmować pochopnych decyzji.

Reforma utkwiła w martwym punkcie z powodu jej sabotowania na szczeblu lokalnym przez dawny aparat komunistyczny. Wiceprezydent Motieka zagroził na sesji Sejmu konsultacyjnego, że jeżeli proces zwrotu ziemi byłym właścicielom będzie nadal przeciągany, wezwie chłopów, by sami brali własną ziemię.

G. Vagnorius podał do wiadomości, że w 1991 roku sprywatyzowano 5% majątku przeznaczonego na ten cel. Jeśli tempo prywatyzacji utrzyma się, pod koniec 1992 roku w ręce prywatne przejdzie do 65% denacjonalizowanego majątku. W dużych zakładach pracy planuje się 30% do 40% akcji przeznaczyć na akcje pracownicze.

V. Landsbergis uzyskał w Niemczech i Japonii obietnicę pomocy przy tworzeniu funduszu stabilizacyjnego, który ma umożliwić wprowadzenie waluty litewskiej. Minister spraw zagranicznych Danii zaproponował stworzenie bałtyckiego Banku Inwestycyjnego i funduszu stabilizacyjnego dla walut bałtyckich. Wielka Brytania obiecała zwrócić Litwie złoto (2,96 t.) zdeponowane w Anglii przed wojną. Rosja dostarcza Litwie tylko 70% obiecanych surowców. W związku z tym projektowana jest budowa rurociągu z Kłajpedy do rafinerii w Mażeikiai.

Na łamach prasy litewskiej coraz częściej krytykowany jest układ litewsko-rosyjski ratyfikowany w sierpniu 1991 roku, na mocy którego Litwa uznała przynależność do Rosji Królewca. Proponuje się powrót do układu z 1920 roku, zaś jako powód wymówienia obecnego traktatu podawany jest argument, iż nie może on zobowiązywać Litwy, jako że w momencie zawierania układu była krajem okupowanym przez obce wojska. Organizacja „Młoda Litwa" i partia tautininków podkreślają, iż nawet pełne wycofanie wojsk rosyjskich z Litwy nie zapewni jej bezpieczeństwa i w istocie nic nie zmieni, jeśli pozostaną one w okręgu królewieckim i będą miały prawo tranzytu przez Litwę.

Co niedziela liberałowie Żirinowskiego i organizacja „Nasi" pikietują przedstawicielstwa państw bałtyckich w Moskwie, żądając

„powrotu" republik bałtyckich do Rosji, a w wypadku Litwy co najmniej oddania okręgu Kłajpedy.

Organizacje litewskie na Wileńszczyźnie utworzyły porozumienie wyborcze celem przeciwstawienia własnych kandydatów — polskim. Może to oznaczać, że władze litewskie zdecydują się jednak zezwolić na wybory samorządowe w rejonie wileńskim i solecznickim.

●

W marcu Białoruski Front Ludowy „Adradżennie" ukończy zbieranie podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie rozwiązania Rady Najwyższej, rozpisania przedterminowych wyborów i dymisji rządu. Wymaganą liczbę 350 tys. podpisów złożą sami tylko mieszkańcy Mińska.

Jak podkreślił Zianon Paźniak, przywódca Frontu, cała władza w Republice znajduje się w rękach komunistycznej nomenklatury. Wprawdzie po sierpniu 1991 utraciła ona swoje ideologiczne struktury, ale władza pozostała w rękach jej funkcjonariuszy, stąd brak jakichkolwiek reform rynkowych i kontynuacja polityki Gorbaczowa, który usiłował połączyć komunizm z rynkiem. Brak jasno sformułowanego prawa własności i ustawy przyjmowane przez komunistyczną Radę Najwyższą umożliwiają nomenklaturze prowadzenie „dzikiej prywatyzacji" (samouwłaszczenie). Dlatego tylko nowe wybory i sformowanie rządu zaufania narodowego mogą położyć kres temu procesowi.

Białoruski niezależny ruch związkowy dzieli się na trzy nurty: pierwszy, związany z Frontem i popierający jego cele polityczne, tworzą Miejski Komitet Strajkowy w Mińsku, Mohylewski Komitet „Niezależność" i Wolne Związki Zawodowe Republiki Białorusi, kierowane przez Genadzieja Bykowa; drugi, który podkreśla swą apolityczność i wysuwa tylko żądania ekonomiczne, reprezentuje Konfederacja Pracy Białorusi Michasia Sobala. Konfederacja ma wpływy głównie w sferze usług i utrzymuje kontakty z szeregiem niezależnych komitetów robotniczych na terenie całego kraju. I wreszcie trzecią kategorię stanowi regionalny Niezależny Związek Zawodowy Górników w Salmigorsku, kierowany przez Iwana Jurhiewicza.

Oficjalne, komunistyczne związki zawodowe współpracują z partią socjaldemokratyczną, która w styczniu utworzyła ośrodek polityczny „Nowa Białoruś", konkurencyjny wobec Frontu „Adradżennie" i przeciwstawiający się idei przedterminowych wyborów. 70% członków Białoruskiej Hromady Socjal-Demokratycznej należy jednak do Frontu Ludowego.

24 stycznia obradowały władze WZZ RB i mińskiego MKS. Postanowiono przeprowadzić w niedalekiej przyszłości jednodniowy strajk ostrzegawczy z żądaniem dymisji rządu, rozpisania przedterminowych wyborów do Rady Najwyższej, skasowania czasowego stanu w prywatyzacji oraz wydania zakazu spekulacji towarami wyprodukowanymi w przedsiębiorstwach państwowych Republiki.

„Adradżennie" zaapelowało do wojskowych narodowości białoruskiej, którzy służą poza granicami Białorusi, by nie składali przysięgi na wierność innym państwom lecz wracali na Białoruś tworzyć armię narodową.

Przestało się ukazywać jedyne pismo opozycyjne o zasięgu krajowym *Nawiny Adradżennia*, redagowane przez działaczy Białoruskiego Frontu Ludowego. Redakcja zużyła wszystkie posiadane środki na przejście z miesięcznego na tygodniowy cykl wydawniczy, a jednocześnie władze BFL zabroniły jej podjęcia działalności gospodarczej, która miałaby finansować tygodnik, lecz nie dostarczyły funduszy obiecanych na uruchomienie wydawnictwa Frontu. W tej sytuacji redakcja, pozbawiona możliwości kontynuowania swej pracy, po wydaniu 30 stycznia ostatniego numeru *Nawin*, podała się *en bloc* do dymisji.

25 lutego minister spraw zagranicznych Białorusi, Piotr Krauczanka, ponowił roszczenia terytorialne pod adresem Litwy.

Prezydent Litwy, Vytautas Landsbergis, wyraził zdziwienie z powodu enuncjacji Krauczanki, gdyż właśnie na spotkaniu z Przewodniczącym Rady Najwyższej Białorusi, S. Szuszkiewiczem, ustalono, iż oba państwa nie mają do siebie żadnych pretensji terytorialnych, nie wspominając już o traktacie podpisanym w Mińsku jesienią 1991 roku, który również uregulował problem granic. Polacy na Litwie są przekonani, iż obaj prezydenci uzgodnili swą politykę przeciwko mniejszości polskiej, a zwłaszcza, że nie dopuszczą do utworzenia po obu stronach granicy żadnych polskich okręgów autonomicznych.

W białoruskiej gazecie *Zwiazda* ukazał się list podpisany „przedstawiciele inteligencji białoruskiej", w którym autorzy wypowiadają pogląd, iż Wilno i Wileńszczyzna stanowią od wieków etniczny obszar białoruski oraz historyczne centrum jej nauki i kultury. Traktat brzeski z 1918 roku i układ sowiecko-litewski z 1920 roku oraz umowa sowiecko-litewska z 1939 roku, które zadecydowały o przyznaniu Litwie spornego terytorium, zostały zawarte bez udziału Białorusi i nie odpowiadają jej interesom.

Józef DARSKI

Kronika kulturalna

Powroty Jacka Bierezina

I. Od książkowego debiutu Jacka Bierezina („Lekcja liryki", 1972) mija właśnie dwadzieścia lat. Od wydanego w Paryżu zbioru „Wam" (1974) — lat osiemnaście. Później jeszcze, w 1980 roku, podziemna wówczas NOWA wydała wybór jego tekstów („W połowie życia"), ale w większości zawierał on utwory przedrukowane ze zbiorów wcześniejszych. Tomik *Tyle rzeczy* (Editions Dembiński, Paryż, 1990) w księgarniach ukazał się z kilkumiesięcznym „poślizgiem", wiosną 1991 roku. Skłania on do refleksji, również ogólniejszej natury. Rozpocznę jednak od przypomnienia ważniejszych faktów z życiorysu poety. Jego biografia łączy w sobie — podobnie zresztą jak i w przypadku wielu innych twórców Nowej Fali, zwanych również Pokoleniem 68-70 — elementy typowe dla pisarza i redaktora oraz działacza społecznego czy politycznego; we wczesnej młodości był więziony za pomarcową sprawę „Ruchu", potem współpracował z KORem, brał udział w licznych akcjach obywatelskich przeciwko posunięciom ówczesnego reżimu komunistycznego, współtworzył „drugi obieg" wydawniczy. Wraz z Tomaszem Filipczakiem i Witoldem Sułkowskim redagował pismo literackie *Puls*. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany, po czym wyjechał na Zachód, do Francji, gdzie mieszka do tej pory.

Tam najpierw prowadził emigracyjną kontynuację *Pulsu*, aż do ostatecznego rozejścia się z nowym zespołem pisma na początku 84 roku. Potem współpracował z paryskim wydawnictwem „Spotkania" i redagował dział literacki miesięcznika *Kontakt*. Jeszcze później pracował w podparyskim ośrodku rekreacyjnym jako ratownik wodny i trener pływania. Najbarwniejsze chyba w emigracyjnym życiorysie poety były lata 1984-85, naznaczone podróżami do Stanów Zjednoczonych i Australii, udokumentowane kilkoma wierszami opublikowanymi w zbiorze „Tyle rzeczy". Znajdują się one w najobszerniejszej części książ-

ki, opatrzone podtytułem „Ze świata", obok liryków napisanych w Paryżu. Zbiór zawiera cykl kilku wierszy „Z kraju"; najstarszy z nich powstał w Łodzi w 1974 roku, ostatnie w ośrodkach internowania w Jaworzu i Darłówku w 1982 roku. Utrzymane w „nowofalowej" stylistyce, znanej ze zbioru „Wam", antycypują tematy uchodźstwa i podróży („Przez nasze sny i dusze / jadą transporty wygnańców"), tematy, które niedługo później staną się treścią życia autora „Widoku z wieży w Sydney", powodując istotne przesunięcia akcentów i zmiany w poetyce jego wierszy.

II. O powrocie Jacka Bierezina można mówić w dwu co najmniej płaszczyznach. Po pierwsze zatem — i najbardziej oczywiste — jest to powrót *z emigracji do kraju*. Nie poprzez zmianę adresu zamieszkania, na łódzki czy warszawski, ale poprzez możliwość uczestnictwa w polskim życiu literackim czy kulturalnym.

Po drugie — jest to powrót do zaznaczonego w debiutanckim zbiorze, choć raczej niedostrzeżonego przez krytykę, *nurtu liryki osobistej*, czyli do najbardziej pierwotnych i elementarnych źródeł poezji. Oto rewolucjonista i kontestator ze zbioru „Wam", poeta społeczno-politycznej niezgody i moralnego buntu przeciwko niewoleniu jednostki przez komunistyczny system ukazuje twarz cierpiącej jednostki. Cierpiącej nie ze względu na prześladowania polityczne, religijne czy rasowe, ale ze względów, można rzec, ontologicznych, przyrodzonych, wynikających z takiej, a nie innej kondycji człowieka w świecie.

III. Poezja, poezja liryczna, rodzi się z leśmianowskiego poczucia nieprzystawalności bytu i rzeczywistości — w najszerszym, a zatem również głębszym, wewnętrznym jej rozumieniu. „Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony..." — to początek aktu poetyckiej wiwisekcji i niezgody. I działania, które nie kończy się w momencie konstatacji, że za murem jest nicość.

Dramatyzm i napięcie dialogowe liryki Bierezina rodzi się z przeżycia braku (czy: niedostatku) kontaktu między ludźmi. Poeta próbuje budować intymne przęsła, mosty, kładki chwiejące się przy każdym stąpnięciu. Rejestruje to, co dzieje się „między nami a nami".

IV. W wierszach Bierezina autorskie, ludzkie „ja" poety wybija się na plan pierwszy, mimo tego, że — i pozostaje tu wiernym uczniem Herberta i Miłosza — szuka dla niego punktów odniesień w naturze, w historii, w innych ludziach. W nich przede wszystkim, mimo tego, że ich opinie często ranią. W jednym z wierszy, opublikowanych w ostatnim zbiorze, powie wprost:

Jedni mówią, że jestem erotomanem.
Drudzy mówią, że naśladuję Hemingway'a.
Trzeci mówią, że to nowy Hłasko.
W salonach mówią, że za dużo piję.
Inni mówią, że jestem byłym bokserem.

Chciałbym raz wreszcie
i po poetycku
oświadczyć:
Odpieprzcie się,
jestem sobą.

Hemingway, Hłasko — te nazwiska nasuwają się z racji barwnej i nieco awanturniczej biografii pisarza; można by dorzucić i inne, które by wpisały Bierezina w określony nurt polskiej tradycji poetyckiej: Andrzeja Bursy, Rafała Wojaczka, Edwarda Stachury. Te nazwiska to hasła wywoławcze nie tyle wspólnoty czy pokrewieństwa poetyckich środków wyrazu, ile podobieństw w zakresie *wykorzystywania własnej biografii jako literackiego tworzywa*. Niektóre wiersze autora „Tylu rzeczy" to, jak sam powiada, „hieroglify mojej krwi serdecznej / owinięte w biały bandaż koperty". To intymne listy — wyznania, adresowane z reguły do określonej osoby (cykl „Niekiedy nad ranem dzwonię do przyjaciół", „Czasem kiedy umieram...", i kilka innych tekstów).

V. Metafizycznym podłożem dramatyzmu, dialogicznego napięcia poezji autora „Tylu rzeczy", — jak mi się wydaje — jest gnostyckie, dualistyczne postrzeganie rzeczywistości. I wynikające z niego przeświadczenie o nieusuwalnej „podwójności" ludzkiej natury, a także świata, kosmosu w którym jednostka egzystuje.

Bóg — podobnie jak u niektórych mistrzów myśli gnostyckiej — istnieje tu poza ziemskim światem, nie ma na jego bieg wpływu. Człowiek w tej sytuacji skazany jest na samotność.

I w obliczu piękna, jak w wierszu „Fioletowe kwiaty jacarandy", pisanym w Australii: „Widzę cię i myślę że to wszystko istnieje / i że zostałem poddany próbie / *przerażającej urody życia*" (podkr. moje); i w obliczu niezwykłości, niesamowitości miasta, wytworu rąk ludzkich — uczuć, które wzbudza w każdym przybyszu Nowy Jork (poemat „Nowy Jork, trzynasty miesiąc roku, godzina dwudziesta piąta"); i w obliczu starego klasztoru w San Esteban, w Salamance, kiedy to:

I było niebo gwiaździste nade mną.
I było prawo moralne we mnie.

I nie poczułem się Bogiem.
Bogiem był ten długowłosy staruszek
nie pogodzony ze światem,
stojący obok mnie i wsłuchany
w śpiżową ciszę dzwonów.

To zakończenie wiersza. W pierwszej jego części czytamy o „gotyckiej, wysokiej samotności Bogów". Oto więc poeta w obliczu arcydzieła architektury, świątyni wzniesionej ku chwale Pana, nie myśli o nim. Myśli o jego samotności. A to, co określa samotność — to brak, czy zerwanie więzi komunikacyjnych z innymi bytami, boskimi czy ludzkimi. Tak więc w miejscu, które przywołuje poczucie harmonii („prawo moralne we mnie") nie rodzi się poczucie jedności, czy utożsamienia z bóstwem. Bogiem jest — drugi człowiek, który stoi obok, „długowłosy staruszek nie pogodzony ze światem".

Bywa więc ów „drugi człowiek" — jak stwierdziliśmy na początku poprzedniej części — źródłem cierpień i przyczyną frustracji i jest zarazem bogiem, a nawet źródłem siły i racją istnienia:

Przyrzekam Ci:
zaraz znajdę siłę,
żeby dalej żyć.
Ponieważ Cię kocham.
Ponieważ boję się śmierci,
mimo,
że jej stale szukam.

Czy można prościej, i piękniej, wyrazić miłość? I w bardziej skondensowanej formie określić zasadniczą rację istnienia? Podobnie jak w poezji innego wygnańca, który przemierzył w swej wędrówce piekło i niebo, miłość „poruszała słońcem i gwiazdami", tak i w poezji Jacka Bierezina *Miłość jest siłą ocalającą i scalającą, integrującą.* Jego erotyki należą do najpiękniejszych w polskiej poezji współczesnej. I myślę tu zarówno o młodzieńczym cyklu „Zbliżeń" z „Lekcji liryki", wierszy zmysłowych i zwiewnych, delikatnych zarazem, wyrażających radość istnienia płynącą z faktu pełnego poznania partnerki miłosnej gry, jak i o bardziej pogłębionej filozoficznie, dramatyczniejszej w wyrazie, liryce z ostatniego zbioru.

Nie piszę listu
Wolę cię słyszeć
gdy wyjesz do księżyca
Nie sięgam po telefon

Wolę cię widzieć
na wilczym szlaku
Nie jadę do ciebie
Wolę cię poczuć
w ranie na skórze
Drżę kiedy drżysz
gdy cię dotykam
na innym kontynencie
w innej epoce
w świecie
miłosnego wilczego tańca.

Oto druga strona miłości, czy namiętności — sadomasochistyczna, destrukcyjna i wyniszczająca. Sięga też Bierezin często do sfer pogranicza między rzeczywistością a snem („Bezsenność, ptaki, wiersz Whitmana", „Bezsenność, jawa, sen"). To, co łączy wszystkie te wiersze — to stały, podmiotowy punkt widzenia, owo podręcznikowe „ja" liryczne, które w swoisty sposób porządkuje płynące z różnych sfer rzeczywistości bodźce. Porządkuje w sposób jasny, klarowny — i czyni to niezwykle sugestywnie. Zarówno sięgając do form krótkich, zawsze celnie spointowanych, czasami na zasadzie kontrapunktu, jak i w wierszach dłuższych opartych na rozbudowanej frazie zdaniowej, która przypomina czasami melodię blues'a w wykonaniu murzyńskich artystów i ewokuje całe ciągi obrazowo-skojarzeniowe:

Chciałbym opisać samotność w Nowym Jorku
Osiemnaste piętro domu na Central Park West
Wyciszone światła Ciemnozielone ściany
Piękny żyjący czarny fortepian
Jak okaz z Muzeum Historii Naturalnej
i balkon z widokiem na księżycowy park
i mleczną drogę Manhattanu
Po północy przychodzi czasem Lechoń i mówi
„Nie rób tego, nie powtarzaj błędów,
i tak powiedzą, że zagrałeś się na śmierć".
W tym mieście miłość jest obok śmierci
bardziej niż gdziekolwiek miłość jest obok śmierci.

(z poematu „Nowy Jork, trzynasty miesiąc roku, godzina dwudziesta piąta", jednego z najlepszych wierszy w omawianym zbiorze).

VI. *„...być agnostykiem i wierzyć w swojego Boga"*, pisze Bierezin w poemacie „Czasem kiedy umieram...", dedykowanym Sylviane. Boga, który jak zauważyliśmy wyżej, „jest samotny" —

ale jawi nam się jako „drugi człowiek"; pod postacią drugiego człowieka. To on właśnie — otwarty na dialog, zdolny do rozumienia i współodczuwania — jest stałym partnerem liryki autora „Tylu rzeczy":

Bronimy naszych terenów łownych i wigwamów
przed kawalerią Stanów Zjednoczonych.
Jesteśmy manichejczykami, którym
nie szczędzą anatem Ojcowie Kościoła.
Bronimy z Rajmundem VI hrabstwa Tuluzy,
naszego królestwa ducha Zachodu i Wschodu,
przed najazdem chrześcijańskich barbarzyńców

— pisze Bierezin w tym samym wierszu. Widzimy już wyraźniej, kto jest owym partnerem jego poetyckiego dialogu — osoba wolna od narodowych i rasowych, religijnych i ideologicznych uprzedzeń. Osoba kierująca się uniwersalnymi regułami, rozumianymi tutaj jako zdolność odróżniania dobra od zła, przemocy od pomocy. I służąca wartościom wspólnym, które łączą, a nie dzielą.

Te zasady — tyleż elementarne co uniwersalne — przychodzi poecie przypomnieć „W czasach niespokojnego słońca", w świecie „któremu wymierzamy sprawiedliwość w wierszach", w obszarze zastanej rzeczywistości, w której — mówi autor „Języka gestów" (ostatecznych) — „widziałem trochę dobra i wiele zła".

To nie poezja umarła
To umarł świat w którym
było miejsce na poezję — powie w innym miejscu —

A mimo to sejsmografy nie zapowiadają na jutro
Generalnego Trzęsienia Ziemi.

Głoszenie pod koniec XX stulecia „śmierci poezji" i tezy o zaniku wyższych wartości kulturalnych w skomercjalizowanym świecie nie jest, rzecz jasna, niczym nowym. To natomiast, co niepokoi w przytoczonym tekście — to pointa, pozornie tylko neutralnie-informacyjna. Owo „a mimo to..." — sugerujące, że ów nowy stan obumarłego, niezdolnego do asymilacji wyższych wartości świata może się okazać trwały, ku powszechnemu zadowoleniu.

„...dni Boga — jak bywało nieraz —/ wydają się być policzone", pisze Bierezin w zakończeniu wiersza „Kiedy zaczyna się noc...". Tutaj jednak, we wtrąceniu „jak bywało nieraz", odnajdujemy wątłą, ale jednak — pociechę.

VII. Inną cechą poezji Bierezina — być może najciekawszą i stanowiącą jej podstawowy wyróżnik na tle zintelektualizowanego głównego nurtu poezji współczesnej — jest jej ściśle osobisty, intymny ton, a także tendencja do zacierania granic między literaturą a życiem, poezją (rozumianą jako rządzącą się własnymi regułami sztuką słowa) a innymi rodzajami wypowiedzi. Wiersze-listy, wiersze-wyznania (często dedykowane określonym osobom), wiersze-oświadczenia to formy do których poeta często sięga. Nie po to, by poszerzyć granice poezji, ale po to by, parafrazując jego słowa, *„w świecie było więcej miejsca na poezję"*.

Kilka cytatów:

Wiesz, to nie jest
kwestia innej perspektywy.
Te rzeczy
rozstrzygają się
między nami a nami.

(„Między nami a nami...")

Wierzę głęboko, że te kilkanaście
Twoich wierszy sprawi
że kilkuset młodych ludzi
pójdzie znowu do więzienia.
Ponieważ trzeba być wiernym.

(„List pisany nocą"
do Zbigniewa Herberta)

...każdy wiersz jest testamentem
(...)
naszych niepokornych uczuć
naszych zakazanych myśli

(„W końcu")

Jacek Bierezin w najpełniejszy chyba sposób w literaturze polskiej ostatnich lat wyraża *romantyczne pojmowanie poezji* jako aktu współ-kształtującego rzeczywistość. W zmaganiu ze światem wiersz jest zarówno narzędziem ekspresji, jak i orężem, służącym do przemieniania go. Jednostka, poeta, nie może w tej sytuacji pozostać jedynie obserwatorem, rejestratorem zjawisk, nie może poprzestać na opisie, ani nawet na ocenie otaczającego go świata. Nie może pozostać z boku, poza sceną. Musi być w jej centrum, personalizując rozgrywające się na jego oczach dramaty. By być wiarygodnym, musi mówić prawdę, co w przypadku liryki oznacza również potrzebę *szczerości*, nawet posuniętej do granic ekshibicjonizmu.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że jeszcze przed książkowym debiutem, pod koniec lat sześćdziesiątych, należał Bierezin wraz z Andrzejem Biskupskim, Jerzym Jarmołowskim, Januszem Królikowskim i Kazimierzem Świegockim do powstałej w Łodzi grupy poetyckiej Centrum. Nawiązywała ona do postulatów Czernikowego *autentyzmu*, akcentując obronę „bardziej etyki pisarskiej niż artyzmu" (z „Komunikatu" programowego grupy z listopada 1967). W późniejszych wypowiedziach i artykułach zasadę maksymalizmu etycznego, obowiązku docierania do prawdy, poezji „wątpiącej i uwikłanej w sprzeczności" wywodził Bierezin raczej z myśli Camusa i pism Kołakowskiego, ale wydaje mi się, że przypomnienie owych młodzieńczych, „autentystycznych" korzeni postawy autora „Tylu rzeczy" jest jak najbardziej na miejscu. Pokazuje bowiem sprawę powrotów Jacka Bierezina w jeszcze jednym wymiarze — tym razem również w wymiarze kontynuacji. Bierezin — kontestator ze zbioru „Wam" powrócił, jako poeta, do zaznaczonego w pierwszym zbiorze nurtu liryki osobistej. Ale pozostał poetą niezgody — na zło, które nas otacza i na zło, które nosimy w sobie.

Konrad W. TATAROWSKI

Odszedł symbol

Z końcem roku 1991 niektórzy polscy antykomuniści ze środowisk intelektualnych poczuli się nagle zubożeni. Zabrakło człowieka, który przez wszystkie lata PRL funkcjonował niezawodnie jako symbol reżimowej antykultury: jako skrajny przykład jej cech obskuranckich, prymitywnych, moralnie i estetycznie odstręczających.

Zmarł Władysław Machejek.

Odszedł symbol. Co można powiedzieć o człowieku?

W krótkich pośmiertnych notkach prasowych powtarzało się określenie „pisarz partyjny"; niekiedy dodawano „czołowy". Jeszcze przed paru laty określenie to dźwięczałoby jak order, dziś oznaczało niedbale zamaskowaną obelgę. Znów było to słowo-symbol.

Machejek jako postać symboliczna wydawał się całkowicie jednowymiarowy. W rzeczywistości był chyba człowiekiem wieloznacznym, bardzo trudnym — wbrew pozorom — do zaklasyfikowania w kategoriach politycznych i etycznych.

Istniał w trzech, wzajemnie się przenikających obszarach: jako pisarz, jako redaktor-publicysta i jako polityczny — gracz? kibic? szara eminencja?

Ocena jego bardzo obfitego dorobku w pierwszej z tych dziedzin budzi najmniej wątpliwości. Pozostanie zapewne na zawsze przykładem literatury kuriozalnej, zawdzięczającej swe publiczne ujawnienie okolicznościom politycznym. Może jakiś życzliwy krytyk wyłowi w niej czasem trafną metaforę lub odniesienie do świata przyrody i życia wiejskiego, charakterystyczne dla autorów ze wsi pochodzących, może oryginalniejszy skrót myślowy — i niewiele nadto.

Najwięcej emocji budził i najszerzej był znany jako dziennikarz: redaktor naczelny *Życia Literackiego*, którym kierował przez prawie całe 40-letnie istnienie tego pisma, oraz autor cotygodniowych politycznych felietonów i niezliczonych artykułów. Właśnie w *Życiu Literackim* szczególnie wyraźnie ujawniła się machejkowa wieloznaczność.

To, co sam pisał, było zazwyczaj koszmarne w sensie moralnym i politycznym. Zawsze wyrażał wrogość wobec tendencji liberalnych, reformatorskich, wobec wszelkich prób demokratyzacji. Zawsze wyczuwało się w jego wypowiedziach sympatię dla tych kierunków, ugrupowań czy osób, które w partii reprezentowały poglądy najbardziej obskuranckie, twardogłowe. Piszę „wyczuwało się", bo Machejek nigdy nie wypowiadał się jasno. Jego osławiony styl świadomie służył maksymalnemu zatarciu sensu, uniemożliwiał jednoznaczne odczytanie. Z tych tekstów nie można było niczego w y c z y t a ć, można było je tylko interpretować, d o s z u k i w a ć się w nich różnych znaczeń. Odrażającą cechą tej publicystyki (pomijając jej formę literacką) było ulubione przez autora ocieranie się o donos, lepkie polityczne aluzje, zakamuflowane pogróżki, jakby z gangstersko-partyjnych, niebezpiecznych przekomarzań. Nie odmawiał też sobie — w tej samej oślizłej, insynuacyjnej formie — wyrażania swych antysemickich i antyklerykalnych obsesji.

A jednocześnie był — jak na warunki PRL-owskie — względnie liberalnym, zręcznym redaktorem naczelnym. *Życie Literackie* miało oczywiście lepsze i gorsze okresy. W tych lepszych dorównywało — rzecz w Polsce wyjątkowa — stołecznym pismom kulturalnym. Miało dobry zespół, a Machejek nie wahał się (wbrew osobistym przekonaniom?) drukować autorów najdalszych komunizmowi (jak np. Jasienica) ani tekstów wyraźnie krytycznych wobec pewnych elementów PRL-owskiej rzeczywistości i dalekich od wskazań Wydziału Prasy KC. Sam zupełnie obojętny sprawom artystycznym, przeznaczał im w piśmie wiele miejsca. *Życie Literackie* dobrze zasłużyło się propagowaniu nowoczesnego teatru i plastyki. W jakiejś mierze przyczyniło się też chyba do humanistycznej edukacji społeczeństwa. Nie było oczywiście trybuną opozycji (oficjalne istnienie takowej było zresztą wówczas niemożliwe), drukowało teksty haniebne — prócz samego naczelnego także jego politycznych kumpli: Krasickiego, Kąkola, nawet samego Moczara i innych partyjnych i UB-owskich dygnitarzy. Ich nazwiska spotykały się „na łamach" z nazwiskami ludzi uczciwych, znanych z liberalnych przekonań. Dopiero r. 1968, a ostatecznie 1981 położył kres tej koegzy-

stencji. Tak typowej dla życia kulturalnego w PRL, a dziś chętnie przemilczanej.

Wreszcie Machejek — *homo politicus*. Tu najwięcej znaków zapytania. Oficjalnie był posłem w wielu kolejnych kadencjach Sejmu i równie wieloletnim członkiem egzekutywy KW PZPR w Krakowie. W praktyce realnego socjalizmu obie te godności dawały ich posiadaczowi jedynie lokalne znaczenie. Faktyczna pozycja Machejka w komunistycznym nieformalnym establishmencie wydawała się być znacznie wyższa i przede wszystkim — zdumiewająco trwała. Nie zachwiała nią żadna ze zmian ekip w ciągu przeszło trzydziestu lat. Zawsze miał dostęp do najwyższych kręgów władzy (z wyjątkiem gen. Jaruzelskiego) i zawsze był przez nie przynajmniej tolerowany. Jako historyczny zabytek? Kombatancki sztandar? *Enfant terrible*? Folklorystyczna osobliwość? Nikt nie znał prawdziwych źródeł niezniszczalnej pozycji Władysława Machejka.

Jego polityczne przyjaźnie, a w jakiejś mierze również partyzancko-ALowskie związki łączyły go zawsze z aparatem MSW i UB. Zmieniali się ministrowie, zastępcy, sekretarze — ale ich kolejni następcy nieodmiennie należeli do machejkowych znajomków. Redaktor *Życia Literackiego* ostrożnie lecz życzliwie kibicował wszystkim intrygom knutym przez to środowisko kolejno przeciw Gomułce, Gierkowi i jego następcom. I zawsze uchodziło mu to na sucho.

Ludzie mu życzliwi — a miał takich, zwłaszcza wśród swych długoletnich redakcyjnych pracowników, choć chyba nie posiadał osobistych przyjaciół, był na to zbyt nieufny i zbyt skryty — uważali go za człowieka dobrego i uczciwego. Dla przeciwników (znacznie liczniejszych) był uosobieniem zła. Wiem, że lubił pomagać, interweniować w czyichś sprawach. Może sprawiało mu przyjemność demonstrowanie w ten sposób swoich możliwości? Słyszałem o jednym człowieku, którego skrzywdził, sprawa była dość zawiła i niejasna.

Pogrzeb miał tłumny, głównie starsi mężczyźni o charakterystycznym wyglądzie. — Zebrałoby się tu kilka składów Komitetu Wojewódzkiego — mruknął ktoś z obecnych. Było wiele przemówień, ciepłych i trochę dziwnych. Nad trumną „czołowego pisarza partyjnego" nikt nie wypowiedział słowa „partia".

Jerzy LOHMAN

Ci, co odeszli

Inka

Dla przyjaciół i dla bliższych znajomych Jadwiga Czechowicz-Mieroszewska była po prostu „Inką". Bezpretensjonalna, pochłonięta pracą i domem, była aniołem-stróżem małego mieszkania, w którym poczesne miejsce zajmowały aparaty radiowe i maszyna do pisania męża Inki, Juliusza Mieroszewskiego.

Cel życia Inki, od związania się z Mieroszewskim jeszcze w czasie wojny, w okresie kiedy Mieroszewski jako żołnierz Drugiego Korpusu redagował pismo *Parada*, przeznaczone dla masy żołnierskiej armii gen. Andersa najpierw na Bliskim Wschodzie, a następnie we Włoszech, był prosty — oszczędzić mężowi wszelkich kłopotów, pozwolić by całą energię mógł poświęcić swym artykułom. Poza tym był jeszcze pies i niedzielne wyprawy na ryby.

Jako bliscy sąsiedzi zaglądaliśmy często do Mieroszewskich na pogawędkę, na wymianę zdań, na zaciągnięcie się dymem fajki nieustannie palonej przez Mieroszewskiego. Łączyło się to ze wspólnymi spotkaniami gości z Kraju. Ktokolwiek bowiem z niezależnej polskiej inteligencji odwiedzał Londyn, nie mógł nie odwiedzić Mieroszewskich. Stworzenie gościnnego dla nich domu, chronienie warsztatu pisarskiego męża było przez wiele lat treścią życia Inki.

Znałem Inkę do jej ostatnich miesięcy, kiedy to już dotknięta poważną chorobą serca, była prawie że unieruchomiona i wychodziła bardzo mało. Ale poznałem ją jeszcze jako młodą dziewczynę, która przetrwała wywiezienie do Rosji i znalazła się w wojsku polskim jako tzw. „młodsza ochotniczka", a następnie żołnierz Pomocniczej Służby Kobiecej. Pracując wtedy w wydawanym w Jerozolimie czasopiśmie *W Drodze*, miałem sposobność drukowania jej wierszy, zebranych następnie w osobnym tomie poetyckim. Głównym ich tonem była tęsknota za Polską, za polskim krajobrazem, za utraconym dzieciństwem,

poczucie nagle zniszczonej młodości. Wejście do pracy wojskowej nadało kierunek dalszemu życiu Czechowiczówny, a zetknięcie się z Mieroszewskim zadecydowało o jej szczęściu osobistym.

W ostatnim okresie życia los ją ciężko doświadczał. Wkrótce po stracie męża, niespodziewanie straciła nagle siostrę, będącą dla niej wielką podporą. Dalsze lata musiała żyć samotnie, pracując w angielskich firmach wydawniczych, a następnie w znanej polskiej księgarni „Orbis", dopóki słabnące serce nie uniemożliwiło jej czynnego życia.

Zdzisław BRONCELL

PRENUMERATY „KULTURY" i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH" W POLSCE

Od 1 stycznia 1992 r. krajowe wydania KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH można zamawiać w prenumeracie w Oficynie Wydawniczej PoMOST (ul. Żwirki i Wigury 51/19; 02-091 WARSZAWA; tel. (0-22) 23 57 16).

Cena prenumeraty KULTURY za rok 1992 wynosi obecnie 125.000 zł (wraz z przesyłką). **Wydanie krajowe KULTURY może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.**

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Oficyna Wydawnicza PoMOST
WARSZAWSKI BANK ZACHODNI S.A.
N° 469995-202-136
z zaznaczeniem: prenumerata KULTURY.

Cena prenumeraty ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH wynosi: za dwa numery kwartalnika 97/1991 i 98/1991 zł 30.000 (wraz z przesyłką); za cztery numery, które ukażą się w 1992 roku zł 80.000 (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na WYŻEJ WYMIENIONE KONTO z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Wydanie krajowe ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Każdy prenumerator krajowego wydania KULTURY czy ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH otrzyma w pierwszej przesyłce w prezencie tom 466 „Biblioteki KULTURY" — „Dziwna wojna" Jakuba Karpińskiego.

Polemiki

Dlaczego przestałem prenumerować „Kulturę"?

31 stycznia 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką przykrością rezygnuję z dalszej prenumeraty *Kultury*. Powód: zbyt wiele niechęci, lekceważenia, nawet pogardy i wrogości w stosunku do religii, a szczególnie do Kościoła Katolickiego. Czasami odnosi się wrażenie jakby Kościół był większym złem czy wrogiem dla Narodu Polskiego niż nawet komunizm. Dlatego musi być zwalczany wszelkimi sposobami: prawdą i nieprawdą. Artykuły pisane przez ludzi o wielkich nazwiskach, katolików, ale zdradzających żenującą nieznajomość własnej religii i własnego Kościoła. Artykuły pisane z wielką napuszonością, w rzeczywistości pełne fałszu i zmyśleń. Odnoszę wrażenie, że przez te artykuły *Kultura* staje w jednym szeregu ze wszystkimi post-komunistami w Polsce, a przede wszystkim z Jerzego Urbana *Nie*, chociaż nigdy tamtego pisma nie czytałem, nie chciałem czytać, nawet kiedy byłem w Polsce. Proszę mi wybaczyć tę bolesną uwagę, ale przecież chodzi o obronę najbardziej podstawowych wartości kulturalnych Narodu Polskiego. A przecież wśród ludzi *Kultury* nie brakuje pisarzy *Kultury* doskonale obeznanych ze sprawami Kościoła i Religii, pisanych obiektywnie, czego dowodem jest świetny artykuł Dominika Morawskiego w styczniowym numerze *Kultury* tego roku.

Jeszcze raz proszę o wybaczenie za wszystko, co piszę, ale jest tak bardzo wiele rzeczy w *Kulturze*, które bolą, a nawet, za które trzeba się wstydzić, bo to przecież piszą katolicy, za takich przynajmniej się podają.

Łączę wyrazy szacunku

o. Albert OSTATEK

Szanowny Panie Redaktorze,

Przysłał mi Pan kopię listu ks. Ostatka, stwierdzając przy tym, że ten list bardzo Pana zmartwił, gdyż ks. Ostatek był jednym z najstarszych prenumeratorów *Kultury*. Okazuje się jednak, pisze Pan dalej, że to nie wystarczyło do zorientowania się w linii pisma, i wskutek tego lata redaktorskiej pracy wydały się Panu przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę. Z faktu, że Pan list przysłał do mnie (między innymi?) wynikałoby, że uważa mnie Pan za współ-winnego tego stanu rzeczy. Ma Pan w tym chyba rację. Nie mam większych wątpliwości, że zarzuty autora wobec linii pisma, oskarżenia o niechęć i nawet wrogość do Kościoła Katolickiego, są w dużej mierze, choć zapewne nie wyłącznie, skierowane do mnie. Mnie zatem z tego powodu jest równie przykro jak Panu. Przykro mi uchodzić za wroga Kościoła, w którym się wychowałem, którego członkiem nadal jestem i któremu w miarę moich sił i zdolności z całego serca pragnę służyć. Przykro mi być stawianym w jednym szeregu z Jerzym Urbanem (ja tego jego *Nie* też nigdy nie miałem w ręku i podobnie jak ks. Ostatek nie zamierzam mieć) i z innymi post-komunistami; nie mówiąc już o posądzeniu mnie o żenującą nieznajomość własnej religii i złośliwe produkowanie fałszów i zmyśleń (zakładając oczywiście, że to wszystko też do mnie się odnosi).

Skąd się to wszystko wzięło? Oczywiście jest w moich artykułach wiele elementów krytycznych, bo widzę wiele rzeczy złych, które pilnie wymagają naprawy. Ale czy ks. Ostatek nigdy nie zauważył w nich elementu wiary i pozytywnego zaangażowania i troski o Kościół? Czy wytknął mi kiedykolwiek rzeczowy błąd (jak przynajmniej jeden inny czytelnik, przyznałem się wówczas do pomyłki) albo istotną czy domniemaną niesprawiedliwość (jak to robią czasem niektórzy czytelnicy)? Czy zechciałby mi udowodnić wrogość wobec Kościoła albo sprzyjanie komunistom czy post-komunistom?

Myślę, że przyczyną nieporozumienia jest to, że nieco inaczej wytyczamy linie przedziału między tym co w Kościele jest boskie a tym co ludzkie, między tym co jest święte i nietykalne a tym co może podlegać zmianom i adaptacji (*aggiornamento*), a zatem może także, i nieraz powinno, podlegać krytyce. Wszyscy uznajemy istnienie takiej linii, ale nie jest ona nigdy jednoznacznie palcem Bożym wykreślona i o tyle jest kwestią naszej zarówno indywidualnej jak i wspólnotowej (kościelnej) odpowiedzialności. Ale ta linia, jakkolwiek wytyczona, przebiega zawsze wewnątrz Kościoła i jest całkiem różna od tej (może jeszcze bardziej tajemniczej), która oddziela Kościół od tego co już

Kościołem nie jest, powiedzmy, od tych co są wobec niego obojętni czy aktywnie wrodzy. Należę do tych, którzy tkwiąc mocno i głęboko wewnątrz Kościoła — uważają, że jest naszym obowiązkiem aktywny współudział w trosce o kształt i misję Kościoła we współczesnym świecie i że jedną z form tej troski (inną jest np. modlitwa) jest otwarta i odpowiedzialna debata na temat problemów, przed jakimi Kościół w tym szybko zmieniającym się świecie stoi. Ta debata, która zawsze w Kościele istniała, ale szczególnie rozkwitła po ostatnim soborze, jest za obecnego pontyfikatu surowo, zdaniem wielu zbyt surowo, kontrolowana i ograniczana w obawie, że przynosi ona więcej szkód niż pożytku. Niemniej trwa ona nadal z niezmniejszonym bodaj wigorem. W konsekwencji kwestia wolności wewnętrzno-kościelnej debaty stała się teraz jej centralnym problemem, w otoczce szeregu konkretnych szczegółowych problemów.

To co się obecnie dzieje w Kościele polskim i co stanowi szczególną troskę ks. Ostatka jest swoistym wycinkiem szerszej ogólno-światowej debaty. Do niedawna w warunkach totalitarnej opresji wszelka krytyka wewnętrzno-kościelna w Polsce była podporządkowana naczelnemu zadaniu walki o ludzką godność i wolność, której Kościół był głównym katalizatorem. Teraz ta sytuacja uległa zmianie. Zdaniem wielu ludzi Kościoła i spoza Kościoła zmianie uległy nie tylko zewnętrzne okoliczności (bo znikł komunizm), ale także priorytety moralne wewnątrz katolickiej hierarchii. Wskutek tego sprawa tych priorytetów w sposób naturalny stała się przedmiotem wewnątrz-kościelnej debaty i krytyki. To wcale nie znaczy (w każdym razie nie musi znaczyć), by ludzie walczący pod egidą Kościoła o wolność i godność ludzką nagle przedzierzgnęli się we wrogów Kościoła. Wprost przeciwnie, postępują oni (przynajmniej w wielu wypadkach) w myśl tych samych zasad, które Kościół nauczył ich cenić i które znalazły tak jasny i piękny wyraz w soborowej deklaracji o wolności religijnej. Jeśli choćby tylko część krytyków Kościoła tymi zasadami się kieruje, to warto chyba posłuchać co mają do powiedzenia i nie odpisywać ich zbyt niecierpliwie na straty do obozu Jerzego Urbana.

Z moich artykułów widać, jakie jest moje stanowisko w obu tych debatach, światowej i polskiej. Stanowisko ks. Ostatka jest ewidentnie odmienne. Czy to znaczy, że nie ma możliwości porozumienia pomiędzy nami? Nic podobnego. Obaj pragniemy służyć sprawie Chrystusowej w świecie czyli Kościołowi. Ja też, jak o tym usiłowałem ks. Ostatka przekonać. Chciałbym go również przekonać, że jestem gotów każdy mój pogląd poddać rewizji, jeśli mi ktoś wykaże, że ten a ten mój pogląd jest błędny. (Co mi po błędnych poglądach?, jak w podobnej sytuacji powiedział mój przyjaciel). Mam nadzieję, że nie powstrzyma

mnie od tego fałszywa duma czy ledwo uświadomione przesądy. Ale to znaczy, że droga do porozumienia (które na tym padole chyba nigdy nie będzie kompletne) prowadzi przez dalszą debatę. Innej drogi nie ma. Nie ma jej w każdym razie w naszych czasach, jeśli kiedykolwiek istniała w przeszłości. Zwłaszcza w Kościele mamy dziś za sobą epokową deklarację soborową o wolności religijnej (*Dignitatis Humanae Personae*). Na tym zasadza się wolność religijna: że nikogo nie można do wiary zmusić jak tylko mocą przekonującego argumentu (choć niekoniecznie musi to być argument natury intelektualnej). Na tym *mutatis mutandis* zasadza się też każda inna wolność. I śmiem powiedzieć, że na poszanowaniu wolności i przekonującego argumentu opiera się linia redakcyjna *Kultury*.

Antoni POSPIESZALSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie Bankructwo. — Rozpad. — Odrzut organizmu. — Komunizm handlowy. — Kompromitacja praktyki. — Agonia komunizmu* oraz *Posłowie*.

Str. 276. **Cena F. 145,00.**

●

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciała

Str. 448. **Cena F. 220,00.**

Z ostatniej chwili

Obrazki z Ukrainy

W samolocie z Kijowa do Lwowa ścisk. Jest zimno i wszyscy siedzą w grubych waciakach. Bagaż trzeba sobie samemu wyławiać ze stosu walizek i toreb, ale kontrola numerków jest bardziej drobiazgowa niż w stolicy. „Galicjacy zawsze byli drobnostkowi, jak Austriacy" — zauważa mój przygodny sąsiad. Choć pochodzi tak samo jak i ja z Kołomyi, już od wielu lat pracuje w Kijowie i przesiąkł tamtejszą mentalnością „szerokiego" stylu. W hali dworca lotniczego, zbudowanego z wdziękiem epoki stalinowskiej, z sufitem gdzieś pod niebiosami i kolumnowym wystrojem, chłodno, szaro i biednie. Przed lotniskiem nieduży, zaniedbany skwerek. Kręcą się bezdomne psy, szeleszczą kolorowymi spódnicami Cyganki, takie jakie pozostały we wspomnieniach z dzieciństwa, a przed budą z piwem podróżni i miejscowi popijają z dużych prawdziwych kufli piwo. Scena jak z przedmieścia Wiednia lub Monachium. Trochę dalej Cyganie grzeją się przy ognisku, a milicjant udaje, że ich nie widzi. Ale ledwie wsiadłem do taksówki, stróż porządku sprawdza u kierowcy dokumenty. Widząc moje zdziwienie, tłumaczy: „Tutaj kradną auta jak złoto. Musimy sprawdzać papiery". Kierowca klnie po cichu na władzę. Papiery są w porządku i ruszamy prostą, nudną ulicą do centrum miasta. Przeprasza, że nie umie po ukraińsku i psioczy po rosyjsku na milicję. „Niech im Pan nie wierzy. Oni udają aniołów, a w rzeczywistości biorą łapówki, gdzie się tylko da. Pracują z mafią złodziejską". A potem, patrząc spode łba, rzuca nagle ni stąd ni z owąd: „Będziecie nas wyrzucać ze Lwowa? Co ja jestem winien, że rodzice tu przyjechali i mnie ukraińskiego nie nauczyli. Ja nie znam Rosji i nie chcę do Rosji. Ja kocham Lwów, a jak mnie wyrzucicie, to umrę z tęsknoty". Próbuję go uspokoić i perswaduję: „Ja sam nie jestem stąd, ale o ile wiem, to nikt nie ma takich zamiarów... A skąd Wy macie takie informacje?" „Słyszałem od syna

sąsiada. Jego ojciec jest oficerem. Słuchy takie chodzą po ludziach". Ojciec taksówkarza jest inwalidą wojennym. Przywieźli go pokiereszowanego pod koniec wojny spod Berlina do lwowskiego szpitala wojskowego. Zakochał się w siostrze miłosierdzia. Został. Rosjan we Lwowie na blisko już milion mieszkańców jest chyba około dwustu tysięcy. Są podzieleni, większość żyje we własnym getcie, zupełnie izolowana od pulsującego życia społecznego Ukraińców. Mniejszość, zorganizowana w towarzystwach i klubach, integruje się ze społeczeństwem ukraińskim, współpracuje z ukraińskimi instytucjami. Tylko nieznaczna część z wierchuszki kolonizacyjnej po upadku komunizmu i imperium, ta która brała aktywny udział w dziele przegranej z kretesem rusyfikacji, odpływa cichaczem do Rosji.

Jedziemy przez miasto. Dzwonią rozklekotane czerwone tramwaje, poruszające się pomiędzy żółtymi fasadami domów. Po Kijowie wszystko tu jest zupełnie inne. Stolica Ukrainy to pyszna metropolia, imponująca przeszłością mocarstwa i rozmachem teraźniejszości, a Lwów to piękna, barokowo-secesyjna prowincja galicyjska. Tylko społeczeństwo zupełnie inne. W Kijowie przeważa typ na wskroś miejski, powiedziałbym stołeczny, przejawiający się przede wszystkim w gracji smukłych kobiet. We Lwowie przeważa typ urody i postawy wiejskiej, przemieszczonej niedawno na grunt środowiska miejskiego. Tu po katastrofie wojennej, wymordowaniu Żydów, wysiedleniu Polaków i wywózce na Sybir i ucieczce na Zachód starej lwowskiej inteligencji ukraińskiej, rozegrała się w ciągu ostatniego półstulecia historyczna walka o przyszłe oblicze i ducha tego miasta. Walka pomiędzy napływową warstwą kolonizatorów rosyjskich i okoliczną wsią ukraińską, która w niezorganizowany, spontaniczny sposób wzięła na siebie brzemię zmagań o uratowanie i zdobycie Lwowa dla Ukrainy. Ci młodzi ludzie, którzy mimo luk spowodowanych dwukrotną nawałą wojenną, przemarszów obcych wojsk, wyruszyli z wciąż jeszcze przeludnionej wsi podkarpackiej na wielką historyczną przygodę lwowską, dokonali cudu. Wsparła ich rzesza Łemków, wysiedlonych z Polski, którzy w ciągu lat w przeciwieństwie do uciśnionej i właściwie rozgromionej pozostałej części w Polsce, doczekali się społecznego i kulturalnego awansu i dzisiaj należą do nowej elity ukraińskiej na zachodnich rubieżach państwa.

Dwukrotnie zetknąłem się naocznie z tym fenomenem. Wieczorem w kapiącym aż do nudności od złota, odrestaurowanym Teatrze Operowym zebrało się wszystko, co ma teraz imię i znaczenie we Lwowie. Jest święto jubileuszu Zachodnio-Ukraińskiej Republiki. Ostatni weterani Ukraińskiej Armii Halickiej wnoszą zachowane gdzieś sztandary. Połączone chóry lwowskie i huculskie śpiewają hołd dziękczynny za spełnienie

snów o wolności, artyści deklamują metafizyczne wiersze Małaniuka, a baryton z dalekiego Dniepropietrowska śpiewa stare dumy kozackie. Rozglądam się po lożach i po parterze. Tylko tu i ówdzie jakiś luminarz starych rodów jak Kołęsa. Nie ma nikogo z dawnych klanów Kruszelnyckych, Rudnyckych, Radzykiewiczów, Ochrymowiczów, Łewyćkych, a z Szuchiewiczów pozostał jak chodzący symbol niedawnych cierpień i prześladowań ociemniały w łagrach syn legendarnego wodza Ukraińskiej Armii Powstańczej, Romana Szuchewycza-Czuprynki, Jurij, który od małego do dorosłego życia wszystkie lata przeżył w gułagu.

Ten sam widok i te same przeżycia na Uniwersytecie i w redakcjach gazet. Cała dziesięcioleciami prowadzona systematycznie z Moskwy akcja rusyfikacji wyższego szkolnictwa zniknęła z Uniwersytetu i Politechniki w ciągu jednego roku. Rektor Waraczuk i jego zastępcy, dziekani i asystenci wspominają te czasy jak jakiś upiorny sen. Z wdzięcznością opowiadają ukraińscy matematycy o szlachetnej postawie ich dawnego nauczyciela i mistrza, Bohdana Ławruka, który jako Polak walczył mężniej niż niejeden miejscowy „patriota" o ukraińskie oblicze uczelni.

Nowe elity tkwią jedną nogą w miejskich strukturach i obowiązkach, a drugą nadal jeszcze w środowisku wiejskim. W rozmaitych porach roku podczas nasilenia prac na roli, trudno znaleźć profesorów, inżynierów albo redaktorów. Są albo przy sianokosach, albo przy żniwach, albo przy wykopkach buraków i ziemniaków. Nawet w betonowych wieżowcach w nowych dzielnicach Lwowa dzień powszedni zaczyna się od piania kogutów i szczekania psów.

Zanim Kijów ocknął się z narodowego letargu, Lwów odegrał rolę budzicielską. Tutaj ostało więcej substancji, chociaż w dziele odnowy odznaczyli się nie tylko autochtoni. Już od 1939 roku trwa proces integracji naszych „zachodniaków" ze „wschodniakami" i choć jeszcze daleko do zupełnego zaniku różnic nie tylko dzielnicowych, ale przede wszystkim historyczno-charakterologicznych, głęboko i od dawna zakodowanych odmienności mentalnych, to jednak w teraźniejszym odrodzeniu, zapoczątkowanym we Lwowie, odegrali znakomitą rolę również działacze ze „Wschodu". Prototypem tej elity jest niewątpliwie Wiaczesław Czornowił: dawny publicysta i wydawca podziemnego pisma dysydentów *Ukraińskyj Wisnyk*, długoletni więzień gułagu, jest już od kilku lat wojewodą lwowskim.

Ale ani Czornowiłowi, ani podobnym do niego politykom nie udało się w pełni zdemokratyzować życia politycznego. Na boku pozostał dość poważny margines prawicowy, hołdujący ideom radykalnego nacjonalizmu spod znaku OUN Bandery.

Pozostałe dwa kierunki są bardziej umiarkowane, ale np. tzw. melnykowcy nie zdołali zdobyć sympatii na lwowskim terenie, za to zdają się mieć przewagę na Wołyniu i na Bukowinie, a tak zwani „dwójkarze" i grupa „Prologu" czy Głównej Rady Wyzwoleńczej, którym na emigracji udało się pozyskać wielu intelektualistów, w ogóle nie potrafili zdobyć gruntu pod nogami w kraju. Nikt też nie zdobył się na ujawnienie całej prawdy o źródłach i rozwoju ukraińskiego totalitaryzmu, jego wczesnych powiązaniach z włoskim faszyzmem i kontaktach z niemieckim narodowym socjalizmem. Z ogólnej niewiedzy odrodził się mit zdawałoby się zupełnie zamierzchłej ideologii. Czytając pismo nacjonalistów *Derżawnist* („Państwowość") ma się wrażenie, że świat się cofnął w rozwoju co najmniej o pół wieku. Wina w tym zarówno słabego środowiska demokratów, jak też niezależnej prasy. Nacjonaliści uprzedzili zresztą demokratów, wydając już na początku *pieriestrojki*, kiedy we Lwowie mogły legalnie ukazywać się tylko pisma komunistyczne, własne broszury propagandowe, drukowane przeważnie w Wilnie lub w Kłajpedzie. Od 1990 roku sytuacja się zmieniała: obok oficjalnych pism partyjnych *Wilna Ukraina* i *Lwowskaja Prawda* zaczęły wychodzić: najbardziej chyba liberalny tygodnik *Postup*, a potem dziennik *Za Wilnu Ukrainu*, zapowiadający szumnie, że wstąpi w ślady *Diło*, sławnego organu partii UNDO sprzed drugiej wojny światowej, następnie drugi dziennik, również z liberalną naprzód tendencją, *Mołoda Hałyczyna*, i wreszcie tygodnik *Ratusza*, który z miejsca wziął kurs narodowy. Wkrótce z ambicji pierwszego pisma i z tendencji drugiego dziennika mało co zostało. Z czasem zaczęły ukazywać się inne czasopisma, przeważnie gospodarcze, jak *Hałyćki Rynki* czy też *Diło*, które przyszyło sobie zupełnie niesłusznie zasłużony historyczny tytuł, bo zajmuje się reklamą. Dawne pismo literacko-społeczne *Żowteń* („Październik") przemieniło się (również w treści) na *Dzwin* („Dzwon").

Nieudany pucz i ogłoszenie niezawisłości Ukrainy zmieniły sytuację prasy. Upadły pisma komunistyczne *Lwowskaja Prawda* i *Wilna Ukraina*, choć ostatnia czyni wszystko, aby znowu wejść jako niezależna gazeta na rynek. Na miejsce *Lwowskiej Prawdy* ukazuje się obecnie dla Rosjan dziennik *Wysokij Zamok* o nakładzie 80.000. *Za Wilnu Ukrainu* drukuje 230.000, *Mołoda Hałyczyna* 230.000, a *Ratusza* 18.000. Dawny *Postup* zmienił nazwę na *Post-Postup* i ma nakład 15.000 przy liberalnym, ale dość mętnym kursie. Radykalnie zmniejszyła się sprzedaż centralnych gazet z Moskwy, a z Kijowa rozchodzi się trochę dzienników jak *Hołos Ukrainy*, *Mołod Ukrainy* i przekabacona na niby niezależną gazetę dawna oficjałka partii komunistycznej, *Radjańska Ukraina*, zwana obecnie *Demokratyczną Ukrainą*.

Życie polityczne w dobie ostrego kryzysu gospodarczego

przestało płynąć rzeką wieców i zebrań i sączy się wąskim strumykiem. Partie, jak wszędzie, cierpią na niedostatek zwolenników. Ludzi zmęczyły nieustanne manifesty i deklamacje, stojące w jaskrawej sprzeczności z brakiem jakichkolwiek konkretów. Wyczerpały się stare argumenty, a nowych, które by przyciągały społeczeństwo, nie widać. „Ruch" był już od dawna rozdzierany pomiędzy realistami i demagogicznymi krzykaczami, zaś partie polityczne, które odgrywają w Kijowie przewodnią rolę, a więc Republikańska i Demokratyczna, tutaj są raczej nikłe. Nacjonaliści też się nie zdobyli na zbyt duży odzew w społeczeństwie. Działają w rozmaitych grupkach i są zrzeszeni w tak zwanym „Międzypartyjnym Zgromadzeniu", które uchwala buńczuczne rezolucje i w cyrkularzach wypina sztuczne muskuły. Kiedy jednak doszło do konfrontacji w wyborach prezydenckich we wszystkich trzech regionach, a więc lwowskim, iwano-frankiwśkim (dawnym stanisławowskim) i tarnopolskim nie udało się zebrać na kandydata Szuchewycza przepisowego minimum w postaci stu tysięcy podpisów. W ten sposób ujawniła się blaga nacjonalistyczna.

Najgorzej jednak jest tam, gdzie z nadrzędnego punktu widzenia winno być najlepiej: na polu religijnym. Oto przykład z życia. Jadę do mieściny Janów pod Lwowem, która teraz ma nazwę Iwano-Frankowo, aby obejrzeć cerkiew, którą wybudował ojciec mojej żony przed wojną. Cerkiew okazała się dobrze utrzymana, bo przez ostatnie lata była w gestii Patriarchatu Moskiewskiego. Jakaś kobiecina służy informacją: „Jakby Pan był przyjechał przed kilkoma dniami, to by Pan widział, jakżeśmy przepędzali tego prawosławnego batiuszkę. W samej tylko koszulinie uciekł opłotkami" — uśmiecha się na oścież złotymi zębami. I dodaje, pokazując na dom nieopodal: „teraz musi tam w tym domku odprawiać nabożeństwa dla swoich". Niedaleko widać rusztowania na neogotyckim kościele. Pytam co to takiego. „A to Polacy odbudowują swój kościół. Jest ich tu tylko pięć rodzin, ale przyjechał jakiś biskup z Polski i powiedział, że muszą mieć własny kościół. Pieniądze idą tyż z Polszczi". Pośrodku miasteczka w pięknym choć niedużym parku wyrąbują drzewa. Pytam drwali, po co. „Tu będzie stała duża cerkiew dla naszego Autokefalicznego Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego". O Boże, myślę po cichu, dlaczego nie sprawisz, żeby ci wszyscy skłóceni na śmierć i życie chrześcijanie mogli się modlić w jednej świątyni jeśli nie razem, to na zmianę. Z Janowa wyjeżdżam w posępnym nastroju i tylko dwie opuszczone synagogi żegnają mnie niemym spojrzeniem, patrząc markotnie na niezgodną konkurencję. O nie nikt się nie sprzecza. Z wielotysięcznej rzeszy janowskich Żydów pozostał tylko jeden. Stoi teraz w zachodzącym słońcu przed zakładem fryzjerskim,

jedynym prywatnym przedsiębiorstwem całej okolicy, i kiwa ręką na pożegnanie.

Hierarchia wyznaniowa też nie przedstawia się najlepiej. Z jednej strony kardynał Lubaczywśkyj ze swoją świtą z Rzymu i Bazylianie, a z drugiej strony metropolita Sterniuk ze swoimi biskupami i prałatami, którzy przeszli przez gehennę Kościoła w podziemiu. Nie lubią się wzajemnie. Miejscowi nazywają tych, co przyjechali ze stolicy Piotrowej „Rzymusiami" (po ukraińsku *rymszczyki*). Kłócą się w sprawach liturgii. Miejscowi skłaniają się do obrządku prawosławnego i zarzucają „Rzymusiom" że usiłują kościół greckokatolicki zlatynizować. Podobno takie tendencje najsilniej występują w diecezji Iwano-Frankiwśkiej. Jeśli tak, to jest to — do pewnego stopnia — kontynuacja prądów, które tam przed wojną reprezentował biskup Chomyszyn. A we Lwowie na górce Świętego Jura obydwaj starsi panowie, kardynał Lubacziwśkyj i metropolita Sterniuk, zatruwają sobie życie dąsami. Cierpi na skutek tego całość spraw religijnych, leży odłogiem odnowienie teologii, niedoceniany jest ruch laickiej inteligencji greckokatolickiej, organizowany przez niestrudzonego Hucuła, Iwana Hreczkę. A ponad wszystkim wisi wciąż nad całą dawną Galicją jak kara Boska ropiejący wrzód konfliktu pomiędzy unitami i prawosławnymi z odrodzonego Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego pod przewodem patriarchy Mścisława. Bieda w tym, że obydwie hierarchie nie zasiadły dotychczas do stołu konferencyjnego i że cała prasa ukraińska unika analiz i komentarzy na ten temat, jakby był trefny, i nikt z polityków nie ma odwagi podjąć śmiałej inicjatywy budowania mostów pomiędzy rozswarzonymi Kościołami. A po wsiach i miasteczkach pogłębia się przepaść nienawiści religijnej.

W powrotnej drodze mały postój. W gaju odległym o kilometr od szosy rząd eleganckich dacz dawnego kierownictwa komunistycznego. Przywieziona w ramach akcji kolonizacyjnej spod Kurska, dziś już zukrainizowana Rosjanka oprowadza mnie po opustoszałych willach byłej nowej klasy. To tutaj pławiła się w rozkoszach drobnomieszczańskiego przepychu połowica sekretarza partii Dobryka, przezywana przez czerwone dwórki „Kobrą". Za rok, jak da Bozia, przyjadę zobaczyć, czy sprawdzi się przepowiednia dozorczyni z lasku, że „ta nowa nomenklatura już czyha na dacze".

Nazajutrz odlot do Kijowa. Choć lecę wewnętrzną linią do Żulanów, podmiejskiego lotniska stołecznego, jakaś wiedźma przy kontroli żąda paszportu. Odmawiam. Babus grozi, że mi

jeszcze pokaże. Odpalam z miejsca „Niech mi Pani na Boga nic nie pokazuje, bo się Pani wdzięków przestraszę". Krzyk, pogróżki, przychodzi dowódca lotniska i zapowiada, że unieważnia bilet za karbowańce i żąda zapłaty walutą. Odmawiam. „No to Pan nie poleci". „No to będzie awantura z ministerstwem, które mnie zaprosiło". „Gwiżdżę na ministerstwo". I powtarza: „Pan tym samolotem nie poleci". Na co ja: „A ja Panu gwarantuję, że Pan poleci, ale z posady". Dowódca znika gdzieś z biletem. A przede mną piękne widowisko. Maszeruje nasze wojsko. Okazuje się, że to jednak milicja. Kiedy wyciągam aparat fotograficzny, w kieszeni błyska mi blic. Przylatuje dowódca: „To jest szpiegostwo, fotografować obiekty wojskowe z kieszeni, to niesłychane. Ja panu odbiorę film i pojedzie Pan do swojej Kanady bez filmu". A ja, świeżo upieczony „Kanadyjczyk", oświadczam spokojnie: „Jak nie będzie filmu, to nie będzie kredytów". Dowódca zaczął myśleć: „A jak oddam film, to będą kredyty?" „Będą" — odpowiadam, dowódca oddaje paszport i zwraca bilet. Wiedźma odwraca się do mnie tyłem.

W Kijowie na Żulanach nie wyładowują bagażu. Każdy musi szukać swoich rzeczy w brzuchu samolotu i nieść je aż do poczekalni. Za to nie ma żadnej kontroli. W taksówce siadam koło szofera. Nagle z tyłu wynurza się trzeci. Widocznie leżał w ukryciu. Aha, myślę sobie, pewnie mafia. W Kijowie są co najmniej dwie lub trzy mafie. Najpotężniejsze to kaukasko-czeczeńskie. Mają w garści handel walutami, narkotykami, bronią i bazary warzywniczo-owocowe. „Kup Pan złoto — odzywa się ten trzeci. — Bardzo tanio, najtaniej w całym Kijowie". A ja na to: „Odczep się Pan, ja siedzę na workach ze złotem i nie mogę nigdzie opylić". Facet znowu: „A diamenty? Mam całą kolekcję". Ja: „A ja mam pełne mieszkanie tego towaru, ale nie idzie". Gość się zasmucił, potem rzuca nową propozycję: „Kup Pan dla żony *souvenir*". I pokazuje zegarek oficerów wojsk pancernych. Ogromna ciężka cebula z wizerunkiem czołgu. „Drogi Panie, ja jestem pacyfistą a moja żona drobna kobieta, i też nienawidzi takich rzeczy". Ale tak mnie nagabywał, że wreszcie kupiłem zegarzysko za dziesięć marek. Wieczorem założyłem zegarek i udałem się do hotelowego baru. Wnet przypłynęła urodziwa „walutówka", usiadła obok, zerknęła na moją cebulę i pyta: „Toś ty wojskowy? Generał czy co? Tu służysz?" A ja: „Nie generał, zwykły pułkownik, w Niemczech służę. Rozwiązują mój pułk". Ona: „No co z nas dzisiaj będzie?" Ja: „Złotko, nic nie będzie, nie mam pieniędzy". Ona z pyskiem: „Możesz bujać, ale nie mnie. Tysiąc dwieście mareczek dostajesz tam na rękę. Brat mój też służy, wiem dokładnie". Brat nie brat, wymówiłem się grzecznie, że wszystko przegrałem w karty.

Rankiem spacer po mieście. Od ostatniego pobytu wiele się

zmieniło. Brakuje benzyny, więc środki lokomocji nawalają. W sklepach jeszcze mniej towarów. Przejście na kupony sprawiło, że chaos pieniężny dodatkowo się pogłębił. W kancelariach ministerstw twierdzą, że kupony były nie do uniknięcia, gdyż Moskwa przestała przysyłać banknoty rublowe. Gazety ledwie zipią. To samo z benzyną. Rosja nie dostarcza papieru. W Donbasie kopalnie stanęły, bo nie ma drewna do szybów. Dotychczas przychodziło również z Rosji. Zacznie się więc wyrąb lasów karpackich. Wszystko to razem plus apetyty na Flotę Czarnomorską we władaniu Rosji i podsycanie prądów separatystycznych wiedzie wprost do odrodzenia nacjonalizmu ukraińskiego i do tendencji nawołujących do wystąpienia Ukrainy ze Wspólnoty Państw Niezależnych.

Wędrując po ulicy Wołodymyrskiej, dotarłem do ogromnego szarego budynku, gdzie dawniej mieściła się siedziba KGB. Teraz zniknęły szyldy na fasadzie. Przybyła za to płyta pamiątkowa, przypominająca że tu w 1918 roku urzędował historyk i polityk Hruszewskyj. Wchodzę do środka, sprzątaczka wyciera parkiety, pytam z głupia frant: „Co to za instytucja tutaj?". Babina się śmieje: „A czort wie, co to jest. Zapytaj Pan tego oficera, co stoi". Podchodzi młody major, w podskokach, uśmiechnięty, usłużny, cukierek. Powtarzam pytanie. Odpowiedź podobna: „Gdyby Pan mi powiedział, gdzie jesteśmy, byłbym wdzięczny. Na razie wszystko jest nierealne. Jedyne co realne, to ów napis na ścianie: 'Prosimy nie palić' ". „A do archiwów można się dostać?" „Oczywiście że można, ale tym się zajmuje Arkadij Wasylowycz, a jego teraz nie ma!"

Wędruję dalej, koło barokowej turkusowej cerkwi Św. Andrzeja, w której pod koniec wojny wyświęcono potajemnie polityka i krewnego Petlury, byłego posła na Sejm Stepana Skrypnyka na biskupa Kościoła Autokefalicznego, obecnie patriarchę Mścisława. Niedawno spotkaliśmy się w rezydencji Jego Świątobliwości. Narzeka na bóle w nodze. To stara rana z 1919 roku, kiedy walczył pod Korosteniem przeciwko czerwonej nawale w wojsku ukraińskim razem z armią polską. Teraz patriarcha otrzymał wysokie odznaczenie polskie. Ale główna troska głowy Kościoła Autokefalicznego to brak biskupów. Właśnie odbywa się Synod, poświęcony uporządkowaniu spraw hierarchii i kleru. A co będzie, kiedy patriarchat rosyjski zgodzi się na propozycję metropolity Filareta, dotychczasowego zwierzchnika oficjalnego ukraińskiego Kościoła prawosławnego podlegającego jurysdykcji moskiewskiej, aby nadać temu Kościołowi przywilej autokefalii? Czy dojdzie do zjednoczenia? „Zobaczymy — choć nie wierzę, aby Moskwa na to poszła. A jeżeli istotnie Filaret dopnie swojego, to i tak będzie musiał po zdemaskowaniu go jako długoletniego agenta KGB odejść" — komentuje sytuację patriarcha.

A jaka jest sytuacja, jeśli chodzi o parafie? Patriarcha pokazuje mi najnowszy numer czasopisma *Ukraińska Kultura* ze statystyką. Według tych danych ogółem na Ukrainie istnieje około dziesięciu tysięcy rozmaitych parafii czy gmin wyznaniowych. Połowa z tego przypada na Kościół, podlegający dotychczas Moskwie. Kościół Autokefaliczny posiada około tysiąca parafii. Grekokatolicy mają dwa tysiące parafii, rzymskokatolicy kilkaset, baptyści posiadają ponad tysiąc parafii, pięćdziesiętnicy — pięćset, adwentyści — dwadzieścia. Kościół luterański reformowany — sto, starowiercy — około pięćdziesięciu. Jest też 23 gmin żydowskich i 14 ośrodków muzułmańskich.

Po drodze do hotelu przystanek w biurach prezydenta w tym samym gmachu przy dawnej ulicy Ordżonikidze (obecnie Bankowej) gdzie mieściła się siedziba Komitetu Centralnego partii komunistycznej, gdzie prezydent Krawczuk spędził wiele lat na pracy partyjnej, a teraz z „braku laku", musiał wziąć pod swój nowy urząd. Krawczuk jako wytrawny szachista buduje układ władzy prezydenckiej krok po kroku. Wyposażony w nowe pełnomocnictwa, zmienia radykalnie administrację likwidując system rad i wprowadzając instytucję swoich pełnomocników, podobnych do wojewodów w przedwojennej Polsce. Podejrzewam, że Leonid Makarawycz, który włada polskim, zagląda do podręczników o systemie władzy i konstytucji w przedwojennej Polsce. Stworzył sobie coś w rodzaju osobistego super-gabinetu pod nazwą Dumy Państwowej i pragnie się oprzeć na masowej organizacji państwowo-twórczej. Przyświeca mu myśl solidaryzmu państwowego, coś w rodzaju Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Prezydentem, podobnego do idei Piłsudskiego w postaci BBWR. Stąd podobna niechęć do partyjniactwa i do parlamentu. Aby stworzyć taki blok oparcia, Krawczuk powołał do życia instytucję Okrągłego Stołu, czyli pozaparlamentarne ciało kolegialne, i chce się oprzeć o struktury „Ruchu". Dał temu wyraz na 3-im Zjeździe tej masowej organizacji w przemówieniu inauguracyjnym. Poparli go w tym zamierzeniu dotychczasowi przywódcy „Ruchu" Iwan Dracz i Mychajło Horyń. Ale delegaci z terenu powiedzieli „nie". I nagle Dracz i Horyń i ich wierny szambelan Porowski zobaczyli, że są generałami bez armii. Odcięci od narodu, rozmiłowani w miękkich fotelach kijowskich, nie spostrzegli, że dolne szczeble „Ruchu", a przede wszystkim szeregowi tej instytucji, mają dosyć niemego kibicowania w procesie politycznej nijakości. Nie zrozumieli, że pokonany w wyborach o prezydenturę przez Krawczuka, Wiaczesław Czornowił w odróżnieniu od nich przejechał całą Ukrainę wzdłuż i wszerz, tak samo jak jego zwycięski konkurent, i że dla mas jest człowiekiem znanym. I kiedy Dracz nawoływał delegatów,

aby poparli ideę państwowotwórczej współpracy z prezydentem, bo państwowość to jedyne kryterium polityczne, kiedy dodał, że demokracja nie istnieje bez państwowości jak obwarzanek bez dziurki w środku. Czornowił wszedł od razu w paradę, mówiąc, że obwarzanek bez dziurki może się łatwo przemienić w kajdany; sala stanęła z miejsca po jego stronie. W ciągu krótkiego czasu nastąpił podział na większość jakobinów i mniejszość żyrondystów w ukraińskim Konwencie „Ruchu". Zdezorientowane stare kierownictwo patrzyło w osłupieniu na Zgromadzenie, które bez ustanku skandowało raz po raz „Czor-no-wił, Czor-no-wił". Wreszcie zarządzono kilkuminutową przerwę, która przeciągnęła się do dwóch godzin. Za kulisami zaś szła akcja mediacyjna pośrednika, Huculaka z Kanady. To on wymyślił powstrzymanie rozłamu poprzez wprowadzenie triumwiratu Czornowił-Dracz-Horyń. Ale sala mściła się przy wyborach władz centralnych niemiłosiernie na „draczowcach" i „horyniowcach". Kiedy odrzucono kandydaturę jednego z zastępców triumwiratu, Porowskiego, i kiedy ten z płaczem oświadczył, że wycofuje swą kandydaturę, podniosła się szydercza burza oklasków. Porowskiego uratowała mężna, przyjacielska interwencja Burłakowa. Ale ostatecznie do kierowniczej ekipy połatanego „Ruchu" weszło czternastu zwolenników Czornowiła i siedmiu ludzi Dracza i Horynia. Zaczął się nowy okres w historii „Ruchu". Wiaczesław Czornowił już zapowiedział, że niebawem złoży urząd wojewody we Lwowie i skoncentruje się wyłącznie na działalności w nowym „Ruchu". Prezydent Krawczuk będzie miał w nim prawdziwego przywódcę opozycji przeciwko powstaniu autorytatywnych rządów prezydenckich.

Lwów-Kijów

Bohdan OSADCZUK

Książki

Jacek i Jankiel

W swej książce „Z matki obcej" Jadwiga Maurer pisze, że Jankiel, postać nietypowa, miał kontakty wychodzące poza rodzinną Litwę. Są to kontakty nie tylko warszawskie i halickie, ale francuskie, zagraniczne, spiskowe. Otóż w tych kontaktach zawsze pojawia się Jacek Soplica, który pod bernardyńskim kapturem i pod przybranym nazwiskiem Robak nabiera też jakichś cech spiskowych.

Wdziewam więc ubiór Sherlocka Holmesa i dyskutując z mym przyjacielem doktorem Watsonem, postanawiam zbadać tę tajemnicę.

Ja: Druga wojna światowa przypomniała nam, drogi doktorze, że gdzie jest okupacja lub zabór, tam zawsze wyrasta ruch oporu. Ten ruch oporu bardzo często jest kierowany i w dużej mierze finansowany przez rodzime ośrodki rządowe i wojskowe mające swą siedzibę poza terenem okupowanym, z którym utrzymują kontakt przez emisariuszy, bądź przerzucanych zza granicy, bądź rekrutowanych na miejscu wśród członków ruchu oporu.

Dr Watson: To prawda. Przypomnijmy sobie, jakie usługi oddała nam Anglikom francuska *résistance*, lub polski ruch oporu.

Ja: Dla okupanta, doktorze, członkowie ruchu oporu to byli szpiedzy i sabotażyści, ale dla obywateli krajów okupowanych to byli po prostu żołnierze i, nawet kiedy ruch oporu korzystał z pomocy finansowej zza granicy, takie ideowe szpiegostwo nikogo nie hańbiło, bo motywem jego nie była chęć zarobku, lecz patriotyzm.

Dr Watson: Mickiewicz pisze, że rolę takich emisariuszy Legionów odgrywali często kwestarze klasztorni i że ksiądz Robak był takim kwestarzem. Ale co skłoniło Jacka Soplicę,

zabijakę, urodzonego żołnierza (wszyscy Soplicowie są... do wojaczki jedyni) i wspaniałego strzelca (polowanie na niedźwiedzia) do porzucenia wojska i wstąpienia do klasztoru?

Ja: Elementarne, drogi Watsonie. Jacek nigdy nie wystąpił z wojska. Ale po latach bitew frontowych i służby w łączności, gdzie przewoził listy, z bliznami na twarzy i prawdopodobnie na całym ciele, Robak został przeniesiony do wywiadu, przerzucony na Litwę i jak to wynika z przemówienia Podkomorzego, gdzie Jacek został pośmiertnie rehabilitowany, misją jego było badanie nastrojów ludności, zawiązywanie tajnych stowarzyszeń i przygotowanie powstania. Dla tej działalności na terenie okupowanym habit mnisi i funkcja kwestarza to doskonała dymna zasłona, która pozwala na odwiedzanie ludzi bez zwracania na siebie uwagi władz. Mamy tego dowód: po zebraniu w karczmie, gdzie Robak wychwala Napoleona, prawie wszyscy obecni zapraszają go do odwiedzenia ich. Przeniesiony do wywiadu i mając być przerzucony na Litwę Robak musi się zakonspirować, to znaczy znaleźć jakiś niewinny pretekst dla swej działalności, aby nie zwracać na siebie uwagi zaborców. I wtedy z pomocą sztabu Legionów znajduje rozwiązanie, podobne do tego, jakie znalazł pochodzący z rodziny hugonockiej król Francji Henryk IV, który przeszedł na katolicyzm, mówiąc „Paryż wart jest mszy". Jacek Soplica, zabijaka i wojak, nie ma żadnego powołania duchownego, ale robi to, czego wymaga służba. Wstępuje do klasztoru, ale nie zostaje tam. Celem jego jest przygotowanie powstania. Polscy zakonnicy, którzy na pewno dostali odpowiednie instrukcje, uczą go pośpiesznie odprawiania mszy i wysyłają go natychmiast jako kwestarza. Jacek, który w mundurze wojskowym był żołnierzem frontowym i żołnierzem łączności, w habicie mnisim jest żołnierzem polskiego wywiadu, organizuje ruch oporu i przygotowuje powstanie.

Dr Watson: — Więc Jacek był po prostu oficerem wywiadu?

Ja: — Generałem, drogi doktorze, i nie tylko to. Był delegatem władz polskich, to jest Legionów i Księstwa Warszawskiego, na Litwę. Przecież kiedy Napoleon postanawia najechać Rosję, generał Fiszer ze sztabu księcia Józefa powiadamia o tym natychmiast listem Jacka. To nie zwykłego oficera wywiadu informuje sztab generalny, ale szefa wywiadu.

Dr Watson: — Co do Jacka to jasne, że był emisariuszem. Ale z tego że Jacek i Jankiel poznali się przed laty w obcych krajach bynajmniej nie wynika, że Jankiel został zwerbowany do polskiej służby wywiadowczej.

Ja: — Jankiel był niewątpliwie postacią nietypową, ale możliwą do pomyślenia. Litewski Żyd i jednocześnie polski patriota nie pochodził z powiatu, gdzie leżało Soplicowo, bo w tym wypadku znałby Jacka za młodu, kiedy Jacek mieszkał w tym powiecie. Otóż Jankiel poznał Jacka za granicą. Jankiel nie odziedziczył karczmy po swym ojcu, lecz dostał ją w dzierżawę wprost od Sędziego, którego poprzednio nie znał. W dawnej Polsce prawo propinacji należało do dziedziców, którzy je wydzierżawiali Żydom, jedynym możliwym kandydatom, bo chłopi byli pod jarzmem pańszczyzny, mieszczan nie było na wsi, a drobna szlachta brzydziła się handlem. Ale dziedzic musiał mieć zaufanie do swego arendarza i dlatego wydzierżawiał karczmę komuś kogo znał, a nie wędrownemu muzykantowi. Sytuacja mówi sama za siebie. Co robił za granicą żydowski cymbalista z Litwy? Ten cymbalista był polskim patriotą, „miał także sławę dobrego Polaka". Kiedy polska i litewska młodzież zaciągała się do Legionów, Jankiel, który wtedy nie miał jeszcze siwej brody, podążył za innymi. Wprawdzie nie władał ani bronią palną ani białą, ale i muzykanci są potrzebni w wojsku, które ma swoje orkiestry. Dowódcy Legionów widząc tego niezwykłego kandydata znajdują dla niego inne zajęcie: to będzie wspaniały agent wywiadu. Osadzić go w karczmie. Nikt nie będzie podejrzewał karczmarza. I tu zjawia się Jacek Soplica, który jest w Legionach: ja mam brata w Soplicowie. On dysponuje karczmą. Tam poślemy tego żydowskiego cymbalistę, który sprzyja naszej sprawie. Jankiel jedzie więc do Soplicowa z listem polecającym od Jacka do Sędziego, który daje mu w dzierżawę nie jedną a dwie karczmy: własną i tą, która „z prawa należy do zamku dziedzica". To było oczywiście bezprawie, bo zamek nie należał do Sędziego, był pozornie bezpański, a potem stał się przedmiotem bardzo dziwnego sporu między Sędzią i Hrabią, którzy procesowali się o rzecz, która nie należała do żadnego z nich, bo właścicielką zamku była córka Stolnika, Zosia. Ale względy praktyczne przemogły: trzeba było uniknąć drugiego karczmarza, który nie był tak pewny politycznie jak Jankiel. Dlatego nikt nie protestuje, kiedy Jankiel, już dzierżawca karczmy soplicowskiej, obejmuje także starą karczmę horeszkowską.

Dr Watson: — Pan to bardzo dobrze wymyślił, ale gdzie są dowody, że Jankiel był agentem polskiego wywiadu?

Ja: — Dowody są liczne. Postaram się je wyliczyć:

1. Jacek, który odwiedzał dwory, karczmy, który wydeptał okoliczne wioski, otrzymywał listy, wysyłał posłańców, rozmawiał ze szlachtą i z chłopami, nie miał specjalnej sympatii dla karczmarzy. Na zebraniu w karczmie mówi z pogardą: „żydowska rzecz ręce założywszy czekać nim kto w karczmę zajedzie". Otóż Jankiel jest wyjątkiem. Z nim Jacek widuje się potajemnie po nocach i naradza się z nim. Te tajne kontakty wskazują, że Jacek włączył Jankiela do swej organizacji i że się nim posługuje. Żeby odwrócić podejrzenia, bo te spotkania są raczej niezwykłe,

rozpuszcza się potwarz, że Jacek przemyca towary, bo przemyt to drobny występek w porównaniu ze szpiegostwem, które grozi Sybirem lub nawet stryczkiem.

2. Podobnie jak Jacek nie miał żadnego powołania do stanu duchownego, Jankiel nie miał ani powołania ani kwalifikacji do funkcji rabina. Nie był uczonym w piśmie, bo wiejski Żyd lub wędrowny muzykant nie mógł nim być. Wiedzę nabywało się w miastach lub w miasteczkach, gdzie były szkoły. Jadwiga Maurer pisze, że wiejscy Żydzi mieli reputację nieuków. Mimo to postarał się o funkcję podrabinka w sąsiednim mieście. To dawało mu okazję i pretekst, żeby jechać do miasta, utrzymywać kontakt z Żydami, który mogli mu dawać potrzebne informacje. To miasto to była Bielica. Na zebraniu w Dobrzyniu mówi, że Żydzi w Bielicy powiedzieli mu, że wojska francuskie stoją nad rzeką Lososną i z tego wnioskuje, że do wojny trzeba jeszcze czekać.

3. Odbywa męczące i kosztowne podróże do Warszawy i do Halicza. Wtedy nie było jeszcze kolei żelaznych. Jankiel trząsł się w żydowskich brykach. Czy tylko po to, żeby przywieźć nowe mazurki i kołomyjki? Jankiel jedzie jako zaufany posłaniec Jacka, aby udzielić informacji i otrzymać instrukcje, które przekazuje Jackowi na nocnych naradach.

4. Mimo opinii Jacka, że karczmarz się nie rusza, lecz czeka spokojnie na klientów, Jankiel dowiedziawszy się, że w Dobrzyniu odbywa się zebranie szlachty, jedzie tam, bo agent wywiadu musi wiedzieć, co się dzieje w powiecie.

5. Już ten wyjazd jest niezwykły, bo co ma do roboty karczmarz na zebraniu szlacheckim? Ale jeszcze bardziej niezwykłe jest przemówienie Jankiela, który dowiedziawszy się, że szykuje się zajazd, tłumaczy piękną polszczyzną (bez żadnych żydowskich „nu") zebranej szlachcie, że czasy się zmieniły. Jankiel przewyższa inteligencją i orientacją polityczną Gerwazego i Dobrzyńskich, którzy duchowo żyją jeszcze w Polsce przedrozbiorowej. Dla Gerwazego zajazd nie jest hultajstwem, to rzecz szlachecka, to egzekucja wyroków sądowych *manu militari*. Ale Jankiel wyjaśnia, że dla władz rosyjskich to będzie gwałt i rozbój, który spowoduje interwencję wojska. A tego należy uniknąć. Jankiel podkreśla, że on nie jest po niczyjej stronie, jest dobrze ze wszystkimi, ale chce uniknąć waśni między Polakami, bo Moskal na miejscu, a Francuz jeszcze daleko. Gerwazy, który ciągle myśli o dawnych zajazdach przed utratą niepodległości, tego nie rozumie i krzyczy do Jankiela: „nie pchaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie". Bo dla Gerwazego Jankiel to zwykły karczmarz, który nie powinien wtrącać się do spraw które jego nie dotyczą. Gerwazy i Dobrzyńscy nie wiedzą, że Jankiel to nie tylko karczmarz, lecz że on broni wyższej sprawy narodowej, której zajazd może zaszkodzić.

6. Niezwykle ważny list generała Fiszera adresowany do Jacka jest powierzony Jankielowi, który go wręcza Jackowi, dlatego że Jacek, główny emisariusz władz polskich na Litwie, jest po prostu zwierzchnikiem Jankiela.

7. Rosyjski kontrwywiad orientuje się dobrze w sytuacji. Jankiel jest uważany za szpiega. Nie aresztują go, tylko śledzą, bo to stara metoda wszystkich policji politycznych: liczą, że Jankiel naprowadzi ich na ślad innych agentów, z którymi jest w kontakcie. Oczywiście rosyjski kontrwywiad nie odkrywa kart, ale chciwy i przekupny major Plut, chcąc wydusić większą łapówkę od Sędziego, nieopatrznie się wygadał: „Jankiel szpieg, którego już rząd dawno śledzi". Mamy więc dowód, który pochodzi wprost od władz rosyjskich.

8. Sędzia na pewno ostrzegł Jankiela. Jankiel wie, że jest „spalony" i ma się na ostrożności. Kiedy po zajeździe, gdzie zginęli Jacek i major Plut, najczynniejsi uczestnicy zajazdu emigrują, Jankiel który nie brał udziału w zajeździe znika z horyzontu. Nie tylko dlatego, że się boi. Po śmierci Jacka szuka nowego kontaktu.

9. Jankiel wraca na Litwę z głównym sztabem Legionów. Karczmarz ze sztabem generalnym? To dość zaskakujące, ale to potwierdza to, co powiedział do Sędziego major Plut. Dla Moskali Jankiel to szpieg, ale dla generała Dąbrowskiego, szefa Legionów, Jankiel to patriota, członek ruchu oporu i współpracownik polskiej służby wywiadowczej na Litwie.

Dr Watson: — Więc „Pan Tadeusz" to powieść szpiegowska z „suspensem"?

Ja: — Oczywiście. Kto czyta po raz pierwszy „Pana Tadeusza", kiedy dochodzi do miejsca gdzie ksiądz Robak ujawnia że jest Jackiem Soplicą, jest niewątpliwie wstrząśnięty. Bohaterowie powieści odgrywają dwie role. Ksiądz Robak to prawdziwy kwestarz i Jankiel to autentyczny karczmarz. Ale pod mnisim habitem i bernardyńskim kapturem podobnie jak pod kaftanem karczmarza i lisią czapą, ukrywają się zakamuflowani emisariusze władz polskich na Litwie.

Zrzucam ubiór Sherlocka Holmesa: Kiedy w gimnazjum kułem „Pana Tadeusza", pytano nas, jakie są wątki powieściowe w tej narodowej epopei. Odpowiadaliśmy: spór o zamek, spór Rejtana z asesorem, spór Domeyki z Doweyką, romans Tadeusza z Zosią, flirty Telimeny. Dzisiaj dodałbym jeszcze: ruch oporu i polski wywiad na Litwie w przededniu wkroczenia wojsk francuskich i Legionów Dąbrowskiego.

Anatol ESTRYN

Wygnaniec z dwóch miast*

„Żyłem jak w *Bildungsroman*" — powie o swoich młodzieńczych doświadczeniach bohater-narrator „Dwóch miast". To samo mógłby o sobie powiedzieć Krzysztof Oremus, bohater debiutanckiej powieści Zagajewskiego sprzed lat kilkunastu „Ciepło, zimno" (1975), oraz — z pewnymi zastrzeżeniami — bohater „Cienkiej kreski" (1983), artysta Henryk Oset.

To dzisiaj oczywiste, że Zagajewski zarówno jako prozaik, eseista, ale i jako poeta, pisze biografię swojego pokolenia, układa środkowoeuropejski wariant losów intelektualisty (artysty).

W „Ciepło, zimno", powieści pisanej w konwencji *Bildungsroman*, można odnaleźć w miarę pełny, reprezentatywny, żelazny zestaw dyskusyjny pokolenia dojrzewającego intelektualnie w latach sześćdziesiątych. Otóż dziesiątki akapitów poświęcono tu rozważaniom — to prawda, że potraktowanym z seminaryjną pedanterią, jak na powieść rozwojową przystało — o sensie życia, o prawdzie, o rzeczywistości, o duszy, o poznaniu...

Jak to widać z pewnego już dystansu, zanim młodzieniec został artystą, musiał przejść inicjację duchową i zmysłową, i „Ciepło, zimno" traktuje o takich właśnie poszukiwaniach Oremusa. Jednak nad tą warstwą, prezentującą życiowe poszukiwania bohatera, unosi się specyficzny klimat duchowego niepokoju, ze względów cenzuralnych ledwie sygnalizowany, zarysowany cienką kreską.

Bohater „Ciepło, zimno" dorasta bowiem w atmosferze, która nazwana została tak: „było za dużo Lwowa, a teraz nie ma go wcale" (czego wszakże nie odczytujemy dosłownie).

Krzysztof Oremus, ale i bohater-narrator „Dwóch miast" (ich biografie są modelowo wręcz tożsame, co nie znaczy że identyczne; zresztą w „Ciepło, zimno", „Cienkiej kresce" oraz w „Dwóch miastach" istnieje cała siatka wzajemnych powiązań, zbieżności tematyczno-fabularnych — nie będę się tym zajmował w niniejszej recenzji), żyją bowiem pod ciśnieniem Lwowa, ale i chcą od Lwowa uciec. Między „jechać do Lwowa" a „uciec od Lwowa" zawieszony został młodzieńczy epizod biografii bohaterów prozy Zagajewskiego. Oremus, który w „Cienkiej kresce" stał się Henrykiem Ostem, oraz bohater „Dwóch miast" (będący *porte-parole* autora) są bowiem wygnańcami w wielorakim rozumieniu tego słowa. Tak więc są ludźmi wygnanymi z miast Europy Środkowej, wydziedziczonymi ze stabilnych pojałtańskich układów społecznych, żyjącymi w stanie tymczasowości i nietrwałości — i mającymi świadomość takiego stanu własnej egzystencji.

* Adam Zagajewski, „Dwa miasta", Zeszyty Literackie-Oficyna Literacka, Paryż-Kraków 1991. s. 161 + 7 nlb.

Właśnie ów stan wygnania, bezdomności ściślej rzecz nazywając, tak został określony w „Dwóch miastach":

„Człowiek bezdomny natomiast to ktoś, kto — przez przypadek, kaprys losu, z własnej winy, z winy swego temperamentu — nie chciał albo nie potrafił w dzieciństwie i we wczesnej młodości nawiązać bliskich i serdecznych związków z otoczeniem, w którym rósł i dojrzewał". I dalej: „Być bezdomnym... oznacza tylko tyle, że dotknięta tą skazą osoba nie potrafi wskazać ulicy, miasta czy osady, które byłyby jej domem, jej — jak zwykło się mówić — małą ojczyzną".

Zwróćmy uwagę na fakt, iż Zagajewski już w tej — nazwijmy ją tak — „definicji" wskazuje na różne przyczyny bezdomności: przypadek, kaprys losu, własna wina, wina swego temperamentu.

W takim ujęciu bezdomności, duchowego wygnania (swoją drogą to chyba obsesja autorów z kręgu *Zeszytów Literackich*) mieszczą się bardzo różne biografie. Przypomnijmy sobie „Herb wygnania" Wojciecha Karpińskiego czy niektóre eseje z „Polskich pytań" Michnika, że nie wspomnę o rozlicznych tłumaczeniach z *Zeszytów*. Wygnanie w ujęciu „zeszytowoliterackim" to — przypomnę — wyniosła, mimo trudy i udręki, misja, to posłannictwo, to nowe apostolstwo. Taką perspektywę odnajdziemy i na kartach recenzowanej książki, tyle, że nie jest ona dominująca (por. „Wiosenną burzę" i niektóre eseje z „Nowego małego Larousse'a").

Duchowym wygnańcem będzie nie tylko emigrant z małej czy dużej ojczyzny, jak bohaterowie „Dwóch miast" i „Wiosennej burzy". Nie tylko deportowany mały naród z prozy? eseju? „Mały naród pisze list do Boga". To może się wydać zaskakujące, ale duchowym wygnańcem będzie także, tak, pisarz ze stalinowskim garbem w biografii („Zdrada"), czy wysoki funkcjonariusz partyjny („Tajne przemówienie przewodniczącego") i policyjny („Instrukcje dla tajnej policji").

Najnowsza książka Adama Zagajewskiego (piszę książka, bo złożona jest z tworzywa różnego: prozy, wspomnień, historyjek, opowiadań, esejów, aforyzmów) przynosi analizę tych stanów bezdomności, w jakie uwikłani byli ludzie z tej części Europy. Zarówno „my" jak i „oni" (choć takiej dychotomii zapewne narrator „Dwóch miast" by nie zaakceptował, prosząc o więcej subtelności i wdzięku).

„Dwa miasta" są mimo gatunkowej niejednorodności (co wszak

dzisiaj w modzie) tomikiem spójnym. Gdybym sprawdzał szkolne wypracowanie, napisałbym, że to tomik spójny myślowo. No cóż, takie stwierdzenie w recenzji nie przystoi. Recenzent więc się wytłumaczy.

Można stwierdzić, że na najnowszy tom prozy „pracowała" cała dotychczasowa twórczość Zagajewskiego, co znaczy iż „Dwa miasta" stanowią jakiś punkt dojścia w twórczości autora „Płótna". Można chyba mówić o wyczerpaniu pewnego stylu, sposobu opisywania zjawiska, które znamionowało „zeszytowoliteracką" eseistykę. To, co było świeże, ponętne w latach osiemdziesiątych, w ostatniej dekadzie naszego szalonego wieku powoli zaczyna tracić myślowy powab zadziwienia, niezwykłości.

Sądzę, że po „Dwóch miastach", które są utworem niezwykłej urody stylistycznej (bo intelektualne przesłanie już było rozpisane wcześniej na wiele głosów), dojdzie do jakiegoś przełomu w twórczości Zagajewskiego, jeżeli autor „Jechać do Lwowa" nie zechce powielać pewnej ustalonej konwencji. Jestem dobrej myśli, Zagajewski potrafi się zmieniać, zaskakiwać czytelnika, przypomnijmy sobie Zagajewskiego z lat siedemdziesiątych i późniejszego, to przecież dwaj różni artyści. „Solidarność i samotność" oraz „Jechać do Lwowa" były pewnym przełomem, odtrutką na martyrologiczny przesyt pierwszej połowy lat osiemdziesiątych.

Unaoczniały — tu upraszczam oczywiście — konieczność ucieczki w rzeczywistość duchową, nietożsamą z rzeczywistością polityczną. Promowały jakąś własną formę wolności od totalitaryzmu, formułę duchowej niezależności od bieżącej polityki.

Czy ten program stał się w roku 1991 nieaktualny? Mógłby ktoś zapytać, czy rzeczywiście wszystko zmieniło się tak, iż postawa lansowana przez Zagajewskiego okazała się anachronizmem? Czy rzeczywiście nie należy już tak pisać?

Nie, to nie są dobrze postawione pytania.

Krótko mówiąc: to oczywiste, że problematyka intelektualna „Dwóch miast" była, jest i będzie aktualna. Nic nie wskazuje na to, by trapiące człowieka od zawsze przekleństwo wydziedziczenia, wygnania, bezdomności w pięknym wieku XXI, w rozumnej sprawiedliwej Europie bez granic, zostało rozwiązane. Wręcz przeciwnie. Można się spodziewać (co nie znaczy że muszą nadejść) czasów strasznych, koniec wieku XX miast usypiać budzi demony nacjonalizmu, nienawiści, fundamentalizmu.

Zastanawiałem się więc, czytając piękne bez zarzutu zdania „Dwóch miast", czy odautorskie przekonanie wpisane w tę książkę nie rozmija się z oczekiwaniami części czytelników, którzy wreszcie chcieliby przeczytać rzetelną prozę poświęconą najważniejszemu doświadczeniu tego wieku, totalitaryzmowi. Myślę

sobie tak: skoro starsze pokolenie woli pisać wspomnienia i dzienniki, to może pokolenie młodsze, dojrzewające i uczestniczące tak czy inaczej w życiu PRL-u, spróbuje zmierzyć się z problemem. Niestety, próby dotychczas czynione są fragmentaryczne, niespójne, ograniczone do „własnego podwórka". Taką postawę odczytuję w najnowszym tomie pióra Zagajewskiego.

Narracyjny dystans, jakiś chłód w opisywaniu tzw. rzeczywistości, nieustannie manifestowane przekonanie, iż istotny jest naprawdę tylko świat ducha, wzniosłych uczuć, subtelnych myśli, sprawia iż nie potrafię inaczej czytać tego tomu niż jako scenariusza wyimaginowanych (to nie zarzut) udręk i niepokojów artysty z Europy zwanej Środkowo-wschodnią.

Drukowane w *Zeszytach Literackich* poszczególne eseje prozy z „Dwóch miast" nie wzbudziły we mnie sprzeciwów; złożone w jeden tomik — drażnią.

Założenie Zagajewskiego było nadzwyczaj ambitne. Piękne zdania nie zamierzały wcale mierzyć się z brudną rzeczywistością pojałtańską. O nie! Znacznie bardziej interesujące wydało się pisarzowi ukazanie egzystencjalnej sytuacji wygnania, bezdomności, w różnych co prawda wariantach, wszakże z jednym pewnikiem. Wygnanie to nie tylko obsesja nostalgii, to także pewna sytuacja duchowa, z którą powinien zmierzyć się artysta.

Wszak, co czytamy kilkakrotnie w recenzowanej książce, poza historią istnieje świat duchowy. I tylko on się naprawdę liczy. Historią (a ściślej rzeczywistością) brzydzi się już nawet dziecko.

Krzysztof Oremus z „Ciepło, zimno" jeszcze usiłował zmierzyć się z trywialną, zgrzebną rzeczywistością. Bohaterowie „Dwóch miast" starają się już to nie dostrzegać rzeczywistości, już to być ponad polityczną trywialnością. Wszyscy bohaterowie: przewodniczący partii, stalinowski literat, bohaterowie esejów „Nowego Małego Larousse'a". Oczywiście, nie każdy będzie prawdziwym wygnańcem w ujęciu „zeszytowoliterackim". Zagajewski bynajmniej nie zamazuje różnic. Niemoralni funkcjonariusze partyjni, literaccy hunwejbini będą po prostu żałośni w swoich próbach określenia własnej bezdomności (mistrzostwo stylistyczne w tych nowelach jest zdumiewające; jeszcze krok, a czytelnik naprawdę mógłby współczuć bohaterom „Zdrady" i „Tajnej instrukcji" w ich samotności, wszakże subtelna granica między odautorską ironią, zmysłem pastiszu a narracyjną „prawdziwością" nie zostanie przekroczona — dowodzi to prawdziwej wirtuozerii stylistycznej). Nie będzie natomiast śmieszny ani żałosny Gottfried Benn, bohater eseju? mikroopowiadania? „Natchniony demagog".

Benn był wielkim poetą i lekarzem chorób skórnych. Brzydki, niewysoki, tęgi, jak pisze Zagajewski, zdrowy okaz nie-

mieckiego mieszczanina. I zupełnie „nieodpowiadająca" jego *fizis* subtelna, uduchowiona poezja. Poeta Benn, jak pisze autor „Jechać do Lwowa", „unieważnia" tłustego Benna. Dzisiaj bowiem mało kto pamięta, jak Benn wyglądał, czas wybacza wszelkie dziwactwa i dziwności. Tak, to prawda. Tylko, że równie dobrze można sobie wyobrazić inaczej ułożoną biografię poety, tak by zmierzała do innej puenty. I wówczas może jakoś ważna będzie tusza poety dla świata jego wierszy.

Tom Zagajewskiego znamionuje właśnie ostentacyjna literackość, układanie historyjek i wydarzeń, co nie prowadzi do interesujących efektów. Szum drzew przeciwstawiony demonizowaniu historii (jak w opowiadaniu „Zdrada") wprawdzie uderza w tych, którzy widzą świat w czarno-białych schematach („Czy pan wie, że wtedy liście drzew szumiały tak samo jak teraz..."). Tyle, że przeestetyzowanie stalinizmu, uliteratyzowanie siermiężności, przydaje tym czasom kuszącą wiarygodność. Zagajewski powinien wyciągnąć wnioski z porażki Kazimierza Brandysa — krótko mówiąc: kaskada olśniewających zdań nie jest chyba dobrą konwencją dla opisu lat pięćdziesiątych, podobnie jak konwencja narracyjna i stylistyka pięknych zdań rozmywają kontury rzeczywistości uznanej powszechnie za minioną.

Sądzę, że jeśli to miała być rzecz o bezdomności i wygnaniu, to niezależnie od proporcji (nie mnie mierzyć), jakoś tę trywialną rzeczywistość należało opisać. Zamiast opisu mamy tu liczmany (por. opowiadania z części drugiej książki). Bowiem skoro narrator wielokrotnie (jest dla mnie oczywiste, że narrator uwikłany jest w rozliczne gry i strategie literackie i broń Boże nie utożsamiam autora z narratorem) twierdzi mniej więcej tak: tylko samotność, duchowa samotność może ocalić artystę przed historią i polityką, to żałuję iż autor „Cienkiej kreski" nie rozbudował do rozmiarów, powiedzmy, mikropowieści, eseju o Gottfriedzie Bennie.

Uważam, iż w recenzowanym tomie „Dwa miasta" i „Nowy Mały Larousse", w przeciwieństwie do antytotalitarnych nowelek z części drugiej tomu, są bardziej przekonywujące niż „uniwersalna" rama interpretacyjna z części drugiej.

Ciężar i wymiar pytań dotyczących podstawowego doświadczenia XX wieku zostały, niestety, rozmyte przez dość banalne czy skądinąd znane odpowiedzi (rozczarowywuje chociażby zawartość myślowa tekstu „Mały naród pisze list do Boga", o wiele bardziej przejmujące zdania o małych narodach skreślił Miłosz przed czterdziestu laty). To „Dwa miasta" zdają się, w stylistyce napomknięć, zadziwień, niedomówień jakoś prawdziwiej (przynajmniej w moim odczuciu) odtwarzać klimat „tamtej" epoki. Prawda własnej biografii — zgodnie z konwencją literacką, tu i ówdzie przetworzonej — obnaża literackość, papierowość ułożonych biografii bohaterów próz z części drugiej.

Zagajewski dotykając problemu, nazwijmy to ogólnie, „jednostka wobec totalitarnego zła" tak jak pisałem, przygląda się artyście, w każdym razie nie „zwykłemu człowiekowi". Dlatego nie ma tu pytań, kto zgotował człowiekowi taki los. Bóg, Szatan czy Stalin? Artysta nie zastanawia się nad tym, po prostu wie, że liczy się tylko świat duchowy. Możemy zresztą przeczytać, że „wiersze przychodzą z innego świata, ze świata w którym mieszka życie duchowe" („Z innego świata"), dalej, że zawodowi literata „właściwy jest stały konflikt między 'pięknem' i 'szczęściem'", i inne wyznania już o charakterze bardziej osobistym: „aby nie zamilknąć jako poeta musiałem odsunąć się o krok od lawiny historii" („Zmiany na Wschodzie")... i tak dalej.

W konkluzji muszę stwierdzić, że „Dwa miasta" przeczytałem, zanim ostatni tom prozy Adama Zagajewskiego wziąłem do ręki. Tematy zostały już rozpoznane, nazwane i opisane. Przez samego Zagajewskiego także. Dużo wcześniej niż mógł zrodzić się pomysł tej książki.

Więc porażka pisarza? W jakimś sensie tak, ale nie do końca. Tak jak pisałem — punkt dojścia, zamknięcie pewnej fazy twórczości, wyczerpywanie konwencji. Czekam więc na „nowego" Zagajewskiego. Zagajewskiego lat dziewięćdziesiątych.

Arkadiusz BAGŁAJEWSKI

Głupota całkowicie niezależna

Nastał okres wolności (bo do demokracji w Polsce wciąż jeszcze daleko), z którą to ludzie nie bardzo wiedzą co robić. Poza kilkoma cwaniaczkami, którzy się w tym bałaganie zupełnie nieźle urządzają. Nadużywanie słowa „niezależny" jest jednym z głównych wyznaczników owego cwaniactwa. Niezależnym można być od wszystkiego, okazuje się, że bardzo często nie tylko od zdrowego rozsądku (która to wartość dla wyrafinowanych znawców kultury jest czymś niesłychanie prostackim), lecz nade wszystko od profesjonalizmu. Od dawna już powtarzam tezę, że z łap totalistów wpadliśmy w rączki amatorów.

Najwyraźniej widać to w kulturze. To, czego nie dokonała komunistyczna cenzura, teraz oto załatwiają „niezależni" głupcy,

którym wydaje się, że można się uwolnić od świata wartości w imię demonstrowania wolnej od wszystkiego intelektualnej pustki. Pisałem niedawno o wyczynach krakowskiego „brulionu", lecz przyznam, że ci młodzi ludzie z rumorem i przekleństwami wkraczający na salony, by w ten sposób razić postkomunistycznego (czy do niedawna oficjalnego, czy wyłażącego z podziemia) mieszczucha, są delikatni i słodcy w porównaniu z cwaniaczkami, którzy buszują po obrzeżach. Cwaniacy również chcą przyłożyć salonom, a jakże. Cwaniacy piszą, że wydawać będą nowy kanon poezji „w pełni niezależny od 'warszawskiej kanapy', stołówki Czytelnika i 'urzędasów'". Na razie wydali pierwszy — i mam nadzieję, że ostatni — tom antologii poezji polskiej lat 1971-1991 zatytułowany „Po Wojaczku"*. Do współpracy w układaniu dalszych tomów namawiają szeroką publiczność czytającą, gdyż — jak piszą: „Mamy pełną świadomość, iż do wielu autorów w pełni zasługujących na ujęcie w antologii nie dotarliśmy z braku możliwości zapoznania się ze wszystkimi utworami ogłoszonymi drukiem, jak i złożonymi w archiwach wydawnictw". Dziewczynkom i chłoptasiom nawet się nie chce pójść do biblioteki i spokojnie przejrzeć to, co dotychczas zostało opublikowane. Nie mówię już o jakości języka, którym się posługują z tymi wszystkimi naleciałościami czerwonej biurokracji w rodzaju „ujęcia w antologii" czy „zapoznaniem się".

Praca lekka, łatwa i przyjemna — oto, co nas czeka w kulturze w najbliższym czasie: produkcja makulatury wymierzona przeciw „warszawskiej kanapie", „stołówce Czytelnika", „urzędasom". Dodać należałoby, dla rozszerzenia pola rażenia: przeciw „salonowi krakowskiemu", „emigracyjnemu skostnieniu", „znawcom z IBL-u". W razie potrzeby, służę dalszymi epitetami, gdyż nasi „buntownicy" wyraźnie nie znają dobrze nawet tych układów, przeciw którym chcą wystąpić. Jedno jest pewne: chcą oni narzucić polskiej kulturze poziom „małego Dyzia". Bezczelne, niedouczone draństwo demonstrujące swój brak wiedzy i wykształcenia będzie teraz dostarczać na rynek książki-śmieci, które tyle mają wspólnego z prezentacją dorobku kultury, co swego czasu działalność różnych towarzyszy z upodobaniem posługujących się nożyczkami. Przy tym — co nie bez znaczenia — wydawcy i redaktorzy — nazwa tego draństwa w tym wypadku brzmi Dom Księgarski i Wydawniczy Fundacji Polonia w Warszawie (spółka z bardzo ograniczoną nie tyle odpowiedzialnością, co poczytalnością) — mają w całkowitym poważaniu obowiązujące w cywilizowanym świecie zasady nakazujące przynajmniej pro

* „Po Wojaczku. Antologia Poezji Polskiej 1971-1991" (ISBN 83-85080-03-1). Wybór i redakcja Kamil Ratyniecki, Dom Księgarski i Wydawniczy Fundacji Polonia, Warszawa 1991, s. 276.

forma zwrócić się do publikowanych w antologii autorów (lub ich spadkobierców) o zezwolenie na druk ich utworów i z propozycją honorarium. Nabito w butelkę 69 pisarzy, których 233 wiersze wydrukowano „bez wiedzy i zgody". Może zresztą niektórych o zgodę spytano, lecz nic o tym nie wiem, a z kilkoma zdarzyło mi się na ten temat rozmawiać. Nabito jednakże jednocześnie kabzę jakiemuś Kamilowi Ratynieckiemu (wybór i redakcja) oraz Robertowi Dzierżykrajowi Morawskiemu (wydawca). Produkt kosztuje 28.500 złotych, co jest czystym rozbojem.

O autorze wyboru dowiadujemy się, iż w latach osiemdziesiątych kwalifikował do druku wiersze młodych poetów. Pan Ratyniecki czujnie nie zdradza tego, gdzie mianowicie trudził się w ten sposób. Zdradza natomiast we wstępie „Pieśń uszła cało" pełną niekompetencję w sprawach najnowszych dziejów polskiej poezji. Po czym prezentuje swe wycinanki. Obok Barańczaka prezentuje więc nam Piotra Fluksa, obok Białoszewskiego — Piotra Gońca. Julii Hartwig daje prawo obecności jednym wierszem, Janowi Kasperowi — czterema, zaś niewątpliwie genialnej choć nieznanej Krystynie Łucji Paluch-Staszkiel — dwoma. Dużo jest Piotra Skórzyńskiego, dwa Miłosze, jedna tylko Grażyna Szyszowa i jeden Karol Wojtyła, za to dwa utwory Piotra Ziemilskiego. Przyznam, że podobnego grochu z kapustą nie widziałem od lat. Z emigrantów jest Wirpsza, nie ma Karpowicza, Czerniawskiego, Śmieji, Łobodowskiego, Brzękowskiego, Lechonia, Wierzyńskiego i jako żywo „tworzącego poza krajem" Jasiczka (wyliczam nazwiska przypadkowo i w przypadkowym porządku, w każdym razie tych, którzy jeszcze zdobyli się na wysiłek napisania wiersza „po Wojaczku"). „Po Wojaczku" sytuuje wiersz Miłosza „Moja wierna mowo" opublikowany jako żywo w „Mieście bez imienia" w roku 1969, a więc jeszcze przecież „za Wojaczka", podobnie z drukowanym jeszcze w latach pięćdziesiątych wierszem Herberta „U szczytu schodów" lub Barańczaka „Ci, którzy jedzą grzanki, będą jeść suchary" (tom „Jednym tchem" 1970) — to tylko drobny przykład programowego niechlujstwa tej antologii. O notach na temat autorów nawet mowy nie ma: po co? Tylko by sobie człowiek pracy dołożył, a to niezdrowe dla umysłu, zwłaszcza nie wiedzącego czym taka praca jest. Bełkot na temat poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, jakim poprzedził Ratyniecki swą antologię, jest dokładnym — tyle, że z odwrotnym znakiem — odwzorowaniem bełkotu partyjnej propagandy z „minionego okresu" (co oznacza, że „okres" minie nam nieprędko, niestety). W tym bełkocie jednymi z bardziej interesujących kwiatków są takie wyczyny jak cytowanie Simone Veil (!) i uwaga o tym, że „do antologii włączyliśmy także wiersze poetów polskojęzycznych tworzących poza krajem".

Oczywiście, można by powiedzieć, że to żaden powód do dramatyzowania. Toteż i nie dramatyzuję. Po prostu ostrzegam przed wydawcami-śmieciarzami i przygłupimi redaktorami, którzy w i tak już popsute życie intelektualne kraju wprowadzają dodatkowy zamęt. Bać się należy, że taka antologia przypadkiem dostanie się w ręce jakiegoś niedouczonego polonisty, który ją poleci uczniom. Czas jest taki, że powinniśmy poczynić porządki w bibliotekach, gdy zamiast tego cała masa partaczy i niedouków będzie nam je zaśmiecała. Przeto — mimo, iż nie ma powodów do czynienia alarmu — daleki jestem od lekceważenia podobnych zjawisk. Wolność nie może oznaczać kompletnego pomieszania wartości i bezkarności dla durniów niszczących tkankę kultury.

Leszek SZARUGA

„Dziecko wojny" na Łyczakowie

Wśród felietonów Sławomira Mrożka ogłaszanych w *Twórczości* pt. „Małe listy" znajduje się świetny tekst zatytułowany „Dzieci wojny". Jego główna teza ujęta jest w paru zdaniach wstępnych, które chcę tu zacytować:

„Jestem dzieckiem wojny. Tak zwykło się nazywać urodzonych między 1939 a 1945. Pomyłka. Dziećmi wojny są ci, którzy już podczas wojny byli dziećmi, a nie dopiero niemowlętami. Którzy już cokolwiek wiedzieli i dzięki temu mogli wiedzieć, że wojna jest alternatywą pokoju. Przeżywali wojnę inaczej i silniej niż dorośli. Chłonęli wojnę, ale przeczuwając, że są niańczeni przez potwora".

Autor książki, o której dziś piszę* urodził się w 1931 r. a więc jest prawie rówieśnikiem Mrożka, a jego opis Lwowa w latach 1939-45 — pełen zdumiewająco dokładnie zapamiętanych szczegółów — potwierdza słuszność zacytowanego fragmentu „Małych listów". Książka Leszka Dzięgla — obecnie profesora etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim — oparta jest na jego autentycznym pamiętniku, prowadzonym w czasie wojny, ale została uzupełniona wspomnieniami i masą dodatkowych informacji, które do oryginalnego tekstu nie weszły. Oto co pisze sam autor we wstępnym rozdziale:

* Leszek Dzięgiel, *Lwów nie każdemu zdrów*. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1991, 369 str.

„Porządkując kiedyś, z początkiem lat siedemdziesiątych, półki biblioteczne w katowickim mieszkaniu moich bliskich znalazłem 4 pożółkłe, zszyte ze sobą zeszyty, oprawne w mocno już naddartą czarną okładkę. Był to mój pamiętnik z lat 1939-1946, który rozpocząłem we Lwowie, a zakończyłem już po repatriacji w Katowicach. 194 stroniczki, zapełnione okrągłym, dziecinnym pismem starałem się urozmaicać własnymi rysunkami. Jest ich 38, wśród nich nawet dość szczegółowy plan naszego osiedla na Górnym Łyczakowie, zwanego Kolonią Profesorską.

Odczytując te wspomnienia po latach, przede wszystkim z pewnym zniecierpliwieniem dostrzegłem ich naiwność tematyczną, pomijając już zrozumiałe niedociągnięcia stylu. [...]. Żałuję ogromnie, że pominąłem w tekście mnóstwo faktów i sytuacji, które do tej pory doskonale pamiętam. Wydawały mi się one wówczas nieciekawe, albo też sądziłem, że umieszczając je w notatniku narażony będę na nieprzyjemne indagowanie ze strony dorosłych, a może nawet na surową karę. Ponieważ to moi bliscy właśnie zachęcili mnie do prowadzenia tego pamiętnika. Oni też byli wówczas jego pierwszymi czytelnikami na bieżąco. [...] Wspomnienia te obejmują więc głównie „jasną", choć niepełną i niekiedy nawet niezupełnie zgodną z prawdą wersję życia i zdarzeń. Wersja „ciemna" — czasami groźna, smutna, ponura, a innym razem fascynująca — była zatajana. Drzwi naszego domu rodzinnego stanowiły dla mnie wówczas granicę dwu światów: „grzecznego" i uładzonego, oferującego książki, interesujące rozmowy i zachętę do pracy nad sobą, oraz świata drugiego, zewnętrznego, gdzie za cenę akceptacji przez rówieśników trzeba było dostosować się do brutalnych praw ulicznej lub szkolnej gromady. Gdzie w dodatku narażony byłem na agresję anonimowego świata dorosłych, prowadzących wojnę ze wszystkimi, zwaną przez nich samych 'totalną'". (str.5-6).

Ten przydługi cytat wyjaśnia układ i kompozycję książki: autor postanowił połączyć w niej ową „jasną" stronę zawartą w pamiętniku, z „ciemną", odtworzoną według zachowanych w pamięci faktów. W sumie jest więc to stosunkowo niewielka ilość cytatów z dziecinnego pamiętnika (oceniam ją na ok. 10% całego tekstu) i nader rozbudowana „tkanka łącząca", napisana z dzisiejszej, dorosłej perspektywy. Ton tych wspomnień jest niesłychanie rzeczowy i wolny od sentymentalizmu i egotyzmu, cechującego zazwyczaj tego rodzaju utwory (*bo to moje życie...*). Może ma to jakiś związek z zawodem autora — etnografią — bo czytelnik tych stronic często ma wrażenie, iż Dzięgiel stara się go wprowadzić w całość „kultury materialnej i duchowej" for-

macji, w której każdy szczegół ma swoją funkcję, tak że dopiero poznawszy technikę zdobywania środków do życia, gromadzenia opału, dokonywania zakupów, uzyskiwania informacji, itd., można zrozumieć całość. Chwilami jego dokładne opisy praw, rządzących hordami „batiarów" łyczakowskich — nader dalekie od rzewnych obrazków „bezgrzesznych lat" — czy też szczegółowe zestawy dostępnych leków (waleriana, krople Inoziemcowa, okłady, zioła) i potraw (suchary, podpłomyki, kalarepa, zupy z lebiody i dyni) przypominają suche, rzeczowe relacje 19-towiecznych poruczników brytyjskiej służby kolonialnej przemierzających w przebraniu centralną Persję czy mniej znane zakątki Beludżystanu i uzupełniających swe zbiory danych (w milach angielskich i stopniach Fahrenheit'a) rysunkiem malowniczego karawanseraju czy też mapką mijanej właśnie oazy. W tej książce jest dużo elementów nasuwających skojarzenia (*mutatis mutandis*) z „Robinsonem Crusoe" czy „Tajemniczą wyspą" Verne'a w jej partiach nie fantastycznych.

Trochę się tu może rozpędziłem... ale nie zanadto, jako że asumpt do tego daje sam autor wielokrotnie powracający do swych lektur z owego okresu, a ponieważ sam też jestem „dzieckiem wojny", odkryłem tu wielu wspólnych znajomych. Jest to bowiem w pierwszym rzędzie książka o dzieciństwie generacji urodzonej ok. roku 1930 w typowych polskich rodzinach inteligenckich — a dopiero potem opowieść o wojennym Lwowie, który dał temu dzieciństwu szczególnie trudną oprawę. Obok więc strony historycznej i „etnograficznej" omawiana pozycja ma jeszcze dodatkowy nader ciekawy aspekt socjologiczny: jest to świetny portret *rodziny* jako — dosłownie — podstawowej komórki przekazującej sprawdzone wartości i tradycje następnemu pokoleniu jak molekuły DNA.

Autor jest tego świadom, toteż nie dramatyzuje niepotrzebnie swych przeżyć:

„Dziś, gdy przeżywamy wtórny (po późnych latach 40.) zalew literatury wspomnieniowej, prezentujący doznania osobiste autorów w formie i treści coraz drastyczniejszej, żywot 10-letniego chłopca na względnie spokojnym przedmieściu lwowskim, nie epatuje czytelnika makabrą. Nikt nie trzymał mnie na muszce, nie usiłował wraz z rodziną zamordować, nie deportował do Azji, nie zamykał w obozie koncentracyjnym, nie torturował. Pamiętnik ten przedstawia po prostu realia wojennej rzeczywistości, nędzy, ucisku i strachu ludzi, którzy ostatecznie, z rozpaczą w sercu musieli z tego miasta wyjechać. Jedni mieszkali w nim od urodzenia, drudzy, tak jak my, zżyli się z nim w ciągu tych kilku lat". (str.7).

Tu miejsce na kilka informacji, sytuujących tę całą opowieść w czasie i przestrzeni. Ojciec autora, historyk z wykształcenia, był przed wojną profesorem gimnazjalnym na Śląsku, a w ostatnich latach przedwojennych wizytatorem i członkiem komisji nadzorującej podręczniki dla szkół niemieckich w tym rejonie. W młodości obrońca Lwowa i uczestnik akcji plebiscytowej wszedł też — jak pisze autor — *w skład grupy oświatowych działaczy w Katowicach, realizujących politykę ówczesnego wojewody Michała Grażyńskiego.* Z tej racji też był na „najczarniejszej liście" Gestapo, z czego dobrze zdawał sobie sprawę — toteż tuż przed wybuchem wojny wysłał żonę z dwojgiem dzieci do mieszkających we Lwowie teściów. Było to rozstanie ostateczne, gdyż Władysław Dzięgiel (senior) po różnych odmianach losu znalazł się w końcu na Węgrzech, gdzie organizował polskie szkoły i gdzie w końcu dopadli go Niemcy. Przeszedł przez kilka obozów koncentracyjnych i w ostatnim z nich — pod Hamburgiem — zmarł nie doczekawszy końca wojny. Ten daleki ojciec jest często obecny na kartach tej książki, a nadzieja na jego powrót — jednym z wymiarów duchowych tej rodziny w ciągu całej wojny.

Rodzina autora we Lwowie była dość liczna, gdyż poza dziadkami w domku na Kolonii Profesorskiej mieszkał też jego wuj z żoną — i sylwetki tych osób narysowane są w tych wspomnieniach wyraziście. I w tej dziedzinie autor nigdy nie popada w lepki sentymentalizm, mimo, iż z opisów jego zachowań i postawy widać że ma dla nich do dzisiaj bezgraniczny podziw. Ma go też i czytelnik, szczególnie dla obu pań, tzn. matki i ciotki autora, które nie tylko potrafiły utrzymać z rozmaitych dorywczych prac (wuj był inwalidą) pod okupacją bolszewicką, niemiecką i znów bolszewicką tę liczną gromadkę przy życiu, ale też nadać temu życiu jako tako normalny, ukierunkowany bieg. Oto charakterystyczny przykład:

„[...] co wieczór po kolacji praktykowano u nas w domu głośną lekturę przy wspólnym stole. Denerwowało mnie gdy Matka lub Ciotka przerywały na moment, opuszczając jakiś fragmencik tekstu z uwagą „to nie dla dzieci", by zacząć od następnego akapitu. W sumie jednak bardzo ceniłem sobie te chwile głośnego czytania. Nie były to na ogół dzieła najwyższego lotu. Popularne, sensacyjne powieści Nasielskiego czy Edgara Wallace'a, wydawane przed wojną nakładem „Roju" czy księżnicy Cukrowskiego. [...] *Numer Szósy, Zagadka szulera, Trzej sprawiedliwi, Żółty rekin...* Zacny, stary, sprawdzony Edgar Wallace, którego na szczęście moi domownicy akceptowali, czego niestety nie można było powiedzieć o prozie niektórych polskich powieści sensacyjnych. W najciekawszym dla mnie momencie przerywali głośne czytanie protestując przeciwko „tym bzdurom" lub wybuchając śmiechem w chwilach, moim zdaniem najmniej stosownych. Na przykład w sytuacji, gdy tresowany goryl-dusiciel wspina się do okna kolejnej ofiary by zaatakować ją

w momencie kiedy zbrodniczy treser zagwiżdże barkarolę z *Opowieści Hoffmana*... Nie wiedziałem co to jest barkarola i jakie opowieści opowiedział ów również nieznany mi Hoffman, ale powagę sytuacji mogłem ocenić bez trudu. Już przed wojną dostałem na gwiazdkę dwutomowe, ilustrowane dzieło *Świat zwierząt*, z kolorową planszą przedstawiającą goryla w napadzie wściekłości." (str. 80-81).

Ale ta sielanka była tylko małą częścią ówczesnego życia. Za ścianami domu była okupacja, wojna i nie zawsze „szlachetni" rodacy. Przytoczę fragment dotyczący zagłady Żydów lwowskich:

„[...] ich agonia trwała, jak wiadomo, do połowy okupacji niemieckiej. [...] Likwidacja getta i jego podpalenie nastąpiło w czasie upalnego lata. Trwało to wszystko kilka dni. Byłem wówczas już w V klasie. Jeden z uczniów, zarozumiały, krzykliwy Mietek S. miał krewnego [...] członka niemieckiej policji kryminalnej, który brał udział w tej akcji. Na lekcjach podniecony i dumny z wyczynów Frydka opowiadał nauczycielce i całej klasie, bynajmniej o to nie proszony, jak to ów dzielny policjant wdarł się do jednego z domów getta i zastrzelił czyhającego w głębi Żyda z granatem w ręku. Widząc z kim ma do czynienia, nauczycielka ostrożnie starała się mitygować potok tej wstrętnej elokwencji. Tego samego popołudnia, wracając do domu byłem świadkiem, jak ów uczeń w gromadzie dzieciarni, która na ulicy znalazła żywą mysz, z wyraźną satysfakcją zmiażdżył ciosem obcasa to maleńkie, kulące się ze strachu zwierzątko. Szedłem w górę „sztreki" ku torom, a to co usłyszałem w szkole i zobaczyłem przed chwilą, ułożyło mi się w jakiś symbol przemocy okrutnej i bezwstydnie triumfującej nad nami wszystkimi". (str. 139-140).

Głośne lektury wieczorne, coraz lepsze lektury „własne" i szkoła (a właściwie *szkoły* — znajdujemy tu bowiem ciekawe opisy szkół pod kolejnymi okupacjami) nie były jedynymi czynnikami wychowawczymi w tym okresie życia autora. Ogromną rolę odegrał w nim ów wuj-inwalida (też dawny obrońca Lwowa), którego Dzięgiel wspomina niezwykle ciepło — szczególnie za jego niewzruszony optymizm. Przytoczę fragment, który przy okazji ilustruje metodę autora przechodzenia od fragmentów autentycznego pamiętnika do wspomnień „dzisiejszych". Rzecz dzieje się za czasów pierwszej okupacji sowieckiej, tzn. przed 1941 r.:

„Podczas walk w Albanii w gazetach były mapy z terenów walk. Wujcio te mapy wycinał i po raz pierwszy zacząłem odrysowywać te mapy i przy tym uczyłem się geografii. Z tego też powodu w szkole z tego przedmiotu miałem bardzo dobry stopień. [Tyle pamiętnik, a teraz dorosły autor:]

Ta dość marginesowa kampania w Albanii, w rzeczywistości była dla mnie kursem politologii praktycznej, nie tylko geografii. Odbywałem go pod kierunkiem Wuja, absolwenta nauk politycznych w Warszawie. Nie zmuszał mnie do niczego. Wprost przeciwnie, początkowo dorośli obawiali się, że mogę nieostrożnie wypaplać przy obcych o czym w domu się mówi i sprowadzić na wszystkich nieszczęście. Sam zdołałem jednak Wuja przekonać aby mi zaufano. Zaczęło się to właśnie wówczas, gdy spostrzegłem mapki Albanii, które wycinał z sowieckich gazet. Wykreślał na nich aktualne linie frontu włosko-greckiego. Wytłumaczył mi wtedy, na czym polega czytanie między wierszami zakłamanej prasy. Uczył wyławiania z powodzi propagandy drukowanej, niby to mało znaczących drobnych notatek, niosących nie tylko ważne informacje, ale i cień nadziei. Proceder ten uprawialiśmy następnie wspólnie przez całą wojnę. A i później, aż do śmierci Wuja z początkiem lat 80., nigdy nie mieliśmy trudności w rozszyfrowywaniu kolejnych łamańców komunistycznego systemu informacji oficjalnej" (str. 97).

Sądzę, że przytoczone fragmenty dają już pewne pojęcie o stylu autora: trzeźwym, rzeczowym, nie pozbawionym ironii i humoru, ale dalekim od facecyjności i (często jej towarzyszących) „wstawek patetycznych". Widać to szczególnie dobrze w tych fragmentach, które mówią o sprawach szerszych, np. stosunkach narodowościowych w różnych okresach wojny. Autor poświęca im wiele miejsca i stąd trudno o jakiś zwięzły cytat, ale chciałbym przytoczyć wyjątek rozdziału wprowadzającego, gdyż ilustruje on dobrze ogólne stanowisko Dzięgla wobec tego okresu:

„Nic [...] dziwnego, że w pamiętniku tak wiele miejsca poświęciłem różnym przejawom konfliktu polsko-ukraińskiego, który wówczas rozpalał umysły obu nacji. Dziś on na szczęście wygasa i co najwyżej pokutuje wśród przedstawicieli starszego pokolenia. Jest rzeczą zrozumiałą, że w opisywanym okresie poznawałem z ust dorosłych tylko polską wersję racji politycznych i historycznych w tym krwawym sporze. [...]

Katastrofa Żydów lwowskich, której finał nastąpił za sprawą niemieckich oprawców, zaczęła się moim zdaniem już po 17 września 1939 roku. Dziś, kiedy patrzę na to z perspektywy późniejszych wydarzeń, wydaje mi się, że ludzie ci na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej Polskiej stali się ofiarami perfidnej prowokacji politycznej. Kokietując ich, a zarazem szczując przeciwko pozostałym nacjom, zwiększono wyobcowanie społeczności żydowskiej by następnie porzucić ją obojętnie na pastwę wkraczających Niemców. Późniejsze zresztą poczynania Wielkiego Językoznawcy dowiodły, że nie tylko Hitler rezerwował dla Żydów rolę kozła ofiarnego. [...]

Jeżeli nawet lwowski Żyd miał liczne powody by chwilami nie cierpieć lwowskiego Polaka oraz lwowskiego Ukraińca, to przecież za-

równo Polak jak Ukrainiec także długo zachowywali w sercach własne zapiekłe urazy i ślepy nieraz gniew. Wzajemne stosunki tych trzech nacji moglibyśmy obecnie przyrównać do Trójkąta Bermudzkiego. W każdym razie gdy czytam dziś niekiedy sentymentalne wspomnienia o dawnym Lwowie, jako micie harmonijnej symbiozy różnych narodów i kultur, ogarnia mnie smutek i zażenowanie. Ponury rozdział wzajemnych stosunków należałoby wreszcie zamknąć, nazywając po imieniu pewnych ludzi i ich czyny tak, jak na to sobie przed pół wiekiem zasłużyli". (str. 12-13).

Autor sam jest powściągliwy w wymienianiu owych „ludzi i czynów" (poza najbardziej oczywistymi), ale wyczuwa się, że miałby na ten temat dużo do powiedzenia. Widoczne to jest też w przedostatnim rozdziale książki, zatytułowanym „Pierwszy powojenny rok": jest to opis powojennych Katowic i ich atmosfery w okresie początku władzy ludowej. Szkoda trochę, że autor chwilami wyraźnie chowa pazury, żeby nie wypaść z dominującego w całej relacji tonu powściągliwości i *détachement*. Widzę już idealny ciąg dalszy tej pozycji: okres studiów w Krakowie w latach 1950-55, czyli latach, w których polska wersja stalinizmu kwitła *pysznym cwietom*. Dzięgiel kwituje ten okres kilkoma stronicami ostatniego rozdziału, poświęconego głównie wrażeniom z krótkiej podróży do Lwowa w maju 1990 r., ale „materiał" na tych kilku stronach naszkicowany przedstawia się interesująco, szczególnie rzucone mimochodem zdanie: „[...] *mieszkałem* [w Krakowie] *z paroma kolegami w kompletnie zruderowanym pokoiku na poddaszu*"... PRLowski „Wspólny pokój" — cóż za cudowny i dotychczas naprawdę niewykorzystany temat! Ufać należy, że autor świetnego *Lwowa* kiedyś i ten drugi, krakowski temat „wykorzysta", wydaje się bowiem wręcz do tego stworzony.

M. BROŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CHOYNOWSKI (Piotr). *Młodość, miłość, awantura*. Str. 288. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1991).

IV pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny. Informator. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1991).

PRZYBECKI (Adam, ks.). *Po stronie nadziei. Notatki duszpasterza akademickiego z lat 1981-82*. Str. 96. (Wyd. Pallotinum, Poznań 1991).

LEM (Stanisław). *Dzienniki gwiazdowe*. Str. 335 i 5 nlb. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1991).

Kościół katolicki w Polsce 1918–1990. Rocznik statystyczny. Str. 352. (Wyd. GUS i Zakład Socjologii Religii SAC, Warszawa 1991).

ZBYSZEWSKI (Karol). *Niemcewicz od przodu i tyłu*. Str. 389 i 3 nlb. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1991).

JAN PAWEŁ II. *Nauczanie papieskie II, 1. 1979 (styczeń–czerwiec)*. Str. 792 i 4 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań 1990).

BATOWSKI (Henryk). *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939–1941*. Str. 501 i 7 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, cena zł 47.000).

ŻYCIŃSKI (Józef, ks.). *Bóg Abrahama i Whiteheada*. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Diecezji Tarnowskiej BIBLOS, Tarnów 1991).

KOSZEL (Bogdan). *Hiszpański dramat 1936–1939. Wojna domowa w polityce mocarstw europejskich*. Str. 265 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1991).

Republika Federalna Niemiec w systemie integracyjnym EWG. Pod redakcją Zdzisława Nowaka. Str. 242. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1991).

Wojna polsko-sowiecka 1920 roku. Przebieg walk i tło międzynarodowe. Materiały sesji naukowej w Instytucie Historii PAN 1–2 października 1990. Pod redakcją Andrzeja Koryna. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1991).

CHOROSZY (Jan A.). *Huculszczyzna w literaturze polskiej*. Str. 371 i 5 nlb. (Wyd. Jan A. Choroszy, Wrocław 1991).

Dzieje Żydów w Łodzi 1820–1944. Pod redakcją Wiesława Pusia i Stanisława Liszewskiego. Str. 368 i 4 nlb. (Wyd. Uniwersytet Łódzki, Łódź 1991).

ŁĘTOWSKA (Ewa), ŁĘTOWSKI (Janusz). *Przygoda z operą*. Str. 397 i 3 nlb. (Wyd. Interster, Warszawa 1991).

KULERSKI (Wiktor). *Bez tytułu. Wybór publicystyki 1981–1991*. Str. 258 i fotografie. (Wyd. Krąg i „Krytyka", Warszawa 1991).

LACHMAN (Piotr). *Mniejsze zło, większe zło*. Wiersze. Str. 72. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1991).

PRUSZYŃSKA (Anna). *Między Bohem a Słuczą*. Opr. Mieczysław Pruszyński. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991).

STYRON (William). *Dotyk ciemności*. Przeł. Dorota i Tomasz Bogutyn. Str. 83 i 5 nlb. (Wyd. Atext, Gdańsk 1991).

DOBROWOLSKA-BOGUSŁAWSKA (Hanna). *Metody nauki czytania w krajach anglojęzycznych oraz ich przystosowanie do języka polskiego*. Str. 200. (Wyd. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1991).

KUDELSKI (Zdzisław). *Pielgrzym świętokrzyski. Szkice o Herlingu-Grudzińskim*. Str. 157 i fotografie. (Wyd., FIS, Lublin 1991).

ELIADE (Mircea). *Świętojańskie żniwo. Pamiętniki II (1937-1960)*. Przeł. Ireneusz Kania. Str. 174 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991).

STAGNELIUS (Erik Johan). *Elegie*. Przeł. Leonard Neuger. Str. 98 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).

KOWALCZYK (Andrzej). *Książka telefoniczna*. Str. 106. (Nakł. własnym, Warszawa 1991).

PIESZCZACHOWICZ (Jan). *Pegaz na rozdrożu. Szkice o poezji współczesnej*. Str. 482 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991).

MACDONELL (Archibald Gordon). *Napoleon i jego marszałkowie*. Przeł. Feliks Rutkowski. Str. 254 i ilustracje. (Wyd. PULS, Londyn 1991).

HUELLE (Paweł). *Weiser Dawidek*. Str. 102 i 6 nlb. (Wyd. PULS, Londyn 1992).

RATAJCZAK (Józef). *Kamyki Dawida.* Wiersze. Str. 46. (Wyd. OPiM, Londyn 1991).

Czterdzieści lat Polonii australijskiej na łamach „Tygodnika Polskiego". Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. CONTAL Co., Melbourne, Australia 1991).

Generał S. Sosabowski w oczach artystów jego brygady. Jednodniówka karykatur. (Wyd. Związek Polskich Spadochroniarzy, Londyn 1992).

BEDNARCZYK (Czesław). *Czy przyjść musiało?* Wiersze. Str. 13 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1991).

KOZIK (Edward). *Wichrem zerwane liście.* Str. 381 i 3 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1992).

CZACHOWSKA (Jadwiga), DOROSZ (Beata). *Literatura i krytyka poza cenzurą 1977–1989 (bibliografia druków zwartych).* Str. 118. (Wyd. Wydawnictwo „Wiedza o kulturze" Fundacji dla Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1991).

Twórczość Iwana Turgieniewa a problemy literatury wczoraj i dzisiaj. — W kręgu twórczości Jakuba Kołasa i Janki Kupały. Str. 265 i 5 nlb. (Wyd. Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1990).

Przegląd Zachodni, nry 2 i 3/1990. Str. odpowiednio 198 i 222. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1990).

Stosunki Międzynarodowe, tom 11. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1990).

Internacjonalizacja życia narodów i państw. Pod redakcją naukową Józefa Kukułki. Str. 108. (Wyd. Instytut Stosunków Międzynarodowych UW, Warszawa 1991).

Etyka nr 25. Str. 373 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Warszawa-Poznań 1990).

KAMIŃSKI (Marek Kazimierz). *Polska i Czechosłowacja w polityce Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii 1945–1948.* Str. 380. (Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1991).

WAŚKIEWICZ (Andrzej K.). *Mirbad. 7.* Wiersze. Str. 104 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza im. Tadeusza Peipera, Warszawa 1991).

Europa w nauczaniu geografii w Polsce i Republice Federalnej Niemiec. Materiały konferencji Wspólnej Komisji Podręcznikowej Polska–RFN pod red. Bronisława Kortusa i Zbigniewa Kulaka. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1991).

CHEĆKO (Aleksander). *Armenia na własne oczy.* Str. 182. (Wyd. Polskie Tow. Ludoznawcze, Warszawa 1991).

LIPSKI (Leo). *Śmierć i dziewczyna.* Str. 152. (Wyd. FIS, Lublin).

SKOCZYŃSKI (Jan). *Idee historiozoficzne Feliksa Konecznego.* Str. 141 i 3 nlb (Wyd. Uniwersytet Jagielloński, Kraków 1991).

SINGER (Isaac Bashevis). *Moc światła.* Przeł. Dorota Bogutyn. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. ATEXT, Gdynia 1991).

KULIK (Adam W.). *Ziemie pulsujące. Noc kupalna.* Str. 152. (Wyd. nie podane, Warszawa 1990).

LIPSKA (Ewa). *Strefa ograniczonego postoju.* Wiersze. Str. 40 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).

MICKIEWICZ (Adam). *Wiersze.* Str. 564. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz.* Str. 387 i 5 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

MICKIEWICZ (Adam). *Dziady.* Str. 348 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

MICKIEWICZ (Adam). *Powieści poetyckie. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.* Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).

TABORSKI (Bolesław). *Dobranoc bezsensie.* Wiersze. Str. 88 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

11.2.92
Zmarła w Warszawie w wieku 72 lat Anna Rudzińska, socjolog, działaczka Klubu Krzywego Koła i Komitetu Obrony Robotników (KOR), więziona za działalność polityczną w latach 1961-1962.

22.2.92
Zmarł w Warszawie w wieku 67 lat prof. Andrzej Hermanowski, żołnierz AK, więzień Pawiaka i Oświęcimia, profesor w Instytucie Geodezji i Kartografii w Warszawie.

26.2.92
Prasa krajowa donosi, że raport Najwyższej Izby Kontroli Państwa, dotyczący kancelarii Prezydenta, nie zostanie ujawniony.

29.2.92
Na uniwersytecie gdańskim w dniach 28-29 lutego odbyło się seminarium polsko-ukraińskie poświęcone następującym tematom: Zmiany polityczne zachodzące obecnie na Ukrainie oraz możliwości współpracy polsko-ukraińskiej; Przekształcenia gospodarcze na Ukrainie i perspektywy wymiany ekonomicznej pomiędzy partnerami polskimi i ukraińskimi; Kontakty kulturalne i rola mniejszości narodowych w stosunkach międzypaństwowych polsko-ukraińskich.

1.3.92
Doroczne nagrody PEN-Clubu im. Ksawerego Pruszyńskiego (Fundacja Mieczysława Pruszyńskiego) otrzymali za całokształt twórczości: Teresa Bogucka, Jerzy Ejsler, Robert Jarocki i Aleksander Małachowski.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16.12.92
Zmarła w Chicago Janina Migała z domu Paradzińska, bardzo zasłużona działaczka społeczna, małżonka Bonawentury Migała, dyrektora Komitetu Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydz. na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago.

31.1.92
Doroczne nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego zostały przyznane: w dziedzinie medycyny — prof. Janowi Nielubowiczowi, chirurgowi; z chemii — Maciejowi Wiewiórkowskiemu, dyrektorowi Instytutu Stereochemii Uniw. Poznańskiego; z socjologii — prof. Feliksowi Grossowi ze Stanów Zjednoczonych; z ekologii — Marii Gumińskiej, profesorowi Akademii Medycznej w Krakowie; z matematyki — Henrykowi Iwańcowi, wykładowcy na Rutgers University; z historii — Jerzemu Jedlickiemu z Polski; z historii literatury — Ryszardowi Przybylskiemu z Warszawy; z historii sztuki — Joannie Polla-

kównie; w dziedzinie sztuk pięknych — Jerzemu Stajudzie z Warszawy; z muzyki — Zbigniewowi Bujarskiemu z Krakowa. Nie nagrodzono nikogo z dziedziny literatury, co wywołało powszechne zdziwienie. Nastąpiła zmiana przewodniczącego komitetu doradczego Fundacji — po trzyletniej kadencji ustąpiła p. Felicja Krance i na jej miejsce przyszedł prof. Krzywicki-Herburt.

28.2.92
Zmarł w Toronto w wieku 93 lat Bolesław Orliński, bohater przelotu Warszawa-Tokio w 1926 roku; w czasie wojny był dowódcą Dywizjonu 303 w Anglii. ■ Zmarł w Paryżu w wieku 77 lat Józef Handelsman, syn historyka Marcelego Handelsmana, oficer I Dywizji Pancernej, odznaczony krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Miał dyplom inżyniera z Ecole Centrale, przez wiele lat pracował we francuskim instytucie atomowym, a następnie był jednym z dyrektorów metra paryskiego. W latach 1979–1984 pełnił funkcje dyrektora Biblioteki Polskiej.

13.3.92
Imprezy w Centre du Dialogue w Paryżu: 13 marca odczyt Krzysztofa Rutkowskiego na temat „Hieronim Kajsiewicz jako rywal Adama Mickiewicza". 20 marca br. wieczór autorski Julii i Artura Międzyrzeckich. 10 kwietnia br. odczyt Ambasadora RP we Wiedniu prof. Władysława Bartoszewskiego. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się odczyt Henryka Woźniakowskiego, dyrektora krakowskiego wydawnictwa ZNAK, pt. „L'Eglise en Pologne et la démocratie: triomphe ou défaite" (odczyt został wygłoszony w języku francuskim).

16.3.92
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się wiele imprez, a mianowicie: 16 marca 1992 Zygmunt Skórzyński, prezes Fundacji „Polska w Europie" wygłosił (po polsku) odczyt pt.: „Działalność Ośrodka studiów międzynarodowych Senatu RP"; 21 marca 1992 odbyła się akademia (po francusku) z okazji 75-lecia Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji. Po akademii otwarcie wystawy obrazującej dorobek Stowarzyszenia; 1 kwietnia 1992 Andrzej Kłossowski, wicedyrektor Biblioteki Narodowej i Andrzej Piber, kierownik działu rękopisów Biblioteki, mówili (po polsku) o zbiorach B.N. w Warszawie; 8 kwietnia 1992 Lord Michael Pratt mówił (po francusku) o swej nowej książce zatytułowanej „Les grandes demeures d'Europe Centrale: Hongrie, Tchécoslovaquie, Pologne" (Flammarion, 1991).

17.3.1992
W paryskiej stacji Polskiej Adademii Nauk odbył się odczyt połączony z dyskusją prof. Ewy Łętowskiej na temat „Cinq causes principales qui empêchent la construction de l'Etat". W zebraniu wziął udział Robert Badinter, b. Minister Sprawiedliwości, przewodniczący Rady Konstytucyjnej Francji. ■ Z okazji ukazania się w języku francuskim książki Tadeusza Borowskiego „Kamienny świat" (wydawca Christian Bourgois) w Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wieczór literacki z udziałem pp. André Comte-Sponville, Laurence Dyèvre i Krzysztofa Rutkowskiego.

21.3.92
W Salle Gaveau w Paryżu odbył się koncert litewskiej pianistki Muzy Robackyte.

24.3.92
W paryskim Kole S.P.K. odbył się odczyt Pierre de Villemarest, dyrektora Europejskiego Centrum Informacji pt. „Obecna sytuacja w Polsce w oczach francuskiego obserwatora".

31.3.92.
W Domu Kombatanta w Paryżu odbył się wieczór poświęcony pamięci Józefa Piłsudskiego, zorganizowany przez p. Gniewę Wołosiewicz. Gen. Yves Faury wygłosił odczyt „Kilka refleksji o życiu Marszałka", „Marszałek w oczach kobiet z Jego otoczenia" oraz zorganizowano wystawę litografii Zdzisława Czermańskiego „Marszałek w trzynastu karykaturach".

2.4.92
Z okazji 30-lecia Centre de Civilisation Polonaise na uniwersytecie Paris Sorbonne odbyło się kolokwium międzynarodowe na temat „Lieux du pouvoir au Moyen Age".

KRONIKA KANADYJSKA

Komitet Pomocy Polsce w zakresie szkolnictwa (*Education & Trainings Programs for Poland*) w Toronto wysłał ostatnio dla szkół 91 komputerów z drukarkami, 142 programy, dyskietki komputerowe, 1.249 słowników. Wartość przesyłki wynosi $ 116.000. W ciągu rocznej działalności Komitet zdołał skierować do Polski ponad 50 nauczycieli języka angielskiego oraz około 7 ton książek wartości około $ 500.000. ■ Komitet Pomocy Polsce w Montrealu wysłał w roku sprawozdawczym 1990/91 do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski 13 kontenerów o wadze 86.625 kg, zawierających m.in. artykuły medyczne: strzykawki, rękawiczki chirurgiczne, aparat rentgenowski, literaturę medyczną i naukową; 2.634 kartony używanej odzieży i obuwia i 626 kartonów nowej odzieży i obuwia. Ogólna wartość przesyłki ponad $ 500.000 Koszt transportu $ 15.704 , a składu i ubezpieczenia — $ 2.858. ■ Sprawozdanie Komitetu Zbiórki na Profesurę katedry historii Polski na Univ. of Toronto podaje, iż dotacje wpływają z Kanady i USA, w tym od 56 organizacji, fundacji i firm polonijnych oraz 680 osób pojedynczych i rodzin. Największa jest dotacja Fundacji Millenium Polski Chrześcijańskiej w wysokości $ 75.000, a indywidualna p. Tadeusza Piórczyńskiego — $ 26.000. Z ostatnich danych wynika, iż zebrano dotychczas $ 427.596 i pozostało do zebrania $ 322.404. ■ W drugiej połowie stycznia przybyła do Warszawy delegacja polonijna z prezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Markiem Malickim, na czele, dla omówienia spraw związanych z przewidzianym i przygotowywanym na sierpień br. Światowym Zjazdem Polaków zza Granicy. Panowie St. Orłowski i St. Brodzki reprezentowali Radę Koordynacyjną Polonii Świata. Prez. Malicki oraz Edward Moskal, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, zostali 24 stycznia przyjęci przez prezydenta Wałęsę. ■ Z ostatnich danych statystycznych wynika, iż w pierwszej połowie 1991 r. przybyło do Kanady 105.855 imigrantów, w tym z Polski 6.888. Polska znalazła się na trzecim miejscu w gronie 10-ciu państw — czołówki emigracyjnej. W pierwszym półroczu 1990 r. przybyło ogółem 102.641 imigrantów, w tym z Polski 9.889. Na pierwszym miejscu w obu okresach uplasował się

Hong Kong: w 1990 — 11.903, a w 1991 — 8.516. W grupie polskiej było 3.712 mężczyzn i 3.176 kobiet. Przeważają osoby w wieku produkcyjnym. Imigranci polscy przybyli w pierwszym półroczu 1991 r. zaklasyfikowani zostali w kategoriach: rodziny — 1.949, imigranci — 4.792, uchodźcy —58, emeryci — 1, samodzielni — 88. Zabrakło w polskiej grupie: przedsiębiorców, inwestorów i niezależnych. Brak bliższych danych na temat nowych polskich uchodźców. W omawianym półroczu obok imigrantów przybyli do Kanady: studenci, naukowcy, różni goście na czasowy pobyt (oficjalnie i formalnie). W grupie pierwszej: na studia — 236 osób, w tym w Ontario — 144, Quebec — 41, Alberta — 31. Z wizytą — 892 i zezwolenia na pracę otrzymało: w Ontario — 392, Quebec — 247, Brytyjskiej Kolumbii — 45, Albercie — 42. Po kilku w innych prowincjach; zaległe wnioski — 89, mających prawo pracy, ale nie wiadomo gdzie się podziewają — 309. Z wizami na czasowy pobyt było w omawianym półroczu z Polski 7.513 osób: w Ontario — 6.459, Quebec — 355, Albercie — 272, Brytyjskiej Kolumbii — 203, Monitobie — 189. Ilu z gości pozostanie i będzie zabiegać o stały pobyt lub prawo pracy? ■ Polski artysta, Ryszard Wojciechowski, rzeźbiarz, były profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, zdobywca wielu nagród w Polsce i za granicą, który przybył do Kanady w 1990 r. i osiadł w Vancouverze, wygrał konkurs ogłoszony przez gminę Płn. Vancouveru na ozdobienie wolnej przestrzeni Rogers Plaza dwiema rzeźbami, które wiązałyby się z przeszłością, ale i mówiły o przyszłości. W konkursie wzięło udział 20 artystów. Prace zgłoszone przez Wojciechowskiego zostały nagrodzone i przyjęte. Dwie wielkie rzeźby metalowe: pierwsza — postać męska trębacza, legendarnej postaci Portu Vancouver, druga — kobieta przy olbrzymiej harfie. ■Z zapisu testamentowego dr. Biskupskiego Fundusz Millenium ustanowił stypendium Jego imienia dla studenta Polaka na studia polonistyki w Polsce w rocznej wysokości 5–6 tys. dolarów.

B.H.

Listy do Redakcji

20 lutego 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Unikam wdawania się w spory z czytelnikami, którzy w listach do redakcji krytykują moje poglądy i poruszone przeze mnie problemy i fakty interpretują inaczej niż ja. Każdy ma prawo do własnego zdania i uważam, że dobrze się dzieje, gdy *audiatur et altera pars*. Ale warto może zwrócić uwagę na fakt, że większość tych krytycznych reakcji dotyczy moich poglądów na nasze stosunki religijne z naszymi wschodnimi sąsiadami. Poruszam w moich artykułach wiele problemów ściśle religijnych, teologicznych czy filozoficznych, które rzadko wywołują jakąś dyskusję czy krytyczną reakcję. Moich czytelników poruszają prawie wyłącznie problemy religijno-narodowościowo-polityczne. Zwłaszcza gdy próbuję wykazać choćby krztynę zrozumienia dla postaw odbiegających od utartych polskich i katolickich kanonów.

To właśnie zrobiłem w artykule pt. „Religijna zimna wojna" (Nr 11/530) i to ogromnie zaniepokoiło ks. prof. J.M. Bocheńskiego, który dopatrzył się w tym tendencyjnego ataku na ukraiński kościół grecko-katolicki. Rzekomo domagam się „bez ogródek, aby papież poświęcił ich na ołtarzu ekumenizmu" czyli w tym przypadku rosyjskiego prawosławia. Nie mogłem niczego takiego napisać choćby dlatego, że nawet odpowiedzialni prawosławni tego się nie domagają, jak to wynika z zacytowanych przeze mnie w zakończeniu artykułu postulatów konferencji katolicko-prawosławnej w Ariccia. Mogę tylko prosić mojego krytyka (i czytelników, których mogłoby poruszyć jego wezwanie do boju), by jeszcze raz starannie przeczytał cały mój artykuł. Mam nadzieję, że Ksiądz Profesor zauważy w nim również akcenty krytyczne wobec Cerkwi Prawosławnej i momenty życzliwe wobec unitów. (Tych ostatnich znajdzie więcej w moim dawniejszym artykule pt. „Katolicy, prawosławni, unici i inni" w Nr. 10/517). Ale ekumenizm, proszę Księdza Profesora, pokój religijny jest dobrą rzeczą. W interesie pokoju religijnego trzeba też posłuchać, co druga strona ma do powiedzenia. Bez tego grozi nam kontynuowanie w nieskończoność religijnej zimnej wojny.

Przy okazji dwa słowa odpowiedzi krytykom, którzy zaprzeczają istnieniu tendencji polonizacyjnych wśród kleru polskiego na Białorusi. Ks. Dzwonkowski (Nr 11/530) i p. J. Mirski usprawiedliwiają używanie języka polskiego w liturgii tym, że wierni tego sobie życzą, mimo że ten język słabo rozumieją. Po wprowadzeniu języków narodowych do liturgii mszy św. wielu wiernych życzyło sobie utrzymania łaciny. Ale ich życzeniu nie stało się zadość. Chyba słusznie. Sądzę też, że gdyby tych tendencji polonizacyjnych nie było, to autorzy tekstu w Nr. 5/524 *Kultury* nie obawialiby się dyskryminacyjnych konsekwencji swej relacji i nie prosiliby redakcji o nieujawnianie ich nazwisk.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Antoni POSPIESZALSKI

Bern, 28 lutego 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

jakby w uzupełnieniu szkicu Henryka Józewskiego „Pogrzeb Marii Dąbrowskiej" (*Kultura* nr 11, 1991), chciałbym przytoczyć list Anny Kowalskiej do Jerzego Stempowskiego. Pisała ten list Anna Kowalska w sześć dni po śmierci Dąbrowskiej. Po opisie ostatnich miesięcy życia Dąbrowskiej, Kowalska pisze: „Przy śmierci, która nastąpiła 19 maja o 20.45 byli: pan Henryk, Ela, bratanica Maryjki i ja. Maryjka zostawiła Ostatnią wolę u Eli, przed wyjazdem do Berna w 1963 r. Komorów przekazuje na cele społeczne, dziedziczą jej honoraria: siostra, Helena Hepke i jej córka Danusia, dzieci Bogusia: Gabriela i Jurek Szumscy i synowie Stasia Mirek i Sławek. Gabriela Lipkowa jest egzekutorem woli Maryjki. Puścizną literacką mają się zająć: prof. Kazimierz Wyka, docent Czesław Hernas, docent Ewa Korzeniewska, krytyk Henryk Bereza i młody literat mieszkający w Komorowie, Władysław Terlecki. (...) Wszystkie papiery zostaną z pietyzmem zabezpieczone".

W innym liście, pisanym w kilka tygodni później, aczkolwiek nie datowanym, Anna Kowalska pisze: „Jak dotąd, wszystko co dotyczy puścizny Maryjki w najlepszym porządku, opiece i staraniu. Mam nadzieję, że nigdzie nic się nie ukaże co ma formę dziennika. Na razie mieszkanie nasze zachowuje ten sam ład. Pokój Maryjki nietknięty, księgozbiór, również archiwa. Maryjka miała zaufanie do prof. Wyki. Okazał on wielką przedsiębiorczość i chyba będzie mu sprzyjał los. Dopóki pewne prace nie będą zakończone nie ruszam się z domu".

W jednym z najbliższych numerów *Polityki* zostanie opublikowany mój szkic pt.: „Inny testament Marii Dąbrowskiej", gdzie m.in. podaję do druku odnalezione przez mnie rozporządzenie Marii Dąbrowskiej dane Jerzemu Stempowskiemu podczas wizyty Dąbrowskiej z Anna Kowalską i jej córką Tulą w Bernie w sierpniu 1963 roku. Wtedy to Dąbrowska wywiozła z Polski i zdeponowała u Stempowskiego część swoich „Dzienników" i napisała ten jakby dodatek do przeszło dwa miesiące wcześniej napisanego testamentu. Mowa w tym rozporządzeniu o publikacji „Dzienników", że może to nastąpić w 1988 roku.

Z wyrazami poważania

Jan Stanisław WITKIEWICZ

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2e trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 249-1992

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1992		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 471 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Agata Tuszyńska: *Israel is a real thing;* Leon Antoni Sułek: *Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940–1945);* Andrzej Albrecht: *Noc generała;* Tadeusz Stanisław Piotrowski: *Studenci gdańscy w grudniu 1970;* Grzegorz Mazur: *Raport Jerzego Rutkowskiego; Komunikat prezydenta R.P. A. Zaleskiego z okazji zaprzysiężenia rządu gen. Bór-Komorowskiego 2 lipca 1947 r.; Uchwała LNP z 1 lipca 1947;* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. II.;* Piotr Wandycz: *Henri Rollet;* Gustaw Kerszman: *Książka o Marcu;* Katsuyoshi Watanabe: *Historia Polski w badaniach japońskich w latach 80-tych;* Krzysztof Adam Tochman: *Uzupełnienia do „Cichociemnych" J. Tucholskiego;* Tadeusz Wyrwa: *„Przegląd kawalerii i broni pancernej";* Tadeusz Wyrwa: *Początki internowania 2-ej Dywizji w Szwajcarii:* Józef Garliński: *Książka ciągle aktualna;* B. Dytrych: *Legia Oficerska na Środkowym Wschodzie (uzupełnienia); Statut „NIE"; Instrukcja „NIE"; Komunikat Centrum Badań Represji na Litwie* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240. Cena F. 90,00.

●

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach.* Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335. Cena F. 100,00.

Cena 50 F

I.N. 93400 St-Ouen - 249-1992